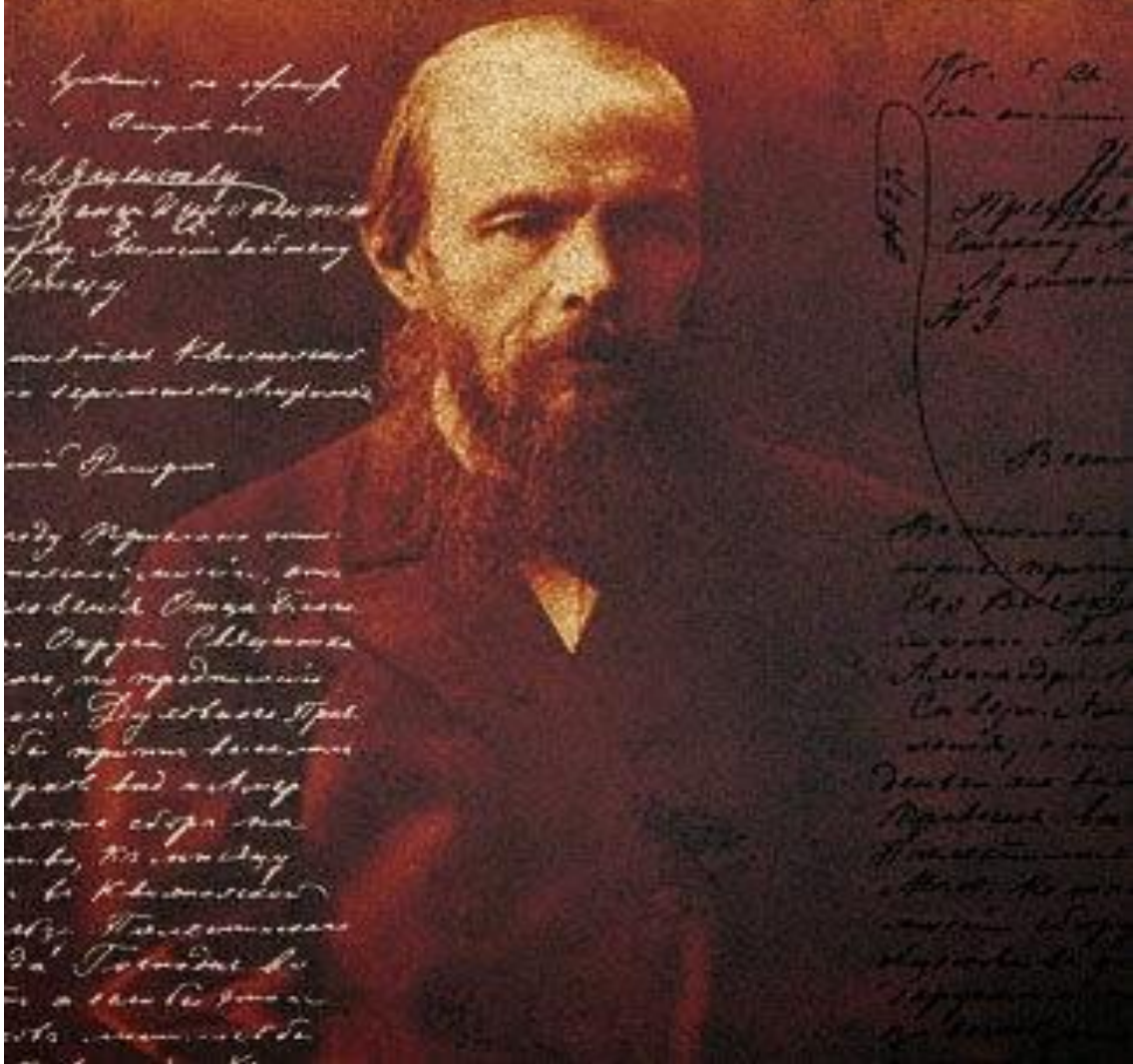


COETZEE

J.M. COETZEE

MISTRZ
Z PETERSBURGA

znak



John Maxwell Coetzee

Mistrz z Petersburga

The Master of Petersburg

Przełożył Wacław Niepokólczycki

1. PETERSBURG

Październik roku 1869. Przez Rynek Sienny w Sankt Petersburgu jedzie wolno dorożka. Dorożkarz ściąga lejce przed wysokim budynkiem czynszowym. Jego pasażer patrzy z powątpiewaniem.

– Jesteś pewien, że to tu? – pyta.

– Ulica Swiecznoj sześćdziesiąt trzy, jak pan chciał.

Pasażer wysiada. Jest to mężczyzna w późnym wieku średnim, brodaty i zgarbiony, o wysokim czole i gęstych brwiach, które sprawiają, że wygląda, jakby był głęboko zatopiony w myślach. Ma na sobie ciemny garnitur o trochę już niemodnym kroju.

– Zaczekaj na mnie – mówi do woźnicy.

Pod pokieroszowanymi i łuszczącymi się frontonami niektóre starsze kamienice zachowały nieco swej pierwotnej elegancji, choć większość zamieniono na czynszówki zamieszkałe przez urzędników, studentów i robotników. Pomiedzy tymi kamienicami, czasem przy ich wspólnych ścianach, wzniesiono rachityczne drewniane budowle, jedno-, a nawet dwupiętrowe zbiorowiska klitek i pokoików, mieszkania najbiedniejszych.

Kamienica oznaczona numerem 63, jedna z tych starszych, jest obrzeżona z obu stron takimi właśnie budowlami. Na dodatek w połowie wysokości przecina ją płatanina belek i podpór, jakby ją osaczając. W załomach

tych umocnień gnieźdzą się ptaki, a ich odchody plamią fasadę.

Grupka dzieci, które wspinają się po rusztowaniu, by rzucać z góry kamienie do kałuż na ulicy, przerywa zabawę i przygląda się obcemu. Troje młodszych to chłopcy, czwarte, które wygląda na przywódcę, jest dziewczynką o jasnych włosach i uderzająco ciemnych oczach.

– Dzień dobry – woła nowo przybyły. – Czy któreś z was wie, gdzie mieszka Anna Siergiejewna Kolenkina?

Chłopcy nie odpowiadają, wpatrując się w niego nieustępliwie. Lecz dziewczynka po chwili upuszcza kamyki.

– Tędy – mówi.

Drugie piętro kamienicy pod numerem 63 jest płataniną łączących się ze sobą pomieszczeń wokół podestu u góry schodów. Idzie za dziewczynką ciemnym krętym korytarzem zalatującym kapustą i gotowaną wołowiną, obok otwartej pralni, do pomalowanych na szaro drzwi, które dziewczynka otwiera pchnięciem.

Są w długim, niskim pokoju, oświetlonym małym okienkiem na wysokości głowy. Ponure wrażenie powiększa ciężka brokatowa tkanina na dłuższej ze ścian. Na powitanie wstaje kobieta w czerni. Ma trzydzieści kilka lat, takie same ciemne oczy i rzeźbione brwi jak dziewczynka, ale jej włosy są czarne.

– Przepraszam, że przychodzę nie zapowiedziany – mówi mężczyzna. – Nazywam się... – waha się. – Podobno mój syn był pani lokatorem.

Wyjmuje z walizeczki jakiś przedmiot i rozwija białą serwetkę, którą jest on owinięty. Jest to portrecik chłopca, dagerotyp w posrebrzanej ramce.

– Może go pani poznaje – mówi. Nie daje jej portreciku do ręki.

– To Paweł Aleksandrowicz, mama – szepce dziewczynka.

– Tak, mieszkał u nas – mówi kobieta. – Bardzo mi przykro. – Zapada niezręczne milczenie. – Był naszym lokatorem od kwietnia – dodaje po chwili. – Jego pokój jest taki, jak go pozostawił, i wszystkie jego rzeczy, brak tylko tego, co zabrała policja. Chce pan zobaczyć?

– Tak – mówi chrapliwie. – Jeśli należy się jakiś czynsz, to ja oczywiście...

Pokój jego syna, choć to tylko klitka oddzielona przepierzeniem od reszty mieszkania, ma własne wejście i okno wychodzące na ulicę. Łóżko schludnie zasłane, a prócz niego jest jeszcze komódka, stolik z lampą i krzesło. U stóp łóżka stoi walizka z wytłoczonymi inicjałami P.A.I. Mężczyzna ją poznaje, to jego prezent dla Pawła.

Podchodzi do okna i patrzy. Dorożka wciąż czeka na ulicy.

– Zrobisz coś dla mnie? – pyta dziewczynkę. – Powiesz woźnicy, że może już jechać, i zapłacisz mu.

Dziewczynka bierze pieniądze i wychodzi.

– Chciałbym zostać na chwilę sam, jeżeli pani pozwoli – mówi do kobiety.

Pierwsze, co robi po jej wyjściu, to odsłania kapełkę łóżka. Pościel jest świeża. Klęka i przykłada nos do poduszki, ale nie czuje nic prócz zapachu mydła i słońca. Otwiera komódkę. Szuflady zostały opróżnione.

Kładzie walizkę na łóżku. Na samym wierzchu leży schludnie złożone białe bawełniane ubranie. Przyciska do niego czoło. Czuje słabiutki zapach syna. Wdycha ten zapach głęboko, raz za razem, myśląc: jego duch wstępuje we mnie.

Przysuwa krzesło do okna, siada i patrzy na zewnątrz. Zapada zmierzch. Pogłębia się. Ulica jest pusta. Mija czas. Myśli nigdzie nie biegną. **Zaduma** – myśli – oto odpowiednie słowo.

Kobieta, Anna Siergiejewna, i jej córka jedzą kolację, siedząc po obu stronach stołu, pomiędzy nimi stoi lampa. Milkną, kiedy wchodzi.

– Wie pani, kim jestem? – pyta.

Ona patrzy na niego spokojnie, czeka.

– Chodzi mi o to, czy pani wie, że nie jestem Isajew?

– Tak, wiemy. Znamy dzieje Pawła.

– Nie chcę wam przeszkadzać w posiłku. Czy mogę na razie zostawić tu walizkę? Zapłacę do końca miesiąca. Chciałbym nawet zapłacić za listopad. Chętnie zatrzymam ten pokój, jeśli nie jest komuś obiecany.

Daje jej pieniądze, dwadzieścia rubli.

– Czy mógłbym tu wpaść od czasu do czasu po południu? Jest ktoś w domu w ciągu dnia?

Ona się waha. Wymienia z córką spojrzenia.

Widocznie już pożałowała. Lepiej, żeby wziął walizkę i nie wracał, wtedy będzie można zamknąć dzieje nieżyjącego lokatora i zwolnić pokój. Wcale nie pragnie w swoim domu obecności tego pogrążonego w żałobie mężczyzny, który roztacza wokół siebie mrok. Ale już za późno, przyjęła pieniądze.

– Matrosza jest w domu po południu – mówi cicho. – Dam panu klucz. Mogę prosić, żeby pan używał własnego wejścia? Drzwi między pokojem lokatora a tym tutaj nie zamykają się na klucz, ale ich nie używamy.

– Przepraszam, nie wiedziałem.

Matriona.

Przez godzinę błąka się po znajomych ulicach dzielnicy. Potem wraca przez Most Kokuszkina do gospody, gdzie wcześniej tego dnia wynajął pokój pod nazwiskiem Isajew.

Nie jest głodny. Kładzie się w ubraniu, składa ręce i próbuje zasnąć. Ale duchem wraca pod numer 63 do pokoju syna. Firanki są rozsunięte. Księżyc oświetla łóżko. On jest tam: stoi przy drzwiach, wstrzymując oddech i patrząc na krzesło w kącie. Czeka, aż mrok zgęstnieje, przejdzie w inny rodzaj mroku, mrok obecności. W milczeniu składa usta w dźwięk synowego imienia, trzy razy, cztery.

Usiłuje rzucić czar. Lecz na kogo: na ducha czy na siebie? Myśli o Orfeuszu, jak idzie tyłem i szepce imię zmarłej, by ją wywołać z wnętrzości piekła. O żonie w śmiertelnym całunie, która podąża za nim ze ślepych,

martwymi oczami i wyciągniętymi przed siebie bezwładnymi jak u lunatyczki ramionami. Żadnej fletni, żadnej liry, nic, tylko to słowo, to jedno słowo, raz po raz. Kiedy śmierć przecina wszystkie inne więzi, pozostaje jeszcze imię. Chrzest: związanie duszy z imieniem, imieniem, które chrzczony poniesie w wieczność. Wstrzymując oddech, układa wargi w dwie sylaby: Pa-weł.

Zaczyna mu się kręcić w głowie.

– Muszę już iść – szepce lub myśli, że szepce. – Ale wrócę.

Wrócę: tę samą obietnicę złożył chłopcu, kiedy go pierwszy raz zaprowadził do szkoły. **Nie porzucę cię.** I porzucił.

Zasypia. Wyobraża sobie, że spada w dół wysokiego wodospadu i zapamiętuje się w tym upadku.

2. CMENTARZ

Spotykają się przy promie. Irytuje go kwiaty, które niesie Matriona. Są drobne, białe, skromne. On nie wie, czy Paweł ma jakieś ulubione kwiaty, ale na pewno zasługuje na róże, choćby nie wiadomo ile kosztowały w październiku, róże szkarłatne jak krew.

– Pomyślałam, że możemy je zasadzić – mówi kobieta, czytając w jego myślach. – Wzięłam łopatkę. Saradela, długo kwitnie. – Teraz on spostrzega: korzenie są owinięte wilgotną szmatką.

Przeprowadzają się niewielkim promem na Jełagin Ostrow, na którym nie był od lat. Są jedynymi pasażerami oprócz dwóch staruszek w czerni. Dzień jest chłodny, mglisty. Gdy się zbliżają, szary i wychudły pies zaczyna skakać po pomoście, ujadając wściekle. Przewoźnik macha bosakiem i pies oddala się na bezpieczną odległość. On zaś myśli: wyspa psów, może są tu ich całe zgraje, czają się pośród drzew w oczekiwaniu, aż żałobnicy odejdą i będzie można zacząć kopać?

Przy budce stróża to nie on, lecz Anna Siergiejewna, o której wciąż myśli jak o **gospodyni**, idzie zapytać o drogę, on czeka na zewnątrz. Potem następuje marsz alejkami zmarłych. Zaczyna płakać. **Czemu właśnie teraz?** – myśli zły na samego siebie. Jednakże łązy są na swój sposób pożądane jak miękka zasłona ślepoty między nim a światem.

– Tutaj, mama! – woła Matriona.

Stoją przed jednym z wielu kopczyków opatrzonych krzyżem z kawałków drewna i deseczką z namalowanym numerem. Próbuje się skupić na tym numerze, jego numerze, lecz przedtem myśli na widok siódemek i czwórek: nie wolno mi nigdy więcej stawiać na siódemkę.

Jest to chwila, w której powinien paść na grób. Lecz wszystko jest zbyt nagłe, a ta szczególna grządka ziemi zbyt obca, aby mógł znaleźć dla niej jakieś uczucie w sercu. Nie ufa też łańcuchowi obojętnych rąk, przez który przeszło ciało, gdy on był w Dreźnie, niczego nieświadomy. Nie jest jeszcze gotów zaakceptować tego zgubnego ciągu od chłopca, który wciąż żyje w jego pamięci, do nazwiska na świadectwie zgonu i numeru na tabliczce. **Prowizorycznego**, myśli, nie ma numerów ostatecznych, wszystkie są prowizoryczne, w przeciwnym razie gra byłaby skończona. Niebawem koło zacznie się obracać, liczby zaczną się poruszać i wszystko będzie znowu dobrze.

Kopczyk ma rozmiary, a nawet kształt leżących zwłok. To w rzeczywistości ni mniej, ni więcej tylko tyle świeżej ziemi, ile trzeba było wydobyć, by zakopać drewnianą skrzynię z młodym, wysokim mężczyzną w środku. Jest w tym coś, przed czym myśl się wzdraga, co on od siebie odpycha. Miejsce myśli zajmują irytujące wspomnienia o tym, co robił w Dreźnie cały ten czas, gdy tu w Petersburgu procedura przechowywania, numerowania, zamykania w trumnie, transportowania,

grzebania podążała własnym obojętnym torem. Czemu w drezdeńskim powietrzu nie było tchnienia przeczucia? Czy muszą zginąć całe rzesze, nim niebiosa zadrżą?

Jednym z powracających obrazów jest obraz jego samego w łazience mieszkania przy Lärchenstrasse, przystrzygającego brodę w lustrze. Błyszczą mosiężne krany nad umywalką, a twarz w lustrze, pochłonięta zadaniem, jest twarzą kogoś obcego z przeszłości. Już wtedy byłem stary, myśli. Wyrok był już wydany, a list z wyrokiem, zaadresowany do mnie, znajdował się w drodze, przechodził z rąk do rąk, tylko ja o niczym nie wiedziałem. **Nastąpił kres radości twego życia:** tak brzmiał ów wyrok.

Gospodyni usiłuje wygrzebać dołek u stóp kopczyka.

– Proszę – mówi mężczyzna i wskazuje gestem, a ona usuwa się na bok.

Rozpina płaszcz, rozpina marynarkę, klęka i rzuca się niezdarnie przed siebie, by leć na płask na mogile z rękami wyciągniętymi nad głową. Płacze niepohamowanie, cieknie mu z nosa. Pociera twarz o wilgotną ziemię, zanurza w niej.

Gdy wstaje, ma piasek na brodzie, włosach i brwiach. Dziewczynka, na którą nie zwraca uwagi, patrzy na niego ze zdziwieniem. On ociera twarz, wydmuchuje nos, zapina ubranie. Cóż za żydowskie przedstawienie! – myśli. – Ale niech zobaczy. Niech zobaczy, że człowiek nie jest z kamienia! Niech zobaczy, że nie ma żadnych granic!

Jakiś przeblysk przebiega z jego oczu ku niej.

Dziewczynka odwraca się zmieszana i przytula do matki. Powrót do gniazda! Straszliwa niechęć wypływa z niego ku żywym, a szczególnie żywym dzieciom. Gdyby tam było w tej chwili jakieś nowo narodzone dziecko, wyrwałby je z rąk matki i roztrzaskał o skałę. Herod, myśli, teraz rozumiem Heroda! Niechaj nastąpi kres ludzkości.

Odwraca się od matki i córki i odchodzi. Wkrótce wychodzi poza nową część cmentarza i błądzi wśród starych kamieni nagrobnych, wśród dawno nieżyjących.

Kiedy wraca, saradela jest już posadzona.

– Kto będzie o nią dbał? – pyta ponuro.

Kobieta wzrusza ramionami. Nie do niej należy odpowiedź. Teraz jest jego kolej, to on powinien powiedzieć: będę przychodził codziennie i ją pielęgnowałem, albo: niech Bóg ma ją w opiece, albo też: nikt nie będzie o nią dbał, ona zemrze, niechaj zemrze.

Małe białe kwiatuszki kołyszą się radośnie w podmuchach wiatru.

Chwyta kobietę za ramię.

– Nie ma go tu, on nie umarł – mówi łamiącym się głosem.

– Nie, oczywiście, nie umarł, Fiodorze Michajłowiczu – mówi rzeczowo, utwierdzająco. Więcej: jest w tej chwili macierzyńska, nie tylko wobec córki, ale i wobec Pawła.

Dłonie ma drobne, palce smukłe i jakby dziecinne, a figurę mimo to pełną. Odczuł absurdalną chęć, aby położyć głowę na jej piersi i poczuć, jak te palce głaszczą

jego włosy.

Niewinność dłoni, wciąż odnawialna. Wraca wspomnienie: dotyk dłoni, intymny w mroku. Ale czyjej dłoni? Dłonie wynurzające się jak zwierzątka, bez wstydu, bez pamięci, na światło dzienne.

– Muszę zapisać sobie ten numer – mówi, unikając jej wzroku.

– Ja go mam.

Skąd pochodzi to pożądanie? Jest dojmujące, ogniste. Chce chwycić tę kobietę za rękę, zaciągnąć za budkę stróża, zedrzeć jej spódnicę, sparzyć się z nią.

Myśli o żałobnikach, którzy podczas czuwania przy zmarłym rzucają się na jedzenie i picie. Jest w tym jakaś egzaltacja, ciśnięta śmierci w twarz przechwałka. Nas nie dostałaś!

Znow są na pomoście. Szare psisko podkrada się do nich ostrożnie. Matriona chce je pogłaskać, ale matka odwodzi ją od tego. Jest z tym psiskiem coś nie w porządku i przez jego grzbiet, od nasady ogona, biegnie otwarta rana. Pies skamle cichutko bez przerwy albo nagle przysiada na zadzie i atakuje ranę zębami.

On zaś obiecuje, że jutro tu wróci: przyjdę sam, więc porozmawiamy. W tej myśli o powrocie, o przeprawie przez rzekę, o odszukaniu drogi do miejsca spoczynku syna, o byciu z nim sam na sam we mgle, jest niema zapowiedź przygody.

3. PAWEŁ

Siedzi w pokoju syna z białym ubraniem na kolanach, cichutko oddychając, i usiłuje się zatracić, próbuje wywołać ducha, który z pewnością nie mógł jeszcze opuścić tych miejsc.

Mija czas. Z sąsiedniego pokoju, zza przepierzenia, słychać stłumioną rozmowę matki i córki oraz odgłosy nakrywania do stołu. Odkłada na bok ubranie, puka do drzwi. Głosy nagle milkną. Wchodzi.

– Ja już sobie pójdę – mówi.

– Zaraz siadamy do kolacji, jak pan widzi. Może zechce się pan przyłączyć?

Jedzenie, którym go częstują, jest proste: zupa i ziemniaki z solą i masłem.

– Jak do tego doszło, że mój syn zamieszkał u pani? – pyta w pewnej chwili. Wciąż pilnie dba, żeby mówić o nim mój syn: gdyby wymówił jego imię, zaczęłby dygotać.

Kobieta waha się, a on rozumie czemu. Mogłaby powiedzieć: był miłym chłopcem. Polubiłyśmy go. Ale słowo **był** jest przeszkodą, głazem na jej drodze. Póki nie znajdzie sposobu obejścia przeszkody, nie wypowie tego przy mm.

– Poleciał mi go poprzedni lokator – mówi w końcu. I tyle wszystkiego.

Uderza go, że jest taka sucha, sucha jak skrzydło motyla. Jakby pomiędzy jej skórą a halką, pomiędzy skórą

a czarnymi pończochami, jakie niewątpliwie nosi, była warstewka miążkiego białego popiołu, tak iż zwolnione u ramion, jej odzienie ześliznęłoby się na podłogę bez żadnej pomocy.

Chciałby ujrzeć ją naga, tę kobietę w ostatnim rozkwicie młodości.

Trudno byłoby ją nazwać kobietą wykształconą, ale czy kto słyszał piękniej brzmiącą mowę? Język jak ptaszek trzepocze się w jej ustach: miękkie piórka, miękki łopot skrzydeł.

U córki nie dostrzega ani krzty miękkiej matczynej suchości. Przeciwnie, jest w niej coś płynnego, coś z młodej łani, ufnej, a zarazem nerwowej, co wyciąga szyję, aby powąchać rękę obcego, cała jednocześnie spięta, gotowa odskoczyć. Jak to możliwe, że taka ciemnowłosa kobieta urodziła takie jasne dziecko? Potwierdza to jednak wiele oznak: małe, niemal nie uformowane palce; czarne oczy, lśniące jak u bizantyńskich świętych; piękna, rzeźbiona linia brwi, nawet markotny nastrój.

Dziwne, jak jakaś cecha może przybrać doskonały kształt u dziecka, podczas gdy u rodzica wygląda na kopię!

Dziewczynka unosi wzrok na chwilę, spotyka jego badawcze spojrzenie i odwraca się zmieszana. Powstaje w nim gniewny impuls. Chce chwycić ją za ramię i potrząsnąć. Spójrz na mnie, dziecko! – chce powiedzieć.

– Spójrz na mnie i ucz się!

Nóż spada mu na podłogę. Sięga poń z wdzięcznością. Czuje się, jakby zdarto mu skórę z twarzy, jakby wbrew

sobie narzucał się im obu w szkaradnej krwawiącej masce.

Kobieta znowu się odzywa:

– Matriona i Paweł Aleksandrowicz bardzo się przyjaźnili – mówi twardo i starannie. A do dziecka – Udzielał ci lekcji, prawda?

– Uczył mnie francuskiego i niemieckiego. Głównie francuskiego.

Matriona to nieodpowiednie dla niej imię. To imię starej kobiety, imię drobnej staruszki z twarzą jak suszona śliwka.

– Chciałbym ci dać jakąś jego rzecz – mówi do dziewczynki. – Coś na pamiątkę po nim.

Dziewczynka znowu spogląda na niego zmieszana, przygląda mu się jak pies obcemu, ledwie słysząc, co się do niej mówi. Co się dzieje? I pojawia się odpowiedź: ona nie może sobie wyobrazić mnie w roli ojca Pawła. Usiłuje zobaczyć we mnie Pawła i nie może. I jeszcze myśl: dla niej Paweł jeszcze nie jest martwy. Gdzieś w niej wciąż żyje, oddycha ciepłym, słodkim oddechem młodości. Podczas gdy ta moja czerń, ta brodatość, ta kościstość muszą być wstrętne jak sama kostucha. Kostucha z jej kościanymi biodrami, długimi na cal zębami i grzechotem kostek nóg, gdy idzie.

Nie chce rozmawiać o swoim synu. Słuchać, gdy o nim mówią, tak, nawet chętnie, ale nie rozmawiać. Arytmetycznie rzecz biorąc, jest to dziesiąty dzień od śmierci Pawła. Z każdym mijającym dniem wspomnienia o nim, które wciąż mogą unosić się w powietrzu jak

jesienne liście, są wdeptywane w błoto lub porywane przez wiatr i wznoszone ku oślepiającym niebiosom. Tylko on jeden chce gromadzić i zachowywać te wspomnienia. Wszyscy inni trzymają się porządku śmierci, żałoby i zapomnienia. Mówią, że gdybyśmy nie zapominali, świat wkrótce stałby się jedną wielką biblioteką. Ale już sama myśl, że Paweł mógłby zostać zapomniany, przyprawia go o wściekłość, zamienia w starego byka, rozjuszonego, popatrującego złowrogo, niebezpiecznego.

Chce słuchać opowieści. A dziewczynka, o dziwo, właśnie pragnie opowiadać.

– Paweł Aleksandrowicz mówił – szuka u matki wzrokiem potwierdzenia, że może wypowiedzieć to martwe imię – że pozostanie w Petersburgu bardzo krótko, a potem pojedzie do Francji.

Urywa. On zaś czeka niecierpliwie na jej dalsze słowa.

– Dlaczego chciał jechać do Francji? – pyta dziewczynka, zwracając się tym razem wyłącznie do niego.
– Co takiego jest we Francji?

We Francji?

– On nie chciał jechać do Francji, on chciał po prostu wyjechać z Rosji – odpowiada. – Kiedy się jest młodym, człowieka irytuje wszystko, co go otacza. Irytuje go własna ojczyzna, bo własna ojczyzna wydaje mu się stara i zatechła. Człowiek pragnie nowych widoków, nowych idei. Wydaje mu się, że we Francji, w Niemczech czy w Anglii znajdzie przyszłość, jakiej własna ojczyzna nie może mu zapewnić.

Dziewczynka się krzywi. On mówi **Francja, ojczyzna**, lecz ona słyszy coś innego, co się kryje pod tymi słowami: rozgoryczenie.

– Mój syn otrzymał niekompletne wykształcenie – mówi mężczyzna, zwracając się tym razem nie do córki, lecz do matki. – Musiałem przenosić go ze szkoły do szkoły. Powód był prosty: chłopiec nie lubił rano wstawać. Nic nie było w stanie go obudzić. Być może trochę przesadzam. Ale nie można oczekiwać, że się zda maturę, nie chodząc do szkoły.

Kto słyszał, żeby mówić coś takiego w takiej chwili! Niemniej brnął dalej, zwracając się do córki:

– Jego francuski nie był bardzo pewny ... musiałaś to zauważyć. Może dlatego chciał jechać do Francji... żeby poprawić swój francuski.

– Dużo czytał – mówi matka. – Czasem lampa w jego pokoju paliła się całą noc. – Jej głos pozostaje cichy, równy. – Nam to nie przeszkadzało. Bardzo lubiliśmy Pawła Aleksandrowicza, prawda? – Uśmiecha się do dziewczynki, jakby ją pieściła.

Lubiłyśmy. Przeszło jej w końcu przez gardło.

Krzywi się.

– Ale nadal nie rozumiem...

Zapada niezręczne milczenie. On zaś nie robi nic, aby je złagodzić. Przeciwnie, jeży się jak wilk broniący szczenięcia. Strzeżcie się, myśli, nie śmiecie powiedzieć o nim złego słowa! Ja jestem jego matką i ojcem, jestem dla niego wszystkim, a nawet czymś jeszcze więcej! Jest

coś, co, wstawszy, pragnąłby wykrzyczeć. Ale co? Kto jest tym wrogiem, któremu się przeciwstawia?

Z głębi krtani, gdzie już nie może go zdławić, wyrywa się jęk. Zakrywa twarz dłońmi. Łzy ciekną mu po palcach.

Słyszy, że kobieta wstaje od stołu. Czeka, aż dziewczynka także wstanie, ale ona się nie rusza.

Wyciera więc po chwili oczy i wydmuchuje nos.

– Bardzo mi przykro – szepce do dziewczynki, która wciąż siedzi przy stole z głową zwieszoną nad pustym talerzem.

Zamyka za sobą drzwi pokoju Pawła. Przykro? Nie, prawda jest taka, że nie jest mu przykro. Ani trochę. Jest wściekły na wszystkich, którzy żyją, gdy jego dziecko umarło. Wściekły przede wszystkim na tę dziewczynkę, którą za samą potulność rozerwałby na strzępy.

Kładzie się na łóżku z rękoma przyciśniętymi mocno do piersi, oddycha szybko, usiłując wypędzić demona, który go opanowuje. Wie, że niczego bardziej nie przypomina, jak wystawionego na widok nieboszczyka, a to, co nazywa demonem, jest niczym innym jak jego własną duszą trzepoczącą skrzydłami. Lecz pozostawanie żywym jest w chwili obecnej rodzajem mdłości. Pragnie umrzeć. Więcej: chce zostać zniszczony, unicestwiony.

Co się tyczy życia po drugiej stronie, on w nie nie wierzy. Spodziewa się spędzić wieczność na brzegu rzeki wraz z rzeszami innych martwych dusz w oczekiwaniu na barkę, która nigdy nie przybędzie. Powietrze będzie chłodne i wilgotne, czarne fale będą chlupotały o brzeg,

ubranie przegnije mu na grzbiecie i zsunie się do stóp, a on już nigdy nie ujrzy swojego syna.

Znowu liczy dni na zimnych palcach splecionych na piersi. Dziesięć. Oto jak człowiek się czuje po dziesięciu dniach.

Poezja mogłaby przywrócić mu syna. Czuje, jakiego trzeba by na to poematu, czuje jego melodykę. Ale on nie jest poetą: jest raczej jak pies, który zgubił kość i grzebie to tu, to tam.

Czeka, aż blask światła w szparze pod drzwiami zgaśnie, a wtedy cicho wychodzi z pokoju i udaje się do siebie.

W nocy śni mu się, że płynie pod wodą. Światło jest błękitne i mgliste. Płynie łatwo i z wdziękiem. Chyba zgubił kapelusz, ale wygląda w czarnym ubraniu jak żółw, wielki stary żółw w swoim naturalnym żywiole. Nad nim woda się marszczy, ale tu, przy dnie, jest nieruchoma. Przepływa przez kolonie wodorostów, bezwładne palce wodnych traw ocierają się o jego płetwy, jeżeli są to płetwy.

Wie, czego tam szuka. Płynąc, otwiera czasem usta i dobywa z siebie coś jak okrzyk lub wołanie. Z każdym okrzykiem czy wołaniem woda wdziera mu się do ust. Każdą sylabę zastępuje sylaba wody. Robi się coraz cięższy, aż wreszcie zaczyna się ocierać mostkiem o muł na dnie rzeki.

Paweł leży na plecach. Oczy ma zamknięte. Jego

włosy, poruszane prądem wody, są miękkie jak u dziecka.

Rzuca się ku synowi z krzykiem z żółtego gardła, który brzmi raczej jak szczeknięcie. Pragnie ucałować jego twarz, ale gdy przykłada twarde wargi do policzka, nie jest pewien, czy nie kąsa.

I wtedy się budzi.

Zgodnie ze starym nawykiem spędza rano w pokoju przy biurku. Kiedy pokojówka przychodzi sprzątać, odgania ją ruchem ręki. Ale nie pisze ani słowa. Nie dlatego, że czuje się sparaliżowany. Serce pracuje równo, umysł jest jasny. Każdej chwili może wziąć pióro i zacząć formować litery na papierze. Lecz boi się, że to, co by napisał, byłoby dziełem szaleńca – strona za stroną sama nikczemność i plugastwo, nieokiełznane. Wyobraża sobie to szaleństwo jako coś, co płynie arterią prawej ręki aż do koniuszków palców, a stamtąd, przez pióro, na papier. Płynie strumieniem. Wcale nie trzeba maczać pióra, ani razu. To, co spływa na papier, nie jest krwią ani atramentem, lecz kwasem, czarnym, z niemiłym zielonym połyskiem w blasku światła. Kwas ten wcale nie schnie na papierze: gdyby ktoś przeciągnął po nim palcem, doznałby wrażenia, że dotyka czegoś płynnego, elektrycznego. To pismo, które nawet ślepi potrafiliby odczytać.

Po południu wraca na ulicę Swiecznej, do pokoju Pawła. Zamyka wewnętrzne drzwi i podpiera je krzesłem. Potem rozkłada biały garnitur na łóżku. Widzi teraz, w świetle dnia, jakie brudne są mankiety. Wącha miejsca

pod pachami i czuje wyraźną woń – nie dziecka, ale innego mężczyzny, dorosłego mężczyzny. Wchłania tę woń raz po raz. Ile jeszcze takich wdechów, zanim woń zwietrzeje? Czy gdyby zamknąć garnitur w szklanej gablocie, zapach by się zachował?

Zdejmuje własne ubranie i wkłada białe. Choć marynarka na nim wisi, a spodnie są za długie, nie czuje się błazeńsko.

Kładzie się i krzyżuje ramiona na piersi. Jest to poza teatralna, lecz on jest gotów na wszystko, cokolwiek dyktuje impuls. Zarazem nie pokłada wiary w impulsy.

Jawi mu się wizja Petersburga rozłożonego szeroko pod bezlitosnymi gwiazdami. Na niebie jest wypisane po hebrajsku jakieś słowo. On nie umie przeczytać tego słowa, ale wie, że ono znaczy potępienie, klątwę.

Za jego synem zamknęła się brama, brama zamknięta na siedem żelaznych spustów. Trud otwarcia bramy złożono na jego barki.

Myśli, uczucia, wizje. Czy im ufa? Pochodzą z największej głębi jego serca, lecz nie ma sensu bardziej ufać sercu niżli rozumowi.

Jestem w odwrocie od czegoś do czegoś, myśli, a gdy ten odwrót się zakończy, co ze mnie zostanie?

Myśli o sobie jako powracającym do jaja lub przynajmniej do czegoś gładkiego, chłodnego, szarego. Może to nie jest po prostu jajo: może to dusza, może właśnie tak wygląda dusza.

Słyszczyć pod łóżkiem jakiś szmer. Czyżby mysz?

A niech tam... Odwraca się, naciąga białą marynarkę na twarz, wdycha.

Od przyjścia wieści o śmierci syna coś zeń uchodzi, jakby energia. To ja jestem martwy, myśli, albo raczej umarłem, lecz moja śmierć nie przyszła. Czuje, że jego ciało jest silne, krzepkie, że nie ulegnie samo z siebie. Jego pierś jest jak beka o zdrowych klepkach. Serce będzie jeszcze długo biło. Niemniej wyrwano go z ludzkiego czasu. Prąd, który go unosi, nadal płynie, wciąż ma kierunek, nawet cel. Lecz tym celem już nie jest życie. Niesie go martwa woda, martwy prąd.

Zasypia. Kiedy się budzi, jest ciemno i cały świat jest cichy. Zapala zapałkę, próbując ochłonać z zamroczenia. Minęła północ.

Wpełza pod kołdrę, śpi niespokojnie. Rankiem, cuchnący i rozczochrany, natyka się w drodze do łazienki na Annę Siergiejewną. W chustce na głowie i wielkich buciorach wygląda jak straganiarka. Patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Zasnąłem, byłem zmęczony – tłumaczy jej.

Ale nie o to chodzi. Chodzi o biały garnitur, który on ma wciąż na sobie.

– Jeśli pani pozwoli, zostanę tu, w pokoju Pawła, aż do wyjazdu – mówi. – To potrwa tylko kilka dni.

– Nie mogę teraz rozmawiać, bardzo się spieszę – odpowiada ona. Pomysł wyraźnie jej się nie podoba. I nie wyraża zgody. Lecz zapłacił, więc ona nie może mu zabronić.

Przez cały ranek siedzi przy stoliku w pokoju syna, z głową wspartą na dłoniach. Nie może udawać, że pisze. Myślami biegnie do chwili śmierci Pawła. Nie może znieść myśli, że w ostatnim ułamku ostatniej chwili swojego upadku Paweł wiedział, iż nic go nie może ocalić, że już po nim. Pragnie wierzyć, że została mu zaoszczędzona ta pewność, straszniejsza niż samo unicestwienie, przez szybkość, gwałtowność upadku, przez zdolność samoznieczulania umysłu na wszystko, co jest nie do zniesienia w swym ogromie. Pragnie całym sercem w to uwierzyć. A jednocześnie wie, iż chce uwierzyć, aby się znieczulić na świadomość, że Paweł, padając, wiedział wszystko.

W takich chwilach jak ta nie odróżnia Pawła od siebie. Są tą samą osobą, osoba ta zaś jest ni mniej, ni więcej tylko myślą, którą Paweł myśli w nim, a on myśli w Pawle. Ta myśl utrzymuje Pawła przy życiu, zawieszzonego w swoim upadku.

Pragnie uchronić swojego syna właśnie przed świadomością śmierci. Lepiej, żebym to ja, myśli, miał jej świadomość! Choćby to wymagało największego wysiłku woli, niech to ja będę tym myślącym zwierzęciem, które spada głową w dół.

Siedząc z zamkniętymi oczyma przy stole, z zaciśniętymi pięściami, odpycha świadomość śmierci od Pawła. Myśli, że jest jak Tryton na Piazza Barberini w Rzymie, który trzyma przy ustach konchę tryskającą nieprzerwanie kryształową strugą. Dzień i noc tchnie w tę

wodę życie. Żyły na jego szyi, uchwycone w brązie,
nabrzmiały z wysiłku.

4. BIAŁY GARNITUR

Przyszedł listopad i pierwszy śnieg. Na niebie pełno ptactwa bagiennego migrującego na południe.

Przeprowadził się do pokoju Pawła i w kilka dni stał się częścią życia kamienicy. Dzieci już nie przerywają zabaw, by patrzeć, kiedy przechodzi, chociaż wciąż ściszą głosy. Wiedzą, kim jest. A kim jest? Nieszczęściem, ojcem nieszczęścia.

Codziennie mówi sobie, że musi wrócić na Jełagin Ostrow, na grób. Ale nie wraca.

Pisze do żony w Dreźnie. Te listy są uspokajające, ale wyzute z uczuć.

Spędza ranki w pokoju, ranki całkowitej pustki, które z czasem nabierają własnego zdradzieckiego i śmiertelnego smaku. Popołudniami spaceruje po ulicach, unikając okolic Małej Mieszczańskiej i Prospektu Wozniesińskiego, gdzie mógłby zostać rozpoznany, i wstępuje na godzinkę do herbaciarni, zawsze tej samej.

W Dreźnie czytywał rosyjskie gazety. Lecz teraz stracił zainteresowanie światem zewnętrznym. Jego świat się skurczył, mieści się w piersi.

Ze względu na Annę Siergiejewnę wraca do mieszkania dopiero po zmierzchu. Póki nie zawołają go na kolację, siedzi cicho w pokoju, który jest jego i nie jego.

Siedzi na łóżku z białym garniturem na kolanach. Nikt go nie widzi. Nic się nie zmieniło. Czuje więź miłości

łączącą jego serce z sercem syna równie fizycznie, jakby to był sznur. Czuje, jak ten sznur skręca się i ściska mu serce. Jęczy głośno.

– Tak – szepce, radośnie witając ten ból. Siega i jeszcze raz skręca sznur.

Drzwi za plecami otwierają się. Odwraca się, spłoszony, zgięty i wykrzywiony, ze łzami w oczach i stłamszonym garniturem na kolanach.

– Czy będzie pan teraz jadł? – pyta dziewczynka.

– Dziękuję, ale wolałbym dziś wieczorem być sam.

Później dziewczynka wraca.

– Chce pan herbaty? Mogę panu przynieść.

Przynosi uroczyście, na tacy, imbryk, cukiernicę i filiżankę.

– Czy to ubranie Pawła Aleksandrowicza?

On odkłada garnitur, kiwa głową.

Dziewczynka stoi na odległość wyciągniętego ramienia i patrzy, jak on pije. Znowu uderza go delikatna linia jej skroni i kości policzkowej, czarne, wilgotne oczy, ciemne brwi, włosy jasne jak słoma. Wzbierają w nim uczucia, sprzeczne, niczym dwie fale uderzające o siebie: chęć otoczenia jej opieką i chęć napaści na nią za to, że żyje.

Dobrze, że jestem odizolowany, myśli. W obecnym stanie nie nadaję się do przebywania między ludźmi.

Czeka, aż ona coś powie. Chce, żeby coś powiedziała. Jest to oburzające, by żądać czegoś takiego od dziecka, lecz on mimo to żąda. Unosi na nią wzrok. Nic nie jest w nim

zawoalowane. Patrzy na nią zupełnie odsłonięty.

Na chwilę dziewczynka napotyka jego wzrok. Potem odwraca oczy, robi niepewny krok w tył, następnie dziwny, niezgrabny dyg i umyka z pokoju.

On zaś jest świadom, jeszcze gdy to się dzieje, że nie zapomni tego i może nawet kiedyś wykorzysta w jakimś utworze. Odczuwa wstyd, ale powierzchowny i przelotny. Bo najpierw w jego pisarstwie, a teraz i w życiu, wstyd jakby stracił władzę, a jego miejsce zajęła obojętna i amoralna bierność, która się nie wzdraga przed żadną skrajnością. Jest tak, jakby kątem oka widział nadciągające ze straszliwą prędkością burzowe chmury. Wszystko, co stoi na ich drodze, ma zostać zmiecione. Z trwogą, ale i z podnieceniem czeka, aż burza się rozpęta.

O jedenastej wychodzi bez zapowiedzi ze swego pokoju. Alkowa, w której sypia Matriona ze swoją matką, jest odgradzona zasłonką, lecz Anna Siergiejewna jeszcze się nie położyła, siedzi przy stole i szyje w świetle lampy. Podchodzi do stołu i siada naprzeciwko niej.

Palce Anny Siergiejewny są wprawne, ruchy zdecydowane. On na Syberii nauczył się szyć z konieczności, lecz nie potrafi tego robić z takim płynnym wdziękiem. W jego palcach igła jest dziwactwem, strzałą z kraju Liliputów.

– Tu jest za słabe światło do takiej roboty – mruczy.

Ona zaś pochyla głowę, jakby mówiąc: słyszę cię, lecz również: a co mogę na to poradzić?

– Czy Matriona jest pani jedynym dzieckiem?

Patrzy mu prosto w oczy. Podoba mu się ta bezpośredniość. Podobają mu się jej oczy, które wcale nie są łagodne.

– Miała brata, ale umarł, kiedy był maleńki.

– A więc pani wie.

– Nie, nie wiem.

Co ona chce powiedzieć? Że śmierć niemowlęcia jest łatwiejsza do zniesienia? Nie wyjaśnia.

– Jeżeli pani pozwoli, kupię pani lepszą lampę. Szkoda byłoby tak wcześnie zepsuć sobie oczy.

Ona zaś pochyła głowę, jakby chciała powiedzieć: dziękuję, że pan o tym pomyślał, ale nie będę pana trzymała za słowo.

Tak wcześnie: co on ma na myśli?

A on wie już od pewnego czasu, że gdy pojawią się następne słowa, nie będzie starał się ich powstrzymać.

– Odczuwam głód mówienia o synu – wypowiada je – a jeszcze większy głód słuchania o nim.

– Był wspaniałym młodym człowiekiem – spełnia jego życzenie. – Szkoda, że znałyśmy go tak krótko. – A potem, jakby zdając sobie sprawę, że to nie wystarczy – Czytywał Matronie do poduszki. Czekala na te chwile cały dzień! Oni się naprawdę lubili.

– Co czytali?

– Pamiętam *Złotego Kogucika* i Kryłowa. Uczył ją też trochę francuskich wierszyków. Do tej pory je umie.

– Dobrze, że macie w domu książki. – Wskazuje półkę, na której stoi kilkadziesiąt tomów. – Dobrze dla

rosnącego dziecka.

– Mąż był drukarzem. Pracował w drukarni. Dużo czytał, to była jego rozrywka. To tylko część jego książek. Kiedy żył, w mieszkaniu było zatrzęsienie książek. Nie wystarczyło miejsca na wszystkie. – Zawahała się. – Mamy też jedną pana książkę. *Biedni ludzie*. To była ulubiona lektura mego męża.

Zapada milczenie. Lampa zaczyna migotać. Anna Siergiejewna przykręca knot i odkłada szycie. Kąty pokoju toną w mroku.

– Musiałam poprosić Pawła Aleksandrowicza, żeby nie zapraszał do siebie przyjaciół wieczorami – mówi. – Teraz tego żałuję. Zrobiłam to, jak nie dawali nam spać, pijąc i dyskutując do późna w nocy. On miał dość nieokrzesanych przyjaciół.

– Tak, był bardzo demokratyczny w swoich przyjaźniach. Umiał rozmawiać ze zwykłymi ludźmi o rzeczach bliskich ich sercom. Ludzie prości odczuwają głód idei. On nigdy nie odnosił się do nich z wyższością.

– Nie odnosił się też z wyższością do Matrioszy.

Światło przygasa, lampa filuje. Balsam słów, myśli, rozsmarowany na bolące miejsca. Ale czy ja chcę zostać uzdrowiony?

– Był poważny, mimo młodego wieku – prze dalej. – Myślał o Rosji, o warunkach naszej egzystencji. Troszczył się o rzeczy, które są ważne dla zwykłych ludzi.

Następuje długa przerwa. Hołd, myśli, składam hołd, aczkolwiek niezręczny, aczkolwiek spóźniony, i usiłuję ją

też do tego zmusić. A czemuż by nie!

– Zastanawiam się nad czymś, co pan onegdaj powiedział – mówi ona w zamyśleniu. – Czemu mi pan mówił o tym spaniu do późna Pawła?

– Czemu? Bo to, choć teraz może się wydać mało ważne, było zmorą jego życia. Z powodu tego przesypiania musiałem go przenosić ze szkoły do szkoły. Dlatego właśnie nie zdał matury. Tak więc w końcu znalazł się tu, w Petersburgu, na pograniczu społeczności studenckiej, z którą tak naprawdę nie miał nic wspólnego, do której nie przynależał. To nie z lenistwa. Po prostu nic nie było w stanie go obudzić... żadne krzyki, potrząsania, prośby, groźby. Zupełnie jakby się chciało obudzić niedźwiedzia, niedźwiedzia pogrążonego w śnie zimowym!

– Ja to rozumiem. Niektóre dzieci nigdy nie mogą się nagiąć do wymogów szkoły. Ale mnie chodzi o coś innego. Proszę wybaczyć, że to mówię, ale uderzyło mnie, że pan się na niego za to gniewał.

– Pewnie, że się gniewałem! Jego matka zmarła, niech pani pamięta, kiedy miał piętnaście lat. Niełatwo mi było wychowywać go samemu. Miałem lepsze rzeczy do roboty niż wyciąganie z łóżka chłopca w tym wieku. Gdyby Paweł skończył szkołę tak jak wszyscy inni, nic takiego by się nie zdarzyło.

– Takiego?

Wykonuje niecierpliwy ruch ramieniem, jakby odprawiając to mieszkanie, miasto Petersburg, nawet wielki ciemny baldachim nocy ponad nimi.

Ona rzuca mu niewzruszone, spokojne spojrzenie, i pod tym spojrzeniem zaczyna mu świtać w głowie, co powiedział. Opanowuje go drzenie, które się rozpoczyna od prawej dłoni. Wstaje i chodzi po pokoju z założonymi za plecy rękami. Nadciąga coś, czego nazwy pragnie uniknąć. Próbuje mówić, ale głos ma zduszony. Zachowuję się jak postać z książki, myśli. Lecz nawet drwienie z siebie nie pomaga. Barki mu się unoszą. Zaczyna łkać bezgłośnie.

W książce kobieta zareagowałaby na jego smutek przyływem litości. Lecz ona tak nie reaguje. Siedzi przy stole w migotliwym świetle z odwróconą głową i robótką na kolanach. Jest późno, nikt ich nie widzi, dziewczynka śpi.

Do licha z sercem, mówi sobie. Do licha z grą na uczuciach. Kamieniem probierczym nie jest serce i to, co ono czuje, lecz śmierć i to, co czuje martwy chłopiec!

W tym momencie doznaje najwyraźniejszej z wizji, wizji Pawła, który się śmieje z niego, z jego zrzędzenia, jego łez, komedianctwa oraz tego, co kryje się za tym komedianctwem. Nie jest to śmiech pogardy, ale przeciwnie, przyjaźni i wybaczenia. On wie! – myśli – **wie i nie ma za złe!** Ogarnia go fala radości, wdzięczności i miłości. **Teraz niechybnie nastąpi paroksyzm!** – myśli również, ale nie dba o to. Nie wstrzymuje już łez, wraca po omacku do stołu, chowa w ramionach głowę i zaczyna zawodzić z żalu.

Nikt nie głaszcze go po włosach, nikt nie szepce mu

słów pocieszenia do ucha. Ale gdy wreszcie, szukając chusteczki, unosi głowę, stoi przed nim Matriona i przypatruje mu się uważnie. Jest w białej koszuli nocnej, a jej włosy, szesane do tyłu, opadają na ramiona. Nie może nie zwrócić uwagi na pączkujące piersi. Próbuje się do niej uśmiechnąć, lecz wyraz jej twarzy się nie zmienia. **Ona także wie**, myśli. Wie, co jest fałszem, a co prawdą; albo patrząc głęboko, chce wiedzieć.

Opanowuje się. Jego spojrzenie przez ostatnie łyzy natrafia na jej spojrzenie. W tym momencie coś między nimi zachodzi, przed czym on się wzdraga, jakby przeszyty rozpalonym do czerwoności drutem. Potem matka otacza ją ramieniem, szepce słówko do ucha i dziewczynka wraca do łóżka.

5. MAKSIMOW

– Dzień dobry. Przyszedłem odebrać rzeczy – (jest zdumiony, jak opanowanym mówi głosem) – należące do mojego syna. Syn doznał wypadku w ubiegłym miesiącu i policja zabrała niektóre z jego rzeczy.

Rozkłada kwitek i podaje przez kontuar. Zależnie od tego, czy Paweł oddał ducha przed czy po północy, kwitek jest datowany w dzień lub dzień po śmierci Pawła i wymienia po prostu „listy i inne papiery”.

Policjant przygląda się kwitkowi powątpiewająco.

– Dwunasty października. To niecały miesiąc temu. Sprawa nie będzie jeszcze załatwiona.

– A jak długo trwa załatwianie?

– Może trwać dwa miesiące, trzy, a nawet rok. Zależy od okoliczności.

– Jakich okoliczności? Nie było żadnego przestępstwa.

Trzymając kwitek na odległość wyciągniętego ramienia, policjant opuszcza pomieszczenie. Wraca z wyraźnie bardziej cierpką miną.

– Pan jest...

– Isajew. Ojciec...

– Tak, Isajew. Zechce pan usiąść, zaraz się panem zajmujemy.

Serce w nim zamiera. Myślał, że po prostu weźmie to, co należało do Pawła, i wyjdzie. Najmniej ze wszystkiego może sobie pozwolić, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Nie mogę długo czekać – mówi z ożywieniem.

– Tak, proszę pana, jestem pewien, że prowadzący śledztwo wkrótce pana przyjmie. Niech pan po prostu usiądzie i się rozgości.

Patrzy zatem na zegarek, siada na ławie i rozgląda się z pozorowanym zniecierpliwieniem. Jest wcześnie. W poczekalni znajduje się poza nim tylko młody człowiek w powalonym farbą ubraniu malarza pokojowego. Siedząc sztywno, jakby kij połknął, śpi. Oczy ma zamknięte, szczękę obwisłą, a z głębi gardła dobywa mu się ciche gulgotanie.

Isajew. Zamęt w duszy jeszcze nie ustał. Czy nie należałoby od razu odrzucić tę historię z Isajewem, zanim w niej ugrzęźnie? „Proszę pana, zaszła drobna pomyłka. Sprawy mają się nieco inaczej, niż na to wygląda. W pewnym sensie nie jestem Isajewem. Ten Isajew, którego nazwiskiem się posługuję z przyczyn osobistych, których nie będę obecnie przedstawiał, ale zupełnie uzasadnionych przyczyn, ten Isajew nie żyje od lat. Niemniej wychowałem Pawła Isajewa jak własnego syna i kocham jak syna. W tym sensie nosimy to samo nazwisko albo powinniśmy nosić. Tych kilka papierów, które po sobie pozostawił, jest dla mnie bardzo cenne. Dlatego tu jestem”. A jeśli on dokona tego wyznania spontanicznie, oni zaś niczego nie podejrzewają? Jeśli właśnie zamierzają oddać mu papiery, a po tym wyznaniu zmienią zdanie? „A cóż to? Czyżby za tymi papierami kryło się coś więcej?”

Kiedy tak siedzi, wahając się, czy się przyznać, czy też

dalej brnąć w oszustwo, i gdy wyjmując zegarek, i popatrując nań gniewnie, usiłując grać zniecierpliwionego *homme d'affaires*, w tym dusznym pomieszczeniu z rozgrzanym piecem w kącie, ma przeczucie ataku i jednocześnie zdaje sobie sprawę, że ten atak będzie jedynie wybiegiem, w dodatku bardzo dziecinnym wybiegiem, aby wybrnąć z trudnej sytuacji, a zarazem gdzieś z boku pada nieznośny cień wspomnienia: na pewno już tu kiedyś był, w tej samej poczekalni albo podobnej, i dostał ataku czy zemdłał! Lecz czemu pamięta ten epizod tak mgliście? I co wspólnego ma to wspomnienie z zapachem świeżej farby?

– Tego już za wiele!

Okrzyk odbija się echem w pomieszczeniu. Drzemiący malarz się budzi, funkcjonariusz spogląda ze zdziwieniem. Wówczas stara się pokryć zmieszanie.

– Chodzi mi o to – mówi, ścisząc głos – że już nie mogę czekać, mam umówione spotkanie. Tak jak uprzedziłem.

Zdażył już wstać i włożyć palto, kiedy policjant go przyzywa:

– Radca Maksimow może już pana przyjąć.

W kancelarii, do której go prowadzą, nie ma wysokiej ławy. Poza ogromną sofą z imitacji skóry wszystkie meble są nijakie, służbowe. Radca Maksimow, śledczy sądowy w sprawie Pawła, jest łysy i pękaty niczym wiejska baba. Wierci się na krześle, póki nie znajduje wygodnej pozycji, następnie otwiera opasłą tekę leżącą na biurku i zagłębia się w lekturze, mrużąc i od czasu do czasu potrząsając

głową.

– Smutna sprawa... Smutna sprawa...

Wreszcie podnosi wzrok.

– Moje najszczerze kondolencje, panie Isajew.

Isajew. Pora się zdecydować.

– Dziękuję. Przyszedłem prosić o zwrot papierów syna. Wiem, że sprawa nie jest jeszcze zamknięta, ale nie rozumiem, czemu prywatne papiery miałyby interesować pana urząd lub pozostawać w związku z... z waszą procedurą.

– Tak, oczywiście, oczywiście! Jak pan powiada, prywatne papiery. Ale proszę mi powiedzieć: co pan dokładnie ma na myśli, mówiąc o papierach? Co się na nie składa?

Oczy radcy mają wodnisty połysk. Rzęsy ma blade jak u kota.

– Skąd mam wiedzieć? Zabrano je z pokoju syna, jeszcze ich nie widziałem. Listy, papiery...

– Jeszcze ich pan nie widział, ale uważa, że nas nie interesują. Rozumiem. Potrafię zrozumieć, że dla ojca papiery jego syna są sprawą osobistą, a co najwyżej rodzinną. Tak, rzeczywiście. Niemniej trwa dochodzenie... które być może jest czczą formalnością, lecz nakazaną prawem, zatem nie można go zbyć machnięciem ręki lub kiwnięciem głowy, a te papiery stanowią część dochodzenia. Zatem...

Składa koniuszki palców obu rąk, spuszcza głowę, sprawia wrażenie pogrążonego głęboko w myślach. Kiedy

znów unosi wzrok, już się nie uśmiecha, ale patrzy z wyrazem zdecydowania.

– Jestem przekonany – mówi – tak, jestem przekonany, że znalazłem rozwiązanie, które zadowoli obie strony. Ponieważ sprawa nie została zamknięta... w rzeczy samej ledwie ją wszczęto... nie mogę zwrócić panu tych papierów. Pozwolę jednak panu je obejrzeć. Zgadzam się, że to krzywdzące, wysoce krzywdzące zabierać je w tak tragicznej chwili i nie dawać do nich dostępu rodzinie.

Nagłym, zaskakującym ruchem, niczym karciarz rozgrywający atutową kartę, wyciąga z teczki pojedynczą kartkę i kładzie ją przed nim.

Jest to lista nazwisk, rosyjskich nazwisk zapisanych łacińskim alfabetem, zaczynających się na literę A.

– To jakaś pomyłka. To nie jest pismo mego syna.

– To nie pismo pana syna? Hmm. – Maksimow zabiera kartkę i przygląda się jej. – A nie przychodzi panu do głowy, czyje to może być pismo?

– Nie znam tego charakteru pisma, ale to nie jest charakter mego syna.

Z dna teczki Maksimow wyjmuje jeszcze jedną kartkę i podaje mu nad biurkiem.

– A to?

Nie potrzebuje nawet czytać. Jak głupio!, myśli. Doznaje nagłego zawrotu głowy. Jego własny głos dobiega jakby skądś z daleka.

– To jest list ode mnie. Nie jestem Isajew. Przybrałem

to nazwisko, żeby po prostu...

Maksimow macha dłonią, jakby odganiając muchę, opędza się od jego słów, chce, aby zamilkł. On jednak opanowuje zawrót głowy i kończy oświadczenie.

– Przybrałem to nazwisko, aby nie komplikować sprawy... tylko z tej przyczyny. Paweł Aleksandrowicz Isajew jest moim pasierbem, jedynym dzieckiem mojej zmarłej żony. Ale dla mnie jest jak własny syn. Nie ma nikogo na świecie oprócz mnie.

Maksimow bierze list z jego bezsilnej dłoni i wodzi po nim oczyma. Jest to ostatni list, jaki on wysłał z Drezna, list, w którym beszta Pawła, że wydaje za dużo pieniędzy. Jakie to upokarzające siedzieć i patrzeć, jak ktoś obcy go czyta! Upokarzające, że w ogóle został napisany. Ale skąd można wiedzieć, **skąd można wiedzieć**, który dzień będzie ostatni?

– „Twój kochający ojciec, Fiodor Michajłowicz Dostojewski” – mruczy sędzia i podnosi wzrok. – Wyjaśnijmy więc: pan wcale nie jest Isajew, tylko Dostojewski.

– Tak. To było oszustwo, błąd, głupi, choć nieszkodliwy, którego żałuję.

– Rozumiem. Niemniej pan tu przyszedł jako rzekomy... ale czy musimy używać tego brzydkiego słowa? Użyjmy go jednak z braku lepszego określenia... jako rzekomy ojciec świętej pamięci Pawła Aleksandrowicza Isajewa, prosząc o wydanie jego prywatnych rzeczy, podczas gdy w rzeczywistości wcale pan nie jest tym, za

kogo się podaje.

– To był błąd, jak mówię, którego teraz gorzko żałuję. Ale zmarły jest w istocie moim synem, ja zaś jego prawnym opiekunem.

– Hm. Widzę tu, że miał dwadzieścia jeden lat, prawie dwadzieścia dwa w chwili zgonu. Zatem, ściśle mówiąc, pana opieka prawna już wygasła. Człowiek dwudziestojednoletni jest panem samego siebie, prawda? Człowiekiem wolnym w oczach prawa.

To ta drwina w końcu wyrywa go z odrętwienia. Wstaje.

– Jeżeli pan obstaje przy zatrzymaniu tych papierów, niech pan to powie wprost, a wówczas poczynię inne kroki.

– Obstaję przy zatrzymaniu tych papierów? Ależ skąd! Drogi panie, proszę, niech pan siada! Nigdy w świecie! Wręcz przeciwnie, chciałbym bardzo, aby pan je przejrzał, a to we własnym, jak i naszym interesie. Będziemy bardzo panu wdzięczni, bardzo wdzięczni za wszelkie wskazówki, jakich pan będzie skłonny nam udzielić. Na początek weźmy to. – Kładzie przed nim kilka zapisanych z obu stron kartek, całkowitą listę nazwisk, której pierwszą stroną, tych na A, już widział. – To nie jest pismo pana syna?

– Nie.

– No, tak, to już wiemy. A czyje może być?

– Nie mam pojęcia.

– To pismo pewnej młodej kobiety, obecnie zamieszkałej za granicą. Jej nazwisko jest nieistotne dla

sprawy, choć gdybym je wymienił, myślę, że byłby pan zdziwiony. To przyjaciółka i współpracowniczka człowieka nazwiskiem Nieczajew, Siergiej Giennadiewicz Nieczajew. Czy to nazwisko coś panu mówi?

– Nie znam Nieczajewa osobiście i bardzo wątpię, by mój syn go znał. Nieczajew jest konspiratorem i insurekcjonistą, którego cele odrzucam z całą mocą.

– Nie zna pan go osobiście, jak pan powiada, ale kontaktował się pan z nim.

– Nie, nie kontaktowałem się. Uczestniczyłem w publicznym spotkaniu w Szwajcarii, w Genewie, na którym przemawiali różni ludzie, między innymi Nieczajew. On i ja byliśmy w tym samym pomieszczeniu... oto, do czego się sprowadza moja znajomość z tym człowiekiem.

– A kiedy to było?

– Jesienią 1867. Spotkanie zostało zorganizowane przez członków Ligi Pokoju i Wolności, jak każą się nazywać. Przyszedłem tam otwarcie, jako rosyjski patriota, żeby posłuchać, co mówi się o Rosji. Fakt, że słyszałem, jak ten młody człowiek, Nieczajew, przemawiał, wcale nie oznacza, że go popieram. Przeciwnie, powtarzam, odrzucam wszystkie jego poglądy, i mówiłem to wielokrotnie, prywatnie i publicznie.

– Włącznie z ludzkim dobrobytem? Czyż Nieczajew nie opowiada się za dobrobytem wszystkich ludzi? Czyż nie to jest jego dążeniem?

– Nie rozumiem, jaki sens mają te pytania? Nieczajew

opowiada się przede wszystkim za obaleniem wszelkich instytucji społecznych w imię zasady równości... równe szczęście dla wszystkich ludzi, jeśli nie, to równa niedola. Nie jest to coś, co chciałby uzasadniać. W gruncie rzeczy gardzi wszelkimi uzasadnieniami, widząc w nich stratę czasu, zbędne zawracanie głowy. Proszę, niech mnie pan nie próbuje wiązać z Nieczajewem.

– Świetnie, przyjmuję tę naganą. Chociaż dodam, że jestem zdziwiony... nie uważałem pana za pedanta w kwestii zasad. Ale do rzeczy. Do tej listy nazwisk, którą widzi pan przed sobą... poznaje pan kogoś?

– Poznaje niektórych. Garstkę ludzi.

– Jest to lista ludzi, którzy na dany znak mają zostać zabici w imię Zemsty Ludu, tajnej organizacji, jak pan wie, założonej przez Nieczajewa. Te zabójstwa mają poprzedzić ogólne powstanie i doprowadzić do obalenia państwa. Jeśli zajrzy pan na koniec, zobaczy pan dodatek z nazwami całych grup ludzi, które mają następnie, po obaleniu państwa, ulec całkowitej zagładzie. Obejmują one przedstawicieli wyższego sądownictwa, wszystkich oficerów policji i Sekcji Trzeciej, od kapitana w górę. Listę tę znaleziono w papierach pańskiego syna.

Udzieliwszy tej informacji, Maksimow odchyła krzesło w tył i uśmiecha się miło.

– A czy to oznacza, że mój syn jest zabójcą?

– Wcale nie! Jakże mógłby nim być, skoro nikt nie został zabity? To, co pan widzi, jest, jakby tu rzec, projektem, spekulatywnym projektem. Moim zdaniem...

jako człowieka prywatnego... moim zdaniem jest to lista, jaką młody człowiek żywiący do społeczeństwa urazę mógłby sporządzić w ciągu jednego popołudnia, być może, aby się popisać przed jakąś bardzo młodą kobietą, której tę listę dyktował... popisać się swoją władzą nad życiem i śmiercią, swoją całkowicie iluzoryczną władzą. Niemniej zabójstwo, planowanie zabójstwa, groźby przeciw przedstawicielom władzy... to poważne sprawy, zgoda?

– Bardzo poważne. Pańskie zadanie jest jasne, pan nie potrzebuje mojej rady. Jeśli kiedyś Nieczajew powróci do ojczyzycznego kraju, ma go pan aresztować. A jeśli chodzi o mojego syna, co może pan zrobić? Jego również aresztować?

– Ha, ha! Ale z pana żartowniś, Fiodorze Michajłowiczu! Nie, nie moglibyśmy go aresztować, gdybyśmy nawet chcieli, bo przeniósł się do lepszego świata. Lecz pozostawił różne rzeczy. Zostawił papiery, więcej papierów niż szanujący się konspirator powinien zostawić. Zostawił pytania. Takie jak: czemu odebrał sobie życie? Zapytam pana: czemu pańskim zdaniem odebrał sobie życie?

Pokój zaczyna wirować przed oczyma. Twarz śledczego robi się jak ogromny różowy balon.

– On nie odebrał sobie życia – mówi do tego balona. – Pan nic nie rozumie.

– Oczywiście! Nie rozumiem nic a nic, jak chodzi o pana pasierba i zmienne koleje jego egzystencji, i wcale nie udaję, że rozumiem. Staram się jednak zrozumieć

w sensie materialnym, badawczym, co pchnęło go do śmierci. Czy mu, na przykład, czymś grożono? Może któryś ze współtowarzyszy zagroził, że go zdekonspiruje? I czy obawa przed konsekwencjami tak go przejęła, że targnął się na własne życie? A może on wcale nie odebrał sobie życia? Możliwe, że z nie znanych nam przyczyn uznano go za zdrajcę Zemsty Ludu i zamordowano w ten szczególnie nieprzyjemny sposób? To tylko niektóre myśli, jakie mi przyszły do głowy. I właśnie dlatego skorzystałem z tej szczęsnej okazji, żeby z panem porozmawiać, Fiodorze Michajłowiczu. Bo jeśli pan go nie zna, będąc jego ojczymem i prawnym opiekunem od tak dawna, to kto? Jest również kwestia jego picia. Czy był przyzwyczajony do ostrego picia, czy też zaczęło się ono od niedawna, z powodu napięć w pracy w konspiracji?

– Nie rozumiem. Dlaczego mówimy o picciu?

– Bo w dniu swojej śmierci dużo wypił. Nie wiedział pan o tym?

Potrząsnął głową bez słowa.

– Najwyraźniej, Fiodorze Michajłowiczu, jest sporo rzeczy, o których pan nie wie. Będę z panem szczery. Gdy tylko usłyszałem, że przyszedł pan domagać się papierów pasierba, wchodząc, że się tak wyrażę, do jaskini lwa, byłem pewien, a raczej prawie pewien, iż pan nie podejrzewa niczego niestosownego. Bo gdyby pan wiedział o związkach pana pasierba z bandą przestępczą Nieczajewa, na pewno by pan tu nie przyszedł. Albo przynajmniej od razu jasno postawiłby pan sprawę, że

chodzi panu wyłącznie o pana korespondencję z pasierbem i o nic innego. Rozumie pan?

– Tak...

– A skoro jest pan już w posiadaniu listów pasierba, oznaczałoby to, że pragnie pan jedynie swoich listów do pasierba. Ale dlaczego...

– Listów, tak, ale także wszystkiego innego natury prywatnej. Jaki sens teraz go prześladować?

– Rzeczywiście!... Jakże to tragiczne... Ale wracając do kwestii papierów: pan używa określenia „natury prywatnej”. Przyszło mi na myśl, że w dzisiejszych czasach właściwie nie wiadomo, co owa „natura prywatna” oznacza. Musimy oczywiście otaczać szacunkiem zmarłych, musimy bronić praw, których pana pasierb już nie jest w stanie bronić sam, a w tym konkretnym wypadku prawa do przyzwoitego stopnia prywatności. Perspektywa, że po naszym zejściu ktoś obcy zacznie węszyć w naszych rzeczach, grzebać w szufladach, łamać pieczęcie, czytać prywatne listy... to dla każdego z nas byłaby bardzo bolesna sprawa. Z drugiej strony w pewnych wypadkach nawet wolimy, aby jakiś bezstronny obcy wykonał to brzydkie, ale konieczne zadanie. Czy dobrze byśmy się czuli na myśl, że nasze co skrytsze sprawy wychodzą na jaw, kiedy emocje są jeszcze żywe, na przykład przed niczego nie podejrzewającą żoną, córką lub siostrą? Lepiej, pod niektórymi względami, że robi to ktoś obcy, ktoś, kto nie może się poczuć urażony, bo dla niego jesteśmy niczym, a także ponieważ z natury swojego zawodu jest on

uodporniony na urazy.

W pewnym sensie jest to, oczywiście, czcza gadanina, bo w końcu decyduje o tym prawo, prawo spadkowe: spadkobiercy majątku wchodzą w posiadanie prywatnych papierów, tak jak wszystkiego innego. Jeżeli zaś ktoś umiera, nie wyznaczając swego spadkobiercy, decydują więzy krwi, i to rozstrzyga, co należy.

Zatem zgoda, listy między członkami rodziny są prywatnymi papierami i należy je traktować z właściwą dyskrecją. Natomiast wiadomości z zagranicy, wiadomości natury wywrotowej, tak jak na przykład spis osób, które mają zostać zamordowane, to najwyraźniej wcale nie są prywatne papiery. Ale tu oto mamy ciekawy przypadek.

Przerzuca kartki, bębniąc po biurku palcami w irytujący sposób.

– Oto ciekawy przypadek, oto ciekawy przypadek – pomrukuje pod nosem. – Opowiadanie – nagle obwieszcza. – Co powiemy o opowiadaniu, o fikcji literackiej? Czy pana zdaniem opowiadanie jest sprawą prywatną?

– Prywatną, jak najzupełniej prywatną, prywatną dla autora, póki nie odda go światu.

Maksimow rzuca mu dziwne spojrzenie, potem podsuwa mu przez biurko to, co przed chwilą przeglądał. Jest to dziecinny zeszyt z poliniowanymi kartkami. Znajome pochyłe pismo z zawijasami i śmiałymi pociągnięciami pióra. Powstaje myśl: osieroczone pismo, będę musiał nauczyć się je kochać. Kładzie opiekuńczą dłoń na zeszytce.

– Proszę czytać – mówi jego przeciwnik cicho.

Próbuje czytać, ale nie może się skupić. Im bardziej się stara, tym bardziej dostrzega jedynie szczegóły pisma. Oczy ma też zamglone łzami. Ociera łzy rękawem, aby nie spadły i nie splamiły kartki. „Nietknięte ludzką stopą śnieżne pustkowia”, czyta i rad by poprawić ten wyświechtany frazes. Coś o człowieku na tym pustkowiu, coś o chłodzie. Potrząsa głową i zamyka zeszyt.

Maksimow sięga i wyjmuje mu delikatnie zeszyt z rąk. Przerzuca kartki, póki nie znajduje czegoś, potem zwraca zeszyt.

– Proszę przeczytać ten fragment – mówi. – Tylko parę stron. Nasz bohater jest młodym człowiekiem skazanym za udział w spisku i zesłanym na Syberię. Ucieka i trafia do dworu właściciela ziemskiego, gdzie go ukrywa i karmi pomocnica kuchenna, wiejska dziewczyna. Oboje są młodzi, powstaje w nich romantyczne uczucie i tak dalej. Któregoś wieczoru ziemianin, przedstawiony jako gruboskórny lubieżnik, zaczyna dobierać się do dziewczyny. Tu się zaczyna fragment, który powinien pan przeczytać.

Znowu potrząsa głową przecząco.

Maksimow sam bierze zeszyt.

– Młody człowiek w pewnej chwili nie może znieść tego widoku. Wychodzi z ukrycia i interweniuje. – Zaczyna głośno czytać: „Karamzin – to ten ziemianin – odwrócił się do niego i syknął – «Ktoś ty? Co tu robisz?» – Potem zobaczył wyświechtany szary uniform i rozcięte

kajdany na nogach. – «Aha, jeden z tych! – wykrzyknął. – Zaraz zrobię z tobą porządek!» – Odwrócił się i poczłapał z pokoju”. Takim słowem się posłużył, poczłapał, podoba mi się. Ziemianin jest przedstawiony jako czerwony na gębie brutal z włosami w uszach i krótkimi, grubymi nogami. Nic dziwnego, że nasz bohater się oburzył: taki stary i brzydki, a zabiera się z łapami za dziewicze piękno! Chwyta więc siekierę spod pieca. „Ile miał sił, z drzeniem, wyrznął siekierą w łysy łeb Karamzina. Pod Karamzinem ugięły się kolana. Z chrapliwym, zwierzęcym odgłosem padł na wyszorowaną kuchenną podłogę z rękami odrzuconymi na boki i drgającymi, a potem znieruchomiałymi palcami. Siergiej – to imię naszego bohatera – stał osłupiały, z zakrwawioną siekierą w dłoni, nie wierząc oczom, że to zrobił. Lecz Marfa – to imię bohaterki – z nieoczekiwaną przytomnością chwyciła mokrą szmatę i wetknęła pod głowę zabitego, aby krew nie zaplamiała podłogi”. Miły realistyczny akcent, nie sądzi pan? Reszta opowiadania jest bardziej ogólnikowa... nie będę więcej czytał. Pewnie po pozbyciu się plugawego Karamzina, natchnienie autora osłabło. Siergiej i Marfa wywlekają ciało z domu i topią w starej studni. Potem wyruszają razem w noc „z pełnym zdecydowaniem”, jak to zostało ujęte. Nie jest jasne, czy zamierzają uciec. Ale pozwoli pan, że przytoczę pewien szczegół. Siergiej nie zostawia narzędzia mordy. Nie, zabiera je z sobą. Po co, pyta Marfa. Zacytuję odpowiedź. „Bo to jest broń ludu rosyjskiego, narzędzie naszej obrony i zemsty”. Krwawa

siekiera, zemsta ludu... trudno o wyraźniejszą aluzję, prawda?

Patrzy na Maksimowa z niedowierzaniem.

– Nie wierzę własnym uszom – szepce. – Czy pan naprawdę zamierza uczynić to dowodem winy mego syna... opowiadanie, fantazję, spisana w zaciszu jego pokoju?

– O raju, nie, Fiodorze Michajłowiczu, pan mnie źle zrozumiał! – Maksimow odchyła się w tył w krześle, potrząsając głową w pozornej rozpacz. – Nie ma mowy o prześladowaniu pańskiego pasierba (by użyć pana określenia). Jego sprawa jest zamknięta, w sensie, który się najbardziej liczy. Przeczytałem panu jego fantazję, jak się panu podoba to nazywać, tylko aby dowieść, jak bardzo był pod wpływem nieczajewitów, którzy wyprowadzili na manowce Bóg wie ilu naszych co wrażliwszych i bardziej ulegających wpływom młodych ludzi, często z dobrych rodzin, zwłaszcza tutaj, w Petersburgu. To niemal epidemia, według mnie, ta nieczajewszczyzna. Epidemia, a może po prostu moda.

– Wcale nie moda. To, co pan nazywa nieczajewszczyzną, istniało zawsze w Rosji, choć pod różnymi nazwami. Nieczajewszczyzna jest tak samo rosyjska jak rozbój. Ale ja tu nie jestem po to, żeby rozmawiać o nieczajewitach. Przeszedłem z prostego powodu... aby odzyskać papiery mego syna. Mogę je otrzymać? A jeśli nie, to czy mogę odejść?

– Może pan, w każdej chwili. Był pan za granicą

i wrócił do Rosji pod fałszywym nazwiskiem. Nie zapytam, jakim paszportem się pan legitymuje. Ale może pan odejść. Jeżeli pańscy wierzyciele dowiedzą się, że pan jest w Petersburgu, mogą też podjąć kroki, na jakie się zdecydują. To nie moja sprawa, to sprawa między panem a nimi. Powtarzam: może pan opuścić ten urząd. Jednakże ostrzegam, że żadną miarą nie będę z panem współdziałał dla zachowania pana incognito. Przyjmuję, że jest to samo przez się zrozumiałe.

– W chwili obecnej nic nie może być dla mnie mniej ważne niż pieniądze. Jeżeli ktoś ma mnie dręczyć za stare długi, to niech dręczy.

– Stracił pan bliską sobie osobę, jest pan przybity, stąd ta rezygnacja. W pełni to rozumiem. Lecz niech pan pamięta: ma pan żonę i dziecko, którzy są od pana zależni. Choćby ze względu na nich nie może się pan zdać na łaskę losu. Co się tyczy pańskiej prośby o te papiery, muszę z żalem odpowiedzieć, że nie, nie mogę ich panu oddać. Są one sprawą policyjną, stanowiącą dowód powiązań pańskiego pasierba z nieczajewitami.

– Doskonale. Ale pozwoli pan, że nim odejdę, zmienię zdanie i wypowiem swoją opinię o nieczajewitach? Bo ja przynajmniej widziałem i słyszałem Nieczajewa osobiście, co jest czymś więcej, proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, niż pana doświadczenia.

Maksimow przechyla głowę pytająco.

– Słucham?

– Nieczajew nie jest sprawą policyjną. Nie jest on

nawet sprawą władz, a już najmniej władz świeckich.

– Słucham dalej.

– Może pan wytropić i uwięzić Siergieja Nieczajewa, ale to nie będzie oznaczało stłumienia nieczajewszczyzny.

– Zgadza się. Najzupełniej się zgadzam. Nieczajewszczyzna jest szeroko rozpowszechnioną w naszym kraju ideą. Nieczajew jest tylko ucieleśnieniem tej idei. Nieczajewszczyzna nie wygaśnie, póki nie zmienią się czasy. Nasze cele muszą być zatem skromniejsze i bardziej praktyczne: zahamować rozprzestrzenianie się tej idei, a tam, gdzie już się rozprzestrzeniła, zapobiegać wcielaniu jej w czyn.

– Nadal mnie pan nie rozumie. Nieczajewszczyzna nie jest ideą. Ona gardzi ideami, jest spoza idei. Ona jest duchem, a sam Nieczajew nie jest jej ucieleśnieniem, lecz jej żywicielem lub raczej kimś przez nią opętanym.

Wyraz twarzy Maksimowa jest nieprzenikniony, próbuje więc jeszcze raz.

– Kiedy zobaczyłem Siergieja Nieczajewa pierwszy raz w Genewie, zrobił na mnie wrażenie nieprzyjemnego, posepnego, intelektualnie nie wybijającego się r zdecydowanie przeciętnego młodego człowieka. Nie sądzę, żeby to pierwsze wrażenie było mylne. Jednakże w to nieprawdopodobne naczynie wstąpił duch. Tępy, zawzięty i morderczy duch. Czemu obrał sobie za mieszkanie tego szczególnego człowieka? Nie wiem. Być może uznał go za takiego gospodarza, którego łatwo opuścić i do którego łatwo wracać. Ale to właśnie dzięki

temu duchowi Nieczajew ma zwolenników. Oni podążają za tym duchem, nie za Nieczajewem.

– A jakie imię nosi ten duch, Fiodorze Michajłowiczu?

Próbuje sobie wyobrazić wygląd Siergieja Nieczajewa, ale widzi tylko głowę wołu ze szklistymi oczyma, wywalonym jęzorem i rozszczepioną rzeźnickim toporem czaszką. Wokół niej wiruje kotłujący się rój much. Przychodzi mu na myśl pewne imię i natychmiast wypowiada je:

– Baal.

– Ciekawe. Być może metafora, w dodatku niezupełnie jasna, a jednak warta zapamiętania. Baal. Muszę jednak zadać sobie pytanie, na ile praktyczne jest mówienie o duchach i opętaniu przez duchy? Czy jest praktyczne mówienie choćby o ideach krążących po kraju, tak jakby idee miały ręce i nogi? Czy takie mówienie wspomogę nas w naszych wysiłkach? Czy pomoże Rosji? Pan mówi, że nie powinniśmy zamykać Nieczajewa w więzieniu, bo jest opętany przez demona (nie lepiej mówić o demonie? – duch zatraća o fałszywą nutę, moim zdaniem). A w takim razie co powinniśmy zrobić? Ostatecznie wcale nie jesteśmy zakonem kontemplacyjnym, my z wydziału śledczego.

Milczenie.

– Wcale nie chcę lekceważyć tego, co pan mówi – ciągnie Maksimow. – Jest pan człowiekiem utalentowanym, człowiekiem wielkiej intuicji, o czym wiedziałem, zanim się z panem spotkałem. A te

konspirujące dzieciaki są kimś zupełnie innym od swoich poprzedników. Sądzą, że są nieśmiertelni. W tym sensie jest to rzeczywiście jak walka z demonami. W dodatku nieprzejednanymi. Mają to we krwi, że tak powiem, tę chęć życzenia nam źle, naszemu pokoleniu. Oni się z tym urodzili. Niełatwo być ojcem, prawda? Też nim jestem, ale na szczęście mam same córki. Nie chciałbym być ojcem synów w naszych czasach. Ale czy pana własny ojciec... czy nie było trochę przykrości z pana ojcem, czy może coś pomyliłem?

Maksimow rzuca spod białych rzęs bystre spojrzenie i zaraz mówi dalej:

– Więc się zastanawiam, czy w końcu zjawisko Nieczajewa nie jest rzeczywiście jakimś skrzywieniem ducha, tak jak pan zdaje się twierdzić. Może to tylko ta sprawa między ojcami a synami, jaka istniała zawsze, tyle że bardziej nieubłagana w obecnym pokoleniu, bardziej bezlitosna. W tym przypadku najmądrzejsza taktyka jest zarazem najprostsza: obwarować się i przetrzymać ich... zaczekać, aż dorosną. W końcu mieliśmy dekabrystów i ludzi z roku czterdziestego dziewiątego. Dekabryści są już starzy, jeżeli jeszcze żyją. Jestem przekonany, że demony, które ich opętały, umknęły już przed laty. A co do Pietraszewskiego i jego przyjaciół, jakie jest pana zdanie? Czy Pietraszewski i jego przyjaciele byli w szponach demonów?

Pietraszewski! Po co on wyciąga Pietraszewskiego?

– Nie zgadzam się z panem. To, co pan nazywa

nieczajewszczyzną, ma własne zabarwienie. Nieczajew jest człowiekiem krwi. Ludzie, których pan zaszczyca wymianieniem w tym miejscu, byli idealistami. Przegrali, bo trzeba zapisać na ich korzyść, że byli kiepskimi intrygantami, a już na pewno nie ludźmi krwi. Pietraszewski, skoro już go pan wymienił, potępiał od początku ten rodzaj jezuityzmu, który stosuje wszelkie środki do osiągnięcia celu. Nieczajew jest jezuitą, świeckim jezuitą, który otwarcie głosi doktrynę, że cel uświęca środki, by uzasadnić najcyniczniejsze wykorzystywanie energii swoich zwolenników.

– Więc musi być w tym coś, co uszło mojej uwagi. Proszę mi wyjaśnić jeszcze raz: co przyciąga marzycieli, poetów, inteligentnych jak pana pasierb młodych ludzi do takich bandytów jak Nieczajew? Bo czy według pana Nieczajew nie jest właśnie tym? Bandytą z nikłym wykształceniem?

– Nie wiem. Może w młodych ludziach jest coś, co jeszcze nie usnęło, i do tego czegoś przemawia duch, który zamieszkuje w Nieczajewie. Może to coś jest w nas wszystkich, coś, co od wieków uznawaliśmy za martwe, ale ono tylko spało. Powtarzam: nie wiem. Nie jestem w stanie wyjaśnić związku pomiędzy moim synem a Nieczajewem. To dla mnie zaskoczenie. Przyszedłem tutaj po papiery Pawła. Są one dla mnie ważne ze względów, których pan nie zrozumie. Chcę tylko tych papierów, niczego więcej. Pytam więc jeszcze raz: czy zwróci mi je pan? Dla pana są bezużyteczne. Nie powiedzą

panu, czemu inteligentni młodzi ludzie dostają się pod wpływ złoczyńców. A nie powiedzą panu zwłaszcza dlatego, że pan najwyraźniej nie umie czytać. Przez cały czas, kiedy pan czytał opowiadanie mojego syna, starał się pan od tekstu dystansować, wznosić barierę szyderstwa między nim a sobą, jakby te słowa mogły zeskoczyć z papieru i udusić pana.

Coś zaczyna w nim płonąć, kiedy tak mówi, i to mu sprawia przyjemność. Pochyla się, ściskając poręcz krzesła.

– Czego pan się boi, radco Maksimow? Kiedy pan czyta o tym Karamzinie czy Karamzowie, czy jak on się nazywa, że jego czaszka pęka jak skorupa jajka, to jak jest naprawdę? Czy cierpi pan z nim, czy też skrycie się raduje ponad ramieniem dzierżącym siekierę? Nie odpowiada pan? Więc ja panu powiem: czytanie jest byciem tym ramieniem i tą siekierą, i tą czaszką. Czytanie jest pełnym oddaniem, a nie trzymaniem się na dystans i szydzeniem. Gdybym pana spytał, z pewnością odpowiedziałby pan, że ściga Nieczajewa, aby postawić go przed sądem, w majestacie prawa z adwokatami i prokuratorem, a potem zamknąć go na resztę dni w czyściutkiej, dobrze oświetlonej celi. Lecz niech pan wejrzy w głąb siebie: czy takie jest pana prawdziwe życzenie? Czy w rzeczywistości nie chce mu pan odrąbać głowy i unurzać sobie butów w jego krwi?

Odchyła się w tył, zaczerwieniony.

– Jest pan bardzo mądrym człowiekiem, Fiodorze

Michajłowiczu. Ale mówi pan o czytaniu, jakby to było opętanie przez demona. Według tych standardów, obawiam się, jestem istotnie bardzo kiepskim czytelnikiem, tępym i przyziemnym. Jednakże zastanawiam się w tej chwili, czy przypadkiem nie ma pan gorączki. Gdyby pan mógł zobaczyć siebie teraz w lustrze, na pewno zrozumiałby, o co mi chodzi. Poza tym odbyliśmy długą rozmowę, ciekawą, ale długą, a ja mam dużo innych obowiązków, którymi muszę się zająć.

– A ja mówię, że papiery, których pan tak zazdrośnie strzeże, tyle panu się przydadzą, co gdyby były w języku aramejskim. Niech mi pan je odda!

Maksimow chichocze.

– Daje mi pan najsilniejszy, najbardziej dobroczynny powód, by nie ulec pana prośbie, Fiodorze Michajłowiczu, a mianowicie taki, że w pana obecnym nastroju duch Nieczajewa może wyskoczyć z tych kart i całkowicie pana opętać. Ale poważnie: mówi pan, że umie czytać. Czy kiedyś, w przyszłości, przeczyta mi pan te papiery, wszystkie, papiery Nieczajewa, z których te tutaj są jedynie częścią?

– Czy je panu przeczytam?

– Tak. Czy mi je pan przeczyta?

– Czemu?

– Bo ja, według pana, nie umiem. Niech mi pan pokaże, jak się czyta. Naucz. Wyjaśni te idee, które nie są ideami.

I oto po raz pierwszy od otrzymania telegramu

w Dreźnie, wybucha śmiechem – czuje, jak sztywne rysy twarzy załamują się. Śmiech jest nieprzyjemny, wyzbyty radości.

– Zawsze mi mówiono, że policja to oczy i uszy społeczeństwa – mówi. – A pan zwraca się do mnie o pomoc! Nie, nie będę czytał za pana.

Złożywszy dłonie i zamknąwszy oczy, z czym jeszcze bardziej przypomina Budę, bezwiewowy, bezpłciowy Maksimow kiwa głową.

– Dziękuję panu – mruczy. – A teraz musi pan już iść.

Wychodzi do zatłoczonego przedpokoju. Ile czasu przesiedział z Maksimowem? Godzinę? Dłużej? Wszystkie miejsca na ławie są zajęte, ludzie stoją oparci o ściany, są też w korytarzach, gdzie się unosi duszący zapach świeżej farby. Milkną wszyscy. Oczy patrzą na niego bez współczucia. Tylu ich szukających sprawiedliwości, a każdy zajęty własną sprawą!

Jest prawie południe. Nie może znieść myśli o powrocie do swego pokoju. Idzie na wschód ulicą Sadową. Niebo jest niskie i szare, wieje chłodny wiatr. Na ziemi leży lód i pod stopami jest ślisko. Ponury dzień, dzień, kiedy się ciężko stąpa z opuszczoną głową. Jednakże on się nie może powstrzymać, jego oczy przeskakują niespokojnie od jednego przechodnia do drugiego, wypatrują pleców, rytmu kroków utraconego syna. Rozpozna go po chodzie – najpierw chód, potem postać.

Próbuje przywołać na pamięć twarz Pawła. Lecz

twarz, która się zamiast niej pojawia, i to pojawia z zaskakującą żywotnością, jest twarzą młodego człowieka o gęstych brwiach, rzadkiej bródce i wąskich, zaciśniętych ustach, twarzą młodego człowieka, który siedział za Bakuninem na podium na Kongresie Pokoju przed dwoma laty. Cerę ma pokrytą bliznami, zaczerwienionymi na chłodzie.

– Odejdź! – mówi, usiłując odepchnąć ten obraz. Lecz on nie chce zniknąć. – Paweł! – szepce, daremnie przywołując syna.

6. ANNA SIERGIEJEWNA

Jeszcze nigdy nie był w tym sklepie. Mniejszym, niż sobie wyobrażał, ciemnym i niskim, na wpół pod poziomem ulicy. SKLEP TOWARÓW KOLONIALNYCH JAKOWLEWA, głosi szyld. Otwarcie drzwi towarzyszy dźwięk dzwonka. Mija chwila, nim oczy przywykną do półmroku.

Jest jedynym klientem. Za ladą stoi staruszek w brudnym białym fartuchu. On udaje przed staruszką, że przygląda się towarom: otwartym workom gryki, mąki, fasoli, obroku. Potem podchodzi do lady.

– Proszę trochę cukru – mówi.

– He? – pyta staruszek, odchrząkując. Soczewki okularów sprawiają, że jego oczy wyglądają jak guziczki.

– Chciałbym trochę cukru.

Zza zasłonki drzwi w głębi sklepu wychodzi Anna. Jeżeli jest zdziwiona jego widokiem, nie okazuje tego.

– Ja obsłużę klienta, Awramie Dawidowiczu – mówi spokojnie i staruszek odchodzi na bok.

– Przyszedłem po trochę cukru.

– Cukru? – Na jej ustach widnieje leciuteńki uśmiech.

– Za pięć kopiejek.

Anna Siergiejewna zrecznie formuje papierowy rożek, zagina jego koniuszek, nabiera białego cukru, odważa, zamyka rożek. Zdolne ręce.

– Właśnie byłem na policji. Próbowałem odzyskać

papiery Pawła.

– I co?

– Są komplikacje, których nie przewidziałem.

– Dostanie pan te papiery z czasem. Wszystko wymaga czasu.

Bez najmniejszego powodu dopatruje się w tej uwadze podwójnego znaczenia. Gdyby staruszek nie kręcił się w pobliżu, sięgnąłby przez ladę i wziął Annę za rękę.

– To jest? ... – mówi.

– Pięć kopiejek.

Biorąc rożek z cukrem, dotyka palcami jej palców.

– Rozświetliłaś mi dzień – szepce tak cicho, że zapewne nawet ona tego nie słyszy. Kłania się, kłania się Awramowi Dawidowiczowi.

Czy mu się zdaje, czy już gdzieś widział tego człowieka w kozuszkach i baranicy, który naprzyglądawszy się ludziom rozładującym cegły, kieruje się obecnie jak on w stronę ulicy Swiecznoy?

I cukier. Czemu poprosił właśnie o cukier?

Pisze list do Apollona Majkowa. „Jestem w Petersburgu i byłem już na grobie – pisze. – Dziękuję za zajęcie się wszystkim. Dziękuję też za tyle dobroci okazywanej P. przez te lata. Jestem na wieki Twoim dłużnikiem”. Podpisuje te słowa D.

Łatwo byłoby urządzić dyskretne spotkanie. Ale nie chce narażać starego przyjaciela. Majkow, zawsze wspaniałomyślny, zrozumie. Jestem w żałobie, myśli,

a ludzie w żałobie unikają towarzystwa.

To jest wystarczająca wymówka, ale fałszywa. On wcale nie jest w żałobie. Nie pożegnał się z synem, nie zrezygnował z syna. Przeciwnie, chce przywrócić syna życiu.

Pisze do żony: „On jest tu wciąż w swoim pokoju. Boi się. Stracił prawo do pozostawania na tym świecie, ale ten przyszły świat jest zimny, zimny jak przestrzeń międzygwiazdna, i niegościnnie”. Ledwo skończył pisać, drze list. To nonsens, a także zdrada tego, co jeszcze pozostaje między nim a synem.

Syn jest wewnątrz niego, martwe dziecko w blaszanej skrzyni w zamrożonej ziemi. On nie wie, jak wskrzesić to dziecko lub – co na jedno wychodzi – ma nie dość woli, by to uczynić. Jest sparalizowany. Nawet idąc ulicą, uważa się za tkniętego paralizem. Każdy ruch rąk wykonuje z powolnością człowieka zamrożonego. Nie posiada woli. A raczej jego wola przemieniła się w litą skałę, kamień, który cały swój niemy ciężar zużywa na wciągnięcie go w nieruchomość i milczenie.

On wie, co to smutek. To nie jest smutek. To jest śmierć, śmierć przybywająca przed czasem przybyła nie po to, aby go zgnieść i pochłonąć, ale aby po prostu z nim być. Ona jest jak pies, który z nim zamieszkał, wielki szary pies, ślepy i głuchy, głupi i nieruchawy. Kiedy on śpi, pies także śpi. Kiedy on się budzi, pies też się budzi. Kiedy on wychodzi z domu, pies człapie za nim.

Myślami ospale, lecz nieodparcie przebywa z Anną

Siergiejewną. Gdy o niej myśli, myśli o zręcznych palcach liczących monety. Monety, ściegi – co one oznaczają?

Przypomina sobie młodą wieśniaczkę, którą kiedyś widział przy bramie Klasztoru Świętej Anny w Twerze. Siedziała z martwym dzieckiem przy piersi, opierając się wszystkim, którzy chcieli jej zabrać malutkie zwłoki, i uśmiechając się błogo – uśmiechając się jak sama święta Anna.

Wspomnienia niby smużki dymu. Trzciniowy płot gdzieś na końcu świata, szary i kruchy, i jakaś drobna postać przeciskająca się między trzciniami, cienka, nieważka, postać chłopca w bieli. Chatka na stepie, obok strumień i kilka drzew, krowa z dzwonkiem u szyi i dym unoszący się w niebo. Hen, na końcu świata. Chłopiec przewijający się przez trzciny, tam i z powrotem, w zatrzymanej metamorfozie, w oczyszczającym kształcie.

Wizje, które się pojawiają i znikają, zwiewne, efemeryczne. Nie panuje już nad sobą. Starannie odkłada pióro i papier na dalszy koniec stołu i ukrywa twarz w dłoniach. Jeżeli mam zasłabnąć, myśli, niechaj zasłabnę na posterunku.

Jeszcze jedna wizja. Postać przy studni unosząca naczynie z wodą do ust, podróżny przed odejściem. Oczy nad krawędzią naczyń już roztargnione, niewidzące. Muśnięcie dłoni. Czułe dotknięcie. – Do widzenia, stary przyjacielu!

Po co ten mozolny pościg przez pustkowia za pogłoską cienia, za cieniem pogłoski?

Bo ja jestem nim. Bo on jest mną. Pragnę coś uchwycić: chwilę przed unicestwieniem, gdy krew jeszcze krąży, serce wciąż bije. Serce, ten wierny wół utrzymujący koło młyńskie w ruchu, który nawet nie okazuje zdziwienia na widok wzniesionej siekiery, ale przyjmuje cios, osuwa się na ziemię i umiera. Nie niepamięć, lecz chwila przed niepamięcią, kiedy docieram, dysząc, do ciebie nad krawędzią studni i spoglądamy wzajem na siebie po raz ostatni, wiedząc, że żyjemy, dzieląc to jedno wspólne życie, nasze jedyne życie. Wszystko, co mi pozostało do uchwycenia: chwila tego spojrzenia, przywitanie i pożegnanie zarazem, ponad wszelkie argumenty, ponad błagania: „Cześć, stary przyjacielu. Zegnaj, stary przyjacielu”. Suche oczy. Łzy przemienione w kryształy.

Trzymam twoją głowę w dłoniach. Całuję cię w czoło. Całuję w usta.

Zasada: jedno spojrzenie, tylko jedno. Żadnego oglądania się za siebie. Ale się oglądam.

Stoisz przy studni, wiatr masz we włosach, nie duch, lecz ciało wysublimowane, wzniesione do swojej pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej, piątej esencji, patrzysz na mnie kryształowymi oczyma, uśmiechasz się złotymi ustami.

Wciąż spoglądam wstecz. Wciąż daję się obejmować twojemu spojrzeniu. Pole kryształowych punktów, tańczących, mrugających, a ja – jednym z nich. Gwiazdy na niebie i odpowiadające im ognie na nizinie. Dwie sfery sygnalizujące do siebie wzajem.

Zapada w sen przy stole i przesypia resztę popołudnia. W porze kolacji Matriona puka do drzwi, ale on się nie budzi. Jedzą kolację bez niego.

Znacznie później, kiedy minęła pora układania dzieci do snu, pokazuje się ubrany do wyjścia. Anna Siergiejewna siedząca do niego tyłem odwraca się.

– A więc wychodzi pan? – mówi. – Napije się pan przed wyjściem herbaty?

Jest w niej jakaś nerwowość. Lecz ręka, która podaje mu filiżankę, jest opanowana.

Anna nie zaprasza go, by usiadł. On pije więc, stojąc przed nią, w milczeniu.

Jest coś, co chciałby powiedzieć, ale boi się, że nie zdoła albo też nawet znowu załamie się na jej oczach. Nie panuje nad sobą.

Odstawia pustą filiżankę i kładzie rękę na ramieniu Anny.

– Nie – mówi ona, potrząsając głową i odpychając jego dłoń. – To nie po mojemu.

Włosy ma spięte ciężką emaliowaną klamrą. On odpina klamrę i kładzie na stole. Teraz Anna już się nie opiera, lecz potrząsa głową, rozpuszczając włosy.

– Będzie wszystko jak trzeba, przyrzekam – mówi on. Jest świadom swojego wieku. Nie słyszy we własnym głosie tej erotycznej ostrości, której kiedyś kobiety ulegały. Słyszy natomiast coś, czego woli nie nazywać. Pęknięty instrument, głos, który uległ swej drugiej mutacji. – Wszystko – powtarza.

Anna przygląda mu się z nieomylną powagą i napięciem. Potem odkłada robótkę. Przemykając obok niego, znika w zasłoniętej alkowie.

On czeka w niepewności. Nic się nie dzieje. Idzie za nią i rozsuwa zasłonę.

Matriona leży pogrążona we śnie, usta ma rozchylone, jasne włosy rozrzucone na poduszce jak aureola. Anna Siergiejewna na wpół rozpięła suknię. Machnięciem ręki i gniewnym spojrzeniem, w którym jest mimo to nieco rozbawienia, każe mu wyjść.

Wychodzi więc i siada. Po chwili ona wyłania się boso i w koszuli. Widać błękitne żyłki na jej nogach. Nie jest kobietą młodą. To nie żadne poddające się niewiniątko. A mimo to jej ręce są zimne i drżące. Unika jego wzroku.

– Fiodorze Michajłowiczu – szepce. – Chcę, żeby pan wiedział, że nigdy dotąd tego nie robiłam.

Na szyi ma srebrny łańcuszek. On przesuwa palcem po pętli łańcuszka, póki nie natrafia na krzyżyk. Unosi krzyżyk do jej ust, a ona całuje krzyżyk gorąco, bez wahania. Lecz kiedy on chce pocałować ją, ona odwraca głowę.

– Nie teraz – szepce.

Spędzają tę noc razem w pokoju jego syna. To, co dzieje się pomiędzy nimi, odbywa się od początku do końca w ciemności. Uderza go w tym ich miłowaniu żar jej ciała. Wcale nie jest tak, jak oczekiwał. Jest, jakby w środku płonęła. Niezmiernie go to podnieca, podnieca go też, że poczynają sobie tak ognście, niebezpiecznie, przy

dziecku śpiącym w sąsiednim pokoju.

Zasypia. Gdzieś w środku nocy budzi się i przekonuje, że ona wciąż leży z nim w wąskim łóżku. Choć jest wyczerpany, usiłuje ją rozbudzić. Ona nie reaguje, a kiedy on się jej narzuca, ona w jego ramionach martwieje.

W tym akcie nie ma nic, co mógłby nazwać przyjemnością lub choćby doznaniem. Zupełnie jakby się kochali przedzieleni płachtą, szarą wytartą płachtą jego smutku. W chwili szczytu zapada znowu w sen jak w jezioro. Pograżając się, widzi Pawła, który wypływa mu na spotkanie. Twarz syna jest skrzywiona rozpaczą: płuca mu pękają, wie, że umiera, że już nie ma dla niego nadziei, krzyczy do ojca, bo tylko to jedno mu pozostało, ostatnie w świecie. Wykrzykuje w zduszonym natłoku słów. Jest to wizja w swej skrajnej brzydocie, która wyłania się nagle z wiru ciemności, gdzie on sam zstępuje wewnątrz kobiecego ciała. Bucha, ogarnia go, gna dalej.

Kiedy się budzi, jest jasno. W mieszkaniu nie ma nikogo.

Spędza dzień w gorączce niecierpliwości. Myśląc o Annie, drży z pożądania jak młodzik. Lecz to, co go teraz opanowuje, to nie ściskające za gardło *douceur* sprzed dwudziestu laty. Czuje się raczej jak liść lub nasionko porwane jakąś pędzącą na oślep siłą, skrzydlate nasionko wciągnięte w najwyższy prąd powietrza, niesione zawrotnie nad oceanami.

Przy kolacji Anna Siergiejewna jest opanowana i sztywna, całą uwagę kieruje na dziecko, słuchając

uważnie bezładnej opowieści o szkole. Kiedy z konieczności zwraca się do niego, robi to grzecznie, ale chłodno. Jej chłód tylko go rozpala. Czy chciwe spojrzenia, które rzuca ukradkiem na gardło matki, na jej usta, jej ramiona, mogą ujść uwagi dziecka?

Czeka na ciszę za ścianą, która oznaczałaby, że Matriona poszła spać. Tymczasem o dziewiątej gaśnie tam światło. Odczekuje pół godziny, potem jeszcze pół. Później, osłaniając dłonią płomyk świecy, wchodzi tam cichutko w skarpetkach. Świeca rzuca ogromne podskakujące cienie. Stawia ją na podłodze i podchodzi do alkowy.

W półmroku dostrzega na dalszej stronie łóżka Annę Siergiejewnę. Leży plecami do niego z ramionami wdzięcznie ułożonymi nad głową, jak u tancerki, z rozpuszczonymi włosami. Bliżej niego, zwinięta, z kciukiem w buzi i ramieniem bezwładnie zarzuconym na matkę, leży Matriona. W pierwszej chwili wydaje mu się, że dziewczynka nie śpi, że mu się przygląda, strzeże matki. Lecz gdy się pochyla nad nią, słyszy jej głęboki, równy oddech.

Szepce:

– Anna! – Anna nie porusza się.

Wraca do siebie, siłąc się na spokój. Istnieją uzasadnione powody, mówi sobie, dla których ona tej nocy może woleć trzymać się od niego z dala. Ale własna argumentacja do niego nie przemawia.

Przekrada się powtórnie do alkowy. Żadna z nich się

nie poruszyła. Znowu ogarnia go niesamowite uczucie, że Matriona go obserwuje. Pochyla się niżej nad nią.

Nie myli się. Patrzy w otwarte oczy z nieruchomymi powiekami. Przenika go dreszcz. To dziecko śpi z otwartymi oczyma, mówi sobie. Ale to nieprawda. Ona nie śpi i nie spała cały czas. Z palcem w buzi obserwowała każdy jego ruch z niestrudzoną czujnością. I gdy on patrzy, wstrzymując oddech, kąciki jej ust leciutko wyginają się ku górze w zwycięskim, nietoperzowym uśmiechu. A jej ramię wyciągnięte swobodnie nad matką jest też jak skrzydło.

Spędzają jeszcze jedną noc razem, a potem brama się zamyka. Anna przychodzi do jego pokoju późnym wieczorem i bez zapowiedzi. Znowu poprzez nią on przechodzi w mrok i w głębinę wód, gdzie wśród innych utrapionych unosi się jego syn. – Nie bój się – chce szepnąć – będę z tobą, będę z tobą dzielił tę gorycz.

Budzi się rozciągnięty na niej, z ustami przy jej uchu.

– Czy wiesz, gdzie byłem? – szepce.

Ona wysuwa się spod niego.

– Czy wiesz, gdzie mnie zaprowadziłaś? – pyta ją szeptem.

Czuje potrzebę chwaleń się swoim chłopcem, ukazania go w wiośnie jego możliwości, z błyszczącymi oczyma, wyraźnie zarysowaną zuchwą i ładnymi ustami. Chce ubrać go znowu w białe ubranie, aby z jego piersi znów dobywał się czysty, głęboki głos. – Widzisz, jaki

skarbu utracił świat! – chce wykrzyknąć. – Widzisz, co straciliśmy!

Odwróciła się do niego plecami. Jego dłoń głaszcze jej długie udo nagłaco, do góry i na dół. Ona go powstrzymuje.

– Muszę iść – mówi i wstaje.

Następnej nocy nie przychodzi, lecz pozostaje z córką. On pisze do niej list i kładzie na stole. Gdy wstaje rano, w mieszkaniu nie ma nikogo, a list leży nie rozpieczętowany.

Zachodzi do sklepu. Ona stoi za ladą, ale na jego widok wymyka się do pokoiku w głębi, zostawiając go samego z Jakowlewem.

Wieczorem czeka na nią na ulicy i idzie za nią krok w krok jak zbir. Dopada ją w wejściu.

– Czemu mnie unikasz?

– Wcale cię nie unikam.

Chwyta ją za rękę. Jest ciemno, ona niesie koszyki, nie może się uwolnić. Przyciska się do niej, wciągając w nozdrza orzechowy zapach jej włosów. Próbuje ją pocałować, lecz ona odwraca głowę i jego usta natrafiają na ucho. Jej ciało pozostaje nieczułe na jego naciski.

Niełaska, myśli, oto jak się popada w niełaskę.

Odstępuje na bok, ale na schodach znowu ją dopędza.

– Jeszcze tylko jedno słowo – mówi. – Dlaczego?

Ona odwraca się ku niemu.

– Czyż to nie oczywiste? Czy muszę?

– Co jest oczywiste? Nic nie jest oczywiste.

– Cierpiałeś. Błagałeś.

On cofa się.

– To nieprawda!

– Byłeś w potrzebie. Nie ma się czego wstydzić. Ale już koniec. Przedłużanie tego nie wyjdzie ci na dobre, a i mnie to wykorzystywanie nie przyniesie nic dobrego.

– Wykorzystywanie? Ja ciebie wcale nie wykorzystuję. Nic takiego nawet nie powstało mi w głowie!

– Wykorzystujesz, żeby dotrzeć do kogoś innego. Nie denerwuj się. Ja cię nie oskarżam, tylko się tłumaczę. Ale nie chcę dać się wciągnąć głębiej. Masz własną żonę. Powinieneś zaczekać, aż znów będziesz przy niej.

Własna żona. Po co ona w to włącza jego żonę? **Moja żona jest za młoda!** – chce powiedzieć – **za młoda dla mnie w moim obecnym stanie!** Ale jak ma to powiedzieć?

Jednakże to, co ona mówi, jest prawdą, większą niż się wydaje. Kiedy on powróci do Drezna, żona, którą weźmie w ramiona, będzie odmieniona, będzie natchniona tym, co w nim pozostanie po kontakcie z tą subtelną, utalentowaną zmysłowo wdową. Poprzez żonę będzie sięgał do tej kobiety, zupełnie jak przez tę kobietę sięga... do kogo?

Czy się zdradził ze swymi myślami? Z nagłym gniewnym rumieńcem Anna strząsa jego rękę ze swego ramienia i wchodzi na schody, pozostawiając go w tyle.

Idzie za nią, zamyka się w swoim pokoju i próbuje się uspokoić. Łomotanie serca powoli ustaje. Paweł! – powtarza szeptem raz po raz, posługując się tym imieniem jak zaklęciem. Lecz przed oczyma w miejsce postaci Pawła

staje mu nieubłaganie postać tego drugiego, Siergieja Nieczajewa.

Już nie może zaprzeczyć: pomiędzy nim a martwym chłopcem powstaje luka. Jest zły na Pawła, zły za to, że go zdradził. Wcale go nie dziwi, że Paweł dał się wciągnąć w kręgi radykalne albo że nie wspomniał o tym nawet słowem w swoich listach. Ale Nieczajew to całkiem inna sprawa. Nieczajew to nie żaden student zapaleniec, żaden młodzińczy nihilista. To w rosyjskiej duszy pozostałość Mongoła, największego z wszystkich nihilistów, który wycofał się w pustkowia Azji. A Paweł, spośród wszystkich w świecie, został piechurem w jego armii!

Przypomina sobie pamflet *Katechizm rewolucyjny* rozprowadzany w Genewie jako dzieło Bakunina, lecz najwyraźniej gdy chodzi o inspirację, a nawet sformułowania, autorstwa Nieczajewa. „Rewolucjonista jest człowiekiem skazanym – tak się zaczynał. – Nie ma on żadnych zainteresowań, żadnych uczuć, żadnych powiązań, nie ma nawet imienia. Wszystko w nim jest pochłonięte jedną i totalną pasją: rewolucją. W głębi swej istoty poodcinał wszystkie więzi z porządkiem społecznym, z prawem i moralnością. Wciąż istnieje w społeczeństwie, lecz tylko po to, aby je zniszczyć”. I dalej: „Nie oczekuje litości. Codziennie jest gotów umrzeć”.

Gotów jest umrzeć, nie oczekuje litości: łatwo to mówić, ale jakie dziecko jest w stanie zrozumieć pełny sens tych słów? Na pewno nie Paweł, a nawet Nieczajew,

ten niekochany i niepiękny młody człowiek.

Przychodzi wspomnienie samego Nieczajewa stojącego samotnie w kącie sali recepcyjnej w Genewie, łypiącego groźnie okiem i pochłaniającego łąpczywie kanapki. Potrząsa głową, usiłując odegnać to wspomnienie.

– Paweł! Paweł! – szepce, wzywając nieobecnego.

Pukanie do drzwi. Głos Matriony:

– Kolacja!

Przy stole stara się być miły. Jutro niedziela: proponuje wycieczkę na Wyspę Pietrowską, gdzie po południu ma być jarmark i orkiestra. Matriona chce iść, i Anna Siergiejewna ku jego zdziwieniu się zgadza.

Umawia się, że się spotkają po nabożeństwie. Rankiem, wychodząc, potyka się o coś w ciemnej sieni. Okazuje się, że to jakiś włóczęga śpiący pod starym, zbutwiałym kocem. Przeklinany, włóczęga siada z jękiem.

U Świętego Grzegorza msza jeszcze się nie skończyła, kiedy tam przychodzi. Gdy staje w przedsionku, zjawia się ten sam włóczęga, śmierzący, z kaprawymi oczyma.

– Śledzisz mnie? – naskakuje na włóczęgę.

Choć stoją niemal głowa przy głowie, włóczęga udaje, że go nie widzi ani nie słyszy. Gniewnie powtarza więc pytanie. Wychodzący patrzą na nich z zainteresowaniem.

Włóczęga usuwa się boczkiem. O kilkadziesiąt kroków dalej staje, opiera się o ścianę i udaje, że ziewa. Nie ma rękawic, posługuje się zwiniętym kocem jak mufką.

Pojawia się Anna Siergiejewna z córką. Do parku jest

daleko, trzeba iść Prospektem Wozniesieńskim aż na wprost Wyspy Wasilewskiej. Jeszcze nim doszli do parku, wie, że popełnił błąd, głupi błąd. Miejsce dla orkiestry jest puste, a teren wokół lodowiska wyludniony i chodzą po nim tylko dumnie stąpające mewy.

Przeprasza Annę Siergiejewnę.

– Mamy mnóstwo czasu – odpowiada pogodnie ona – jeszcze nie ma nawet południa. Pójdziemy się przejść?

Jej dobry humor zadziwia go. Jeszcze bardziej czuje się zaskoczony, gdy ona bierze go pod rękę. Z Matrioną po jej drugiej stronie idą przez pola. Rodzina, myśli, brak tylko tego czwartego, a bylibyśmy w komplecie. Jakby czytając w jego myślach, Anna Siergiejewna przyciska jego ramię.

Mijają stadko owiec zbite w gęstwinie szuwarów. Matriona podchodzi do nich z garścią trawy, a one płoszą się i rozpraszają. Z gęstwiny wynurza się wiejski chłopak z kijem i patrzy groźnie na dziewczynkę. Przez chwilę wydaje się, że zaraz padną jakieś słowa. Chłopak się jednak rozmyśla, a Matriona umyka do nich.

Ruch na świeżym powietrzu sprawia, że ma rumieńce na twarzy. Będzie z niej jeszcze piękność, myśli on, pogromczyni męskich serc.

Zastanawia się, co by pomyślała jego żona. Jego nierozważne czyny wywoływały do tej pory wyrzuty sumienia, za którymi podążała zmysłowa chęć wyznania. Te wyznania, pokrętne w wyrazie i niejasne w szczegółach, zenowały i doprowadzały do wściekłości

jego żonę, szkodząc ich małżeństwu bardziej niż sama niewierność.

Lecz w tym przypadku on nie odczuwa winy. Przeciwnie, nieugięcie wierzy w słuszność swojego postępowania. Zastanawia się, co to poczucie słuszności ukrywa, ale tak naprawdę nie chce wiedzieć. Na razie ma w sercu coś na kształt radości. **Wybacz mi, Pawle**, szepce do siebie. Ale i to niezbyt serio.

Gdybym tylko mógł jeszcze raz przeżyć życie. Gdybym był młody! A może też: gdybym mógł korzystać z życia, miał tę młodość, którą Paweł odrzucił!

A ta kobieta u jego boku? Czy żałuje tego impulsu, który ją popchnął w jego ramiona? Gdyby to się nigdy nie zdarzyło, dzisiejsza wycieczka mogłaby oznaczać początek właściwych umizgów. Bo kobieta z pewnością tego właśnie pragnie: by się do niej zalecać, starać się o jej względy, przekonywać, zdobyć! Nawet kiedy się poddaje, pragnie ulec nie całkowicie szczerze, lecz w rozkosznej mgiełce zawikłania, opierając się, a zarazem nie opierając. Upada, lecz nigdy nieodwołalnie. Nie: upaść, a potem powrócić z upadku nową, odtworzoną, dziewiczą, gotową na ponowne umizgi i nowy upadek. Gra ze śmiercią, zabawa w zmartwychwstania.

Co by zrobiła, gdyby wiedziała, o czym on myśli? Odeszłaby z oburzeniem? I czy to też byłoby częścią tej gry?

Patrzy na nią ukradkiem i w tej samej chwili pojmuje: **mógłbym kochać tę kobietę**. To coś więcej niż pociąg

cielesny, to coś, co może nazwać jedynie pokrewieństwem. On i ona są tego samego rodzaju, tej samej generacji. I nagle pokolenia znajdują własne miejsca: Paweł, Matriona i jego żona Anna są z jednej strony, on i Anna Siergiejewna z drugiej. Dzieci przeciwko tym, którzy nie są dziećmi; są dostatecznie dorośli, by w swoim kochaniu rozpoznać pierwszy przedsmak śmierci. Stąd ta nagłość tamtej nocy, stąd ten żar. Ona w jego ramionach jak Joanna d'Arc w płomieniach: duch zmagający się ze swoimi okowami, podczas gdy ciało płonie w ogniu. Walka z czasem. Coś, czego dziecko nigdy nie zrozumie.

– Paweł mówił, że był pan na Syberii.

Jej słowa wyrywają go z zamyślenia.

– Dziesięć lat. Tam poznałem matkę Pawła. W Semipałatyńsku. Jej mąż był w służbie celnej. Zmarł, gdy Paweł miał siedem lat. Ona też zmarła przed kilku laty... pewnie Paweł o tym mówił.

– I wtedy ożenił się pan powtórnie.

– Tak. Co Paweł miał o tym do powiedzenia?

– Tylko tyle, że pana żona jest młoda.

– Moja żona i Paweł są prawie równoletkami. Przez pewien czas mieszkaliśmy razem, wszyscy troje, na ulicy Mieszczanskoj. Nie był to szczęśliwy okres dla Pawła. On jakby rywalizował z moją żoną. Kiedy mu powiedziałem, że się zaręczyliśmy, poszedł do niej i ostrzegł ją z powagą, że jestem dla niej za stary. Później mówił o sobie **sierota**. „Sierota chciałby jeszcze jedną grzanekę” albo „Sierota nie ma pieniędzy” i tak dalej. Udawaliśmy, że to taki żart, ale

to nie był żart. Dręczyło nas to.

– Wyobrażam sobie. Ale współczuję mu. Czuł, że pana traci.

– Jakże mógł mnie stracić? Od chwili gdy zostałem jego ojcem, ani razu go nie zawiodłem. Czy teraz sprawiam mu zawód?

– Ależ skąd, Fiodorze Michajłowiczu. Ale dzieci są zaborcze. Miewają okresy zazdrości, tak jak my wszyscy. A kiedy jesteśmy zazdrośni, zmyślamy różne rzeczy na swoją niekorzyść. Oddziałujemy na własne uczucia, wzbudzamy w sobie lęk.

Jej słowa, jak promienie przechodzące przez pryzmat, wymagały tylko lekkiej zmiany kąta nachylenia, aby nabrać całkiem odrębnego sensu. Czy o to jej chodzi?

Spogląda na Matrionę. Dziewczynka ma nowe buty, z wypustkami z kozuszką. Tłukąc obcasami w wilgotną trawę, zostawia za sobą wgłębione ślady. Czoło ma zmarszczone w skupieniu.

– Mówił, że pan go wykorzystywał jako posłańca.

Przeszywa go ukłucie bólu. Więc Paweł tego nie zapomniał!

– Tak, to prawda. Na rok przed naszym ślubem, w dzień jej imienin, poprosiłem go, aby jej zaniósł prezent ode mnie. Był to błąd, którego później żałowałem, gorzko żałowałem. To niewybaczalne. Zrobiłem to bezmyślnie. Czy to było najgorsze?

– Najgorsze?

– Czy Paweł mówił wam o czymś jeszcze gorszym?

Chciałbym to wiedzieć, tak abym prosząc o wybaczenie, wiedział, czym zawiniłem.

Patrzy na niego dziwnie.

– To nie jest słuszne pytanie, Fiodorze Michajłowiczu. Paweł miewał okresy poczucia samotności. On opowiadał, a ja słuchałam. Różne historie, nie zawsze przyjemne. Ale może dobrze, że tak było. Skoro wydobył przeszłość na światło dzienne, może przestał o niej myśleć.

– Matriona! – on zwraca się jednak do dziewczynki.

– Czy Paweł mówił ci coś ...

Lecz Anna Siergiejewna mu przerywa.

– Na pewno nie – mówi, a potem ciągnie cicho, ale z gniewem – Nie zadaje się dziecku takich pytań!

Zatrzymują się i stają naprzeciwko siebie na tym nagim polu. Matriona odwraca wzrok nachmurzona, z mocno zaciśniętymi wargami. Anna Siergiejewna patrzy gniewnie.

– Robi się zimno – mówi. – Wracajmy.

7. MATRIONA

Nie wraca z nimi do domu, lecz zjada kolację w gospodzie. W pokoju w głębi grają w karty. Kibicuje im przez chwilę i pije, ale sam nie gra. Jest późno, gdy wraca do ciemnego mieszkania, do pustego pokoju.

Sam, w poczuciu osamotnienia, pozwala sobie na doznanie tęsknoty, wcale nie tak niemiłe, za Dreznem i wygodną regularnością tamtejszego życia, z żoną strzegącą zazdrośnie jego spokoju i organizującą całe codzienne życie rodzinne zgodnie z jego nawykami.

Nie czuje się u siebie pod numerem 63 i nigdy nie będzie się czuł. Nie tylko jest tutaj najbardziej przejściowym z mieszkańców, jego wymówka do pozostawania równie nie znanym dla innych, jak i dla siebie samego, ale też odczuwa napięcie wynikające z zamieszkiwania w bezpośredniej bliskości kobiety o zmiennych nastrojach i małej dziewczynki, dla której jego cielesna obecność łatwo może stać się przykra. W towarzystwie Matryony dotkliwie sobie uświadamia, że jego ubranie zaczęło nieprzyjemnie pachnieć, że skórę ma suchą i łuszczącą się, że jego protezy postukują, gdy mówi. Hemoroidy też są powodem nieustannych dolegliwości. Jego żelazny organizm, który pozwolił mu przetrwać zesłanie na Syberię, zaczyna podupadać, a ten widok rozkładu musi być o ileż bardziej niesmaczny dla aż do przesady dbającej o czystość dziewczynki, w której oczach

zastąpił istotę o boskiej sile i pięknie. Kiedy jej koleżanki pytają o żałobnego gościa, który nie chce się spakować i wyjechać, to co wówczas im odpowiada?

Błagał: krzywi się, gdy myśli o słowach Anny Siergiejewny. Cały czas jest obiektem litości! Klęka, opiera czoło o łóżko, próbuje znaleźć drogę na Jełagin Ostrow i do Pawła w jego zimnym grobie. Paweł przynajmniej nie zwróci się przeciwko niemu. Na Pawle może polegać, na Pawle i na jego lodowatej miłości.

Ojciec, wyblakła kopia syna. Jak można oczekiwać, że kobieta, która widziała syna w kwiecie wieku, spojrzy łaskawym okiem na ojca?

Przypomina sobie słowa współwięźnia na Syberii: „Dlaczego dana jest nam starość, bracia? Abyśmy znów stali się mali, tak mali, by móc się prześliznąć przez ucho igielne”. Mądrość wieśniacza.

Kłęczy i kłęczy, lecz Paweł się nie zjawia. Z westchnieniem gramoli się wreszcie na łóżko.

Budzi się pełen zdumienia. Choć jeszcze jest ciemno, czuje się, jakby wypoczywał siedem nocy. Jest świeży i niepokonany, jakby tkanki jego mózgu były do czysta wymyte. Nie posiada się z radości. Jest jak dziecko na Wielkanoc, które płonie z chęci, aby się domownicy obudzili i aby ono mogło się wreszcie podzielić z nimi swą radością. Chce ją obudzić, tę kobietę, chce, aby oboje puścili się w tany. „Chrystus zmartwychwstał!”, chce wykrzyknąć i chce, by mu odpowiedziała: „Zaiste zmartwychwstał!”, i stuknęła kraszanką w jego kraszankę.

Oni dwoje tańczący w krąg z kraszankami, a z nimi Matriona w koszuli nocnej, potykająca się, z zaspanymi oczyma i szczęśliwa u ich nóg, a także ten czwarty, przewijający się pomiędzy nimi, niezdarny, wielkostopy, uśmiechnięty: wszystkie dzieci razem, nowo narodzone, wypuszczone z grobu. Nad miastem zaś brzask i koguty na podwórkach witają pianiem nowy dzień.

Radość budząca się jak dzień! Lecz tylko na chwilę. Nie chodzi jedynie o to, że na to nowe promienne niebo zaczynają się nasuwać chmury. Jest tak, jakby w chwili gdy wschodzi słońce w całej swej chwale, pojawiło się też drugie słońce, cieniste słońce, antysłońce przesuwające się przez jego tarczę. Przychodzi na myśl słowo omen z całą swą ciemną, złowróżbną doniosłością. Wschodzące słońce nie istnieje samo dla siebie, ale po to, by ulec zaćmieniu. Radość lśni tylko po to, aby ukazać, czym będzie jej unicestwienie.

Jednym szybkim ruchem wyskakuje z łóżka. Następną kilka minut rozciąga się przed nim jak ciemny korytarz, którym musi pomknąć. Musi się ubrać i wyjść z mieszkania, zanim dozna wstydu ataku. Musi znaleźć takie miejsce, gdzie przyzwoici ludzie go nie zobaczą i nie usłyszą, gdzie zdoła przebrnąć ten epizod jak można najlepiej.

Wychodzi z mieszkania. W korytarzu jest nieprzenikniona ciemność. Z wyciągniętymi przed siebie rękami, jak ślepiec, zbliża się do schodów i trzymając się poręczy, krok po kroku, idzie w dół. Na podeście drugiego

piętra ogarnia go fala przerażenia, bezprzedmiotowego przerażenia. Wówczas siada w kącie i obejmuje ramionami głowę. Dłonie cuchną mu czymś, czego dotknął, ale ich nie wyciera. Niech to już przyjdzie, myśli w rozpacz. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

Bucha krzyk, który niesie się echem na klatce schodowej i jest tak głośny i straszny, że ludzie budzą się ze snu. On zaś nie słyszy nic, nie ma go, czas już nie istnieje.

Gdy przytomnieje, otacza go ciemność tak gęsta, że czuje, jak mu uciska gałki oczne. Nie wie, gdzie jest, nie wie, kim jest. Jest przebudzeniem, świadomością, to wszystko. Zupełnie jakby się urodził zaledwie przed minutą, przyszedł na świat nieustannej nocy.

Zachowaj spokój, mówi ta świadomość do siebie samej, chcąc stłumić własny strach: byłeś tu już kiedyś – czekaj, zaraz ci się coś przypomni.

Coś spada w przestrzeni wewnątrz niego. Tym czymś jest on sam. Pęd powietrza: to on czuje ten pęd. Krtań zdławiona lękiem: to jest jego krtań.

Zgiń, myśli, przepadnij.

Próbuje poruszyć ręką, ale ręką jest przygnieciona jego ciałem. Próbuje ją wyszarpnąć, choć wie, że to głupie. Coś śmierdzi, jego ubranie jest wilgotne. Jak lód tworzący się na wodzie, pamięć zaczyna krzepnąć: kim jest, gdzie jest. A wraz z pamięcią powstaje palące pragnienie ucieczki z tego miejsca, zanim go tu ktoś odkryje w całej jego hańbie.

Te ataki są brzemieniem, które niesie na swych barkach przez świat. Nikomu się nie przyznał, ile czasu spędza na nasłuchiowaniu ostrzeżeń o ich bliskości, usiłowaniu ich przewidywania. Czemu jestem przeklęty? – wykrzykuje w duchu, stukając w ziemię laską, rozkazując skale udzielić odpowiedzi. Lecz nie jest Mojżeszem, skała się nie rozstępuje. Same te transe też nie dostarczają oświecenia. Nie są nawiedzeniami. Gdzie tam: są niczym – pełnymi ustami życia wysysanego zeń jakby przez trąbę powietrzną, która nie pozostawia po sobie nawet wspomnienia mroku.

Wstaje i schodzi po omacku na sam dół schodów. Drży, całe ciało ma zimne. Świta, kiedy wychodzi na zewnątrz budynku. Nad spadłym w nocy śniegiem leży mgielka pulsującego szkarłatu. Nie jest to barwa śniegu, lecz barwa w jego oczach. Jedna z powiek drga tak irytująco, że zakrywa ją chłodną dłonią. Głowa go boli, jakby się w niej zaciskała i rozwierała pięść. Zgubił gdzieś na schodach kapelusz.

Z odkrytą głową, w brudnym ubraniu, brnie po śniegu do niewielkiego kościółka Zbawiciela nieopodal Mostu Kamiennoostrowskiego i chroni się tam do czasu, kiedy Matriona i jej matka na pewno opuściły dom. Wówczas wraca do mieszkania, grzeje wodę, rozbiera się do naga i myje się. Pierze też bieliznę i wiesza w umywalni. Miał szczęście Paweł, myśli, że nie cierpiał na tę chorobę, miał szczęście, że nie był moim biologicznym synem. Wówczas spada na niego z nagłą całą ironia tych słów, powodując, że

zgrzyta zębami. W głowie mu łomocze z bólu, czerwona mgiełka wciąż barwi wszystko. Kładzie się w szlafroku i usypia.

W godzinę później budzi się gniewny i rozdrażniony. Stożki bólu cofnęły się od oczu w głąb czaszki. Skórę ma jak papier, wrażliwą na dotyk.

Nagi pod szlafrokiem człapie po mieszkaniu Anny Siergiejewny, otwiera szafki, zagląda do szuflad. Wszędzie jest porządek, wszystko jest czyste i schludne.

W jednej z szuflad znajduje owiniętą w szkarłatny plusz fotografię młodszej Anny Siergiejewny obok mężczyzny, którego bierze za drukarza Kolenkina. Wystrojony w niedzielne ubranie Kolenkin wygląda na wychudłego, starego i zmęczonego. Cóż to było za małżeństwo dla tej uczuciowej, mrocznie przystojnej młodej kobiety? I czemu fotografia została odłożona do szuflady? Kładąc ją na miejsce, rozmyślnie maże palcem szkło, pozostawiając odbicie kciuka na twarzy zmarłego.

Jako dziecko często szpiegował przyjeżdżających gości i ukradkiem naruszał ich prywatność. Jest to słabość, którą do tej pory kojarzył z odmową zaakceptowania granic tego, co mu wolno wiedzieć, z czytaniem zakazanych książek, a tym samym ze swoim powołaniem. Dzisiaj jednak nie jest łaskawy dla samego siebie. Jest w niewoli jakiegoś ducha drobnego zła i wie o tym. Prawda jest taka, że szperając w ten sposób w rzeczach Anny Siergiejewny pod jej nieobecność w domu, odczuwa zmysłową rozkosz.

Zamyka ostatnią szufladę i krąży po mieszkaniu niespokojnie, nie wiedząc, co teraz robić.

Otwiera walizkę Pawła i wkłada białe ubranie. Do tej pory wkładał je dla zmarłego chłopca, w geście buntu i miłości. Lecz teraz, patrząc w lustro, widzi jedynie wytarte szalbierstwo i, co więcej, coś potajemnego i obscenicznego, coś, co powinno się znajdować za zamkniętymi drzwiami i zasłoniętymi oknami pokoi, gdzie panowie w perukach i spódnicach obnażają zadki, aby je chłostano.

Mija południe, a głowa go wciąż boli. Kładzie się i zasłania ramieniem oczy, jakby chciał odparować cios. Wszystko wiruje. Ma wrażenie, jakby się zapadał w nieskończoną czerń. Kiedy przychodzi do siebie, znowu nie wie, kim jest. Zna słowo „ja”, ale gdy na nie patrzy, staje się ono równie enigmatyczne jak skała na środku pustyni. Ot, po prostu sen, myśli. Każdej chwili mogą się obudzić i wszystko znowu będzie dobrze. Przez chwilę dane mu jest w to wierzyć. Potem prawda rozpęka się nad nim i ogarnia go.

Skrzypią drzwi i do pokoju zagląda Matriona. Jest wyraźnie zaskoczona jego obecnością.

– Czy pan jest chory? – pyta, marszcząc brwi.

On nie wysiła się na odpowiedź.

– Czemu pan się ubrał w to ubranie?

– A kto miał się w nie ubrać?

Cień zniecierpliwienia przesuwają się przez jej twarz.

– Znasz historię tego Pawłowego ubrania? – pyta.

Ona kręci głową, że nie.

On siada i gestem zaprasza, aby usiadła w nogach łóżka.

– Chodź tutaj. To długa historia, ale ci ją opowiem. W zaprzyszłym roku, kiedy ja wciąż byłem za granicą, Paweł pojechał do swojej ciotki do Tweru. Na lato. Wiesz, gdzie jest Twer?

– Koło Moskwy.

– Po drodze do Moskwy. Dostyc duze miasto. Mieszkał tam sobie emerytowany oficer, kapitan, z siostrą, która mu prowadziła dom. Nazywała się Maria Timofiejewna. Była kaleką. I była też niespełna rozumu. Poczciwina, ale niezdolna sama o siebie dbać.

Zauważa, jak szybko wpadł w rytm opowiadania. Tak jak tłok maszyny, niezdolny do jakiegokolwiek innego ruchu.

– Ten kapitan, brat Marii, był na nieszczęście pijakiem. Kiedy był pijany, zwykle źle ją traktował. A później nic nie pamiętał.

– Co jej robił?

– Bił ją. I to wszystko. Sprawiał jej staromodne rosyjskie lanie. Ona zaś nie miała mu tego za złe. Zapewne myślała w swej prostocie, że taki właśnie jest świat: miejsce, gdzie się dostaje lanie.

Przyciągnął jej uwagę. Teraz przykręca śrubę.

– Bo ostatecznie właśnie tak musi widzieć świat pies albo koń. Czemu więc Maria miałaby być inna? Koń nie rozumie, że przyszedł na ten świat, żeby ciągnąć wóz.

Myśli, że jest tutaj po to, żeby być bity. Myśli o wozie jako o czymś ogromnym, do czego jest przywiązany, aby nie mógł uciec, kiedy jest bity.

– Niech pan nie...

On wie: ona odrzuca całą duszą obraz świata, który on jej oferuje. Chce wierzyć w dobroć. Ale jej wiara jest niepewna, pozbawiona odporności. On zaś nie czuje dla niej litości. To jest Rosja!, chce powiedzieć, narzucić jej te słowa, wytarzać w nich jej twarz. W Rosji nie można sobie pozwolić na to, żeby być delikatnym kwiatuszkiem. W Rosji trzeba być łopianem albo mleczem.

– Pewnego dnia kapitan przyszedł z wizytą. Nie był szczególnym przyjacielem ciotki Pawła, lecz mimo to przyszedł i przyprowadził z sobą siostrę. Niewykluczone, że był podchmielony. Pawła nie było wtedy w domu. Pewien gość z Moskwy, młody człowiek, który nie orientował się w sytuacji, wdał się w rozmowę z Marią i zaczął ciągnąć ją za język. Może chciał się tylko okazać grzeczny. Z drugiej strony, mógł być też złośliwy. Maria podnieciła się i popuściła wodze fantazji. Zwierzyła się gościowi, że jest zaręczona lub jak się wyraziła „obiecana”. „A pani narzeczony jest z tych okolic?” – spytał. „Tak, z sąsiedztwa” – odparła, rzucając ciotce Pawła nieśmiałe spojrzenie, a musisz wiedzieć, że Maria to wysoka, potężna kobieta o gromkim głosie, i wcale nie młoda ani ponętna. Dla zachowania pozorów ciotka udała, że jej gratuluje, a także gratuluje kapitanowi. Kapitan oczywiście wściekł się na siostrę i kiedy tylko znaleźli się w domu, sprzął ją

bezlitośnie.

– Więc to nie była prawda?

– Nie, to nie była prawda, tylko tak sobie to wymyśliła. A jak się okazało, człowiekiem, który według niej miał ją poślubić, był nie kto inny, tylko właśnie Paweł. Skąd jej to przyszło do głowy, nie mam pojęcia. Może kiedyś się do niej uśmiechnął albo wyraził zachwyt nad jej czepkiem... Paweł miał dobre serce, to była jedna z najładniejszych jego zalet, prawda? I może poszła do domu, marząc o nim, i wymarzyła sobie, że on się w niej kocha, a ona w mm.

Mówiąc, przygląda się ukradkiem Matronie. Dziewczynka wierci się w miejscu i w pewnej chwili wkłada kciuk do ust.

– Wyobrażasz sobie, ile zabawy mieli mieszkańcy Tweru z opowieści o Marii i jej widmowym kochanku. Ale teraz pozwól, że ci opowiem o Pawle. Kiedy usłyszał tę opowieść, wyszedł i obstalował sobie piękne białe ubranie. A kiedy było gotowe, złożył wizytę Lebiatkinom... w tym białym ubraniu i z naręczem kwiatów, zdaje się róż. I chociaż kapitan Lebiatkin początkowo nie odniósł się do tego życzliwie, Paweł wkrótce podbił jego serce. Wobec Marii zachowywał się bardzo taktownie, bardzo grzecznie, jak skończony dżentelmen, choć nie miał jeszcze nawet dwudziestu lat. Te wizyty trwały całe lato, póki nie wyjechał z Tweru do Petersburga. To była lekcja dla wszystkich, lekcja rycerskości. Taki to był Paweł. I taka jest historia białego ubrania.

– A Maria?

- Maria? Nadal mieszka w Twerze, o ile mi wiadomo.
- Ale czy wie?
- Czy wie o Pawle? Chyba nie.
- Czemu on się zabił ?
- Myślisz, że się zabił?
- Mama mówi, że się zabił.

– Nikt się sam nie zabija, Matriosza. Można narazić własne życie, ale zabić się? Jest bardziej prawdopodobne, że Paweł naraził się na ryzyko, żeby zobaczyć, czy Bóg dostatecznie go kocha, żeby go ocalić. Zadał Bogu pytanie... Czy mnie ocalisz...? a Bóg dał mu odpowiedź. Powiedział: nie. Bóg powiedział: giń.

– Bóg zabił go?

– Bóg powiedział: nie. Mógł powiedzieć: tak, ocale cię. Lecz wolał powiedzieć: nie.

– Czemu? – szepce dziewczynka.

– Rzekł do Boga: jeśli mnie kochasz, ocal mnie. Jeżeli jesteś, ocal mnie. Ale odpowiedziała mu tylko cisza. Wtedy powiedział: wiem, że jesteś, wiem, że mnie słyszysz. Stawiam swoje życie, że mnie ocalisz. A Bóg wciąż milczał. Wtedy Paweł rzekł: choćbyś nie wiem jak milczał, wiem, że mnie słyszysz. Idę o zakład... teraz, zaraz! I rzucił swą stawkę. A Bóg się nie pojawił. Bóg nie interweniował.

– Czemu? – szepce znów dziewczynka.

Jego uśmiech jest brzydki, krzywy, brodaty.

– Kto wie? Może Bóg nie lubi być kuszony. Może zasada, że nie powinien być kuszony, jest dla Niego ważniejsza niż życie jednego dziecka. A może przyczyna

jest po prostu taka, że Bóg niezbyt dobrze słyszy. Musi być już bardzo stary, stary jak świat, a nawet starszy. Może niedosłyszy, a także niedowidzi, jak każdy staruszek.

Czuje się pokonana. Nie ma więcej pytań. Już jest gotowa, myśli on. Wskazuje ręką miejsce obok siebie.

Zwieszając głowę, dziewczynka przysuwa się bliżej. Przytula ją ramieniem, czuje jej drżenie. Głaszcze jej włosy, skronie. Wreszcie dziewczynka się poddaje i przytulając się do niego, wciskając piąstki pod brodę, łka niepohamowanie.

– Nie rozumiem – łka. – Czemu on musiał umrzeć?

Chciałby móc powiedzieć: on nie umarł, jest tutaj, ja jestem nim. Ale nie może.

Myśli o nasieniu, które jeszcze jakiś czas żyło w ciele, kiedy oddech ustał, nie wiedząc, że nigdy nie znajdzie ujścia.

– Wiem, że go kochasz – szepce chrapliwie. – On o tym także wie. Masz dobre serduszko.

Gdyby tak móc wydobyć to nasienie z ciała, choćby pojedyncze, i dać mu mieszkanie!

Myśli o terakotowej statuetce, którą widział w muzeum etnograficznym w Berlinie: hinduski bóg Siwa leży na plecach siny i martwy, a na nim siedzi okrakiem postać straszliwej bogini, wielorękiej, szerokoustej, wielkookiej, ekstatycznej – siedzi okrakiem, ściągając z niego boskie nasienie.

Bez trudu wyobraża sobie tę dziewczynkę w ekstazie. Jego wyobraźnia zda się nie mieć granic.

Myśli o dzieciątku, zamarznętym, martwym, pogrzebanym w blaszanej trumnie pod okrytą śniegiem ziemią, przeczekującym zimę, wyczekującym wiosny.

Oto jak daleko zachodzi ten gwałt: dziewczynka w zagięciu jego ramienia, pięć palców ręki, białych i tępych, ściska jej ramionko. Lecz równie dobrze mogłaby leżeć naga. Mogłaby być jedną z tych dziewczynek, które się oddają, bo ich naturalnym odruchem jest być dobrymi, ulegać. Myśli o dziecięcych prostytutkach, które znał tu i w Niemczech. Myśli o mężczyznach, którzy szukają takich dziewczynek, bo pod krzykliwym makijażem i prowokacyjnym ubiorem znajdują coś, co ich oburza, jakąś nietykalność, jakąś dziewiczość. **Ona prostytuuje dziewictwo**, mówi taki mężczyzna, rozpoznając smak niewinności w geście, jakim dziewczynka unosi dłońmi swe piersi dla niego, w ruchu, jakim rozkłada nogi. W małym pokoiku ze stęchłymi zapachami, wydziela słabiutką, rozpaczliwą woń wiosny, kwiatów, woń, której on nie może znieść. Z rozmysłem, z zaciśniętymi zębami zadaje jej ból, a potem znowu i znowu, cały czas wypatrując na jej twarzy czegoś, co by wykraczało poza grymas bólu: nagłego wielkookiego wyrazu istoty, która zaczyna rozumieć, że jej życie jest narażone na niebezpieczeństwo.

Wreszcie ta wizja, ten przystęp, to rozwarcie wyobraźni, mija. Ostatni raz głaszcze kojąco główkę Matriony, cofa rękę i powraca do swego dawnego zachowania wobec niej.

– Czy robi pan ołtarzyk? – pyta Matriona.

– Nie myślałem o tym.

– Może pan zrobić ołtarzyk tu, w rogu, ze świeczką.

I może pan tam umieścić jego portrecik. Jak pan zechce, mogę zapalać tę świeczkę, gdy pana nie będzie.

– Ołtarzyk stawia się na zawsze, Matriosza. A twoja mama będzie chciała wynająć ten pokój, kiedy wyjadę.

– Kiedy pan wyjedzie?

– Jeszcze nie wiem na pewno – odpowiada, unikając pułapki. A potem – Żałoba po stracie dziecka nie ma końca. Czy to chciałaś ode mnie usłyszeć? Mówię. To prawda.

Czy to dlatego, że zauważa zmianę w jego tonie, czy może natrafił na odsłonięty nerw, dziewczynka wyraźnie się krzywi.

– Gdybyś ty umarła, twoja mama chodziłaby w żałobie do końca życia. – I ku własnemu zaskoczeniu, dodaje – Ja też.

Czy to prawda? Niezupełnie. Lecz może niebawem będzie prawda.

– Więc mogę mu zapalić świeczkę?

– Możesz.

– I żeby się stale paliła?

– Tak, ale dlaczego świeca jest dla ciebie taka ważna? Dziewczynka kręci się niespokojnie.

– Żeby mu nie było ciemno – mówi w końcu.

Ciekawe, lecz on też czasem wyobrażał to sobie w ten sposób. Statek na morzu, burzliwa noc, chłopiec, który

wypadł za burzę. Rzucając się wśród fal, utrzymując się jakoś na wodzie, chłopiec krzyczy w przerażeniu: nabiera powietrza i krzyczy, nabiera powietrza i krzyczy za statkiem, który był jego domem, a teraz przestał nim być. Na rufie jest umieszczona latarnia, do której przykuwa wzrok, do plamki światła na pustkowiu nocy i wód. Dopóki widzę to światło, mówi sobie, nie jestem zgubiony.

– Czy mogę teraz zapalić świecę? – pyta dziewczynka.

– Skoro chcesz. Ale nie umieścimy tam portreciku, jeszcze nie teraz.

Matriona zapala świecę i stawia pod lustrem. Potem z ufnością, która go zaskakuje, wraca na łóżko i opiera głowę na jego ramieniu. Patrzą razem na równy płomień świecy. Z ulicy w dole dochodzą głosy bawiących się dzieci. Zaciska palce na jej ramionku, mocno przyciąga ją do siebie. Czuje, jak miękkie młode kości składają się, jedna na drugą, tak jak się składa ptasie skrzydło.

8. IWANOW

Wkracza w sen jak co noc, z zamiarem znalezienia drogi do Pawła. Lecz tej nocy zostaje zbudzony – niemal natychmiast, jak mu się zdaje – przez głos, cienki do granic odcieleśnienia, wołający z ulicy w dole. Isajew!, woła głos raz po raz, cierpliwie.

Wiatr w szuwarach, myśli i zapada z uczuciem ulgi znowu w sen. Jest lato, szum trzciny na wietrze, błękit nieba nakrapiany białymi chmurkami, i on kroczący wzdłuż strumyka, gwizdząc, z laską w dłoni, którą od niechcienia uderza w szuwary. Furkot skrzydeł tkaczy. Staje i znieruchomiały nasłuchuje. Pieśń koników polnych też milknie. Słyszc tylko jego oddech i szuwary szumiące na wietrze. Isajew!, woła wiatr.

Wzdryga się i natychmiast się budzi. Jest środek nocy, cały dom śpi. Podchodząc do okna i wpatrując się w cienie i blaski księżycy, czeka na powtórzenie się wołania. W końcu wołanie rozbrzmiewa. Ma ten sam ton, tę samą długość, tę samą modulację co słowo, które wciąż rozbrzmiewa echem w jego uszach, ale to wcale nie jest ludzkie wołanie, jest to żalosne wycie psa.

Więc to nie Paweł, który woła, by po niego wyjść – to coś, co go nie dotyczy; pies wyjący za swym ojcem. No więc niech pies-ojciec wyjdzie w chłód i mrok i weźmie w ramiona swoje wstrętne, cuchnące dziecko. Niech je koi, śpiewa mu i lula je do snu.

Pies znowu wyje. Ani śladu pustych równin i srebrnego blasku: to pies, nie wilk. Pies, nie jego syn. A zatem? A zatem musi otrząsnąć się z tego letargu. Ponieważ to nie jest jego syn, nie wolno mu wrócić do łóżka, lecz musi się ubrać i odpowiedzieć na to wezwanie. Jeżeli oczekuje, że jego syn przybędzie jak złodziej nocą, i nasłuchuje tylko wezwania złodzieja, nigdy go nie zobaczy. Jeśli oczekuje, że jego syn przemówi głosem nieoczekiwanego, nigdy go nie usłyszy. Póki oczekuje tego, czego nie oczekuje, to, czego nie oczekuje, nie nastąpi. A zatem – paradoks w paradoksie, ciemność spowita w ciemność – musi odpowiedzieć na to, czego nie oczekuje.

Gdy był na drugim piętrze, zdawało się, że łatwo znajdzie psa. Ale kiedy wychodzi na ulicę, czuje się dezorientowany. Czy to wycie, płacz, dochodzi z lewej czy z prawej strony, z jednego z domów po drugiej stronie ulicy czy spoza nich, a może z któregoś z ich podwórek? Z którego? A jeśli chodzi o same skomlenia? Wydają się teraz nie tylko krótsze i cichsze, ale o całkiem innej barwie – zupełnie jakby nie te same.

Szuka tu i tam, zanim natrafia na zaułek, którym wynosi się nieczystości. W odgałęzieniu tego zaułka odnajduje wreszcie psa. Jest przywiązany cienkim łańcuchem do rynny. Łańcuch owinał się wokół przedniej łapy psa – podrywa ją do góry przy każdym szarpnięciu. Widząc, że on się zbliża, pies umyka ze skomleniem, jak najdalej może. Kładzie uszy, przewraca się na grzbiet.

Suka. On schyla się nad nią, rozplątuje łańcuch. Psy potrafią wyczuć czyjś lęk, ale on nawet na tym chłodzie czuje przerażenie suki. Drapie ją za uchem. Wciąż leżąc na grzbiecie, suka bojaźliwie liże przegub jego dłoni.

Czy właśnie to będę robił przez resztę moich dni, zastanawia się: zaglądał w oczy psów i żebraków?

Suka dźwiga się i staje na nogi. Chociaż on nie lubi psów, nie odsuwa się i nadal siedzi w kucki, kiedy ciepły, wilgotny język liże mu twarz, uszy, zlizuje sól z brody.

Głaszcze sukę po raz ostatni i podnosi się. W świetle księżycy nie może dostrzec, która godzina. Suka szarpie łańcuch, skomli. Kto przywiązuje psa na dworze w taką noc? Niemniej nawet nie stara się go odwiązać. Odwraca się nagle i odchodzi ścigany żalonym wyciem.

Dlaczego ja? – myśli, oddalając się spieszenie. Czemu to właśnie ja muszę dźwigać całe brzemie świata? A co do Pawła, jeśli nie może mieć nic innego, to niech przynajmniej ma dla siebie śmierć, niech mu nie zabierają śmierci i nie zamieniają jej w okazję nawracania jego ojca.

To nie jest dobre. To rozumowanie... pozornie słuszne, niegodne uwagi... ani na chwilę go nie zwiodło. Śmierć Pawła wcale do niego nie należy – to jest tylko taki figiel językowy. Póki on jest tutaj, śmierć Pawła jest jego śmiercią. Gdziekolwiek zdąży, niesie z sobą Pawła jak dziecko posiniałe z zimna („Kto ocali sine dziecię?” – rozbrzmiewa mu w duszy, słowa błagalne pochodzące nie wiadomo skąd, wypowiedane z wiejską śpiewnością).

Paweł nie chce przemówić, nie chce mu powiedzieć,

co robić. „Dźwignij z upadku i zaopiekuj się najmniejszym z braci”; gdyby wiedział, że te słowa pochodzą od Pawła, posłuchałby bez szemrania. Ale nie pochodzą. Najmniejszy z braci: czy tym najmniejszym jest pies pozostawiony na chłodzie? Czy powinien tego psa uwolnić, zabrać z sobą, nakarmić, otoczyć opieką? Czy tym najmniejszym jest brudny, pijany żebrak w wyświechtanym płaszczu pod mostem? Ogarnia go uczucie straszliwej beznadziejności, co się wiąże – chociaż nie wie, w jaki sposób – z faktem, że nie ma pojęcia, która jest godzina, ale jądrem tego uczucia jest rosnąca pewność, że nigdy więcej nie wyjdzie nocą na wezwanie psa, że oto okazja pozostawienia siebie, jakim jest, za sobą i stania się, czym mógłby jeszcze być, już minęła. Jestem swoim ja, myśli z rozpaczą, przykuty do siebie aż do śmierci. Cokolwiek ku mnie się skłoniło, ja okazałem się niegodny, a ono teraz się ode mnie odwróciło.

Jednakże nawet w chwili zamykania drzwi za sobą jest świadom, że nadal ma szansę powrotu w zaułek, odwiązania psa, przyprowadzenia do bramy numer 63 i sporządzenia mu czegoś na kształt posłania u stóp schodów – choć wie, że gdyby psa tu przyprowadził, ten chciałby iść z nim dalej, a jeśli by go ponownie przywiązał, skomlałby i szczeakał, aż obudziłby cały dom. **To nie jest mój syn**, to tylko pies, protestuje. **Co on mnie obchodzi?** Lecz w chwili, gdy protestuje, już zna odpowiedź: Paweł nie dostąpi zbawienia, póki on nie uwolni psa i nie przyprowadzi go do swojego łóżka, nie przyprowadzi

maluczkich, żebraków i żebraczek, i wielu innych, o których jeszcze nawet nie wie. A i wtedy nie będzie pewności.

Wydaje z siebie wielki jęk rozpacz. Co mam rob i ć? – myśli. A czy wiedziałbym, gdybym nie stracił kontaktu z własnym sercem? Ale to nie z sercem stracił kontakt, lecz z prawdą. Albo – druga strona tej samej myśli – to wcale nie z prawdą stracił kontakt: przeciwnie, prawda spada na niego całym wodospadem, bez umiaru, niemal go zatapia. A potem myśli (odwracając tę myśl i odwracając również jej odwrócenie: w dzisiejszych czasach trudno się obyć w myśleniu bez takich jezuickich sztuczek!): tonąc pod tym wodospadem, czegoż potrzebuję? Więcej wody, więcej powodzi, głębszego zatonięcia.

Stojąc na środku pokrytej śniegiem ulicy, przykładając zimne dłonie do twarzy, czuje na nich woń psa, dotyka zimnych łez na policzkach, próbuje ich smaku. Sól dla tych, którzy potrzebują soli. Obawia się, że nie ocali psa ani tej, ani następnej nocy, jeżeli będzie następna. Czekając na znak i stawia na to (nie śmie użyć żadnego większego słowa), że ten pies nie jest oczekiwanym znakiem, w ogóle nie jest znakiem, jest tylko zwykłym psem, jednym spośród wielu zwykłych psów wyjących w nocy. Lecz wie też, iż póki próbuje chytrym odróżnić rzeczy, które są tylko rzeczami, od rzeczy, które są znakami, nie będzie zbawiony. Oto logika, którą zostanie pokonany. A czując jej żelazną twardość, odchodzi od zmysłów jak pies na łańcuchu, który kruszy gryzące go zęby. I uwaga, uwaga,

upomina siebie: pies na łańcuchu, ten drugi pies, jest sam w sobie niczym, nie jest oświeceniem, jedynie zwierzęcym podobieństwem!

Z wetkniętymi w kieszenie pięściami, pochyloną głową, nogami sztywnymi jak pręty, stoi na środku ulicy, czując, jak psia ślina zamarza mu na brodzie.

Czy to możliwe, że w tej samej chwili w cienistej bramie numer 63 ktoś czyha, obserwuje go? Nie jest pewien, czy widzi ciało tego człowieka, a nawet plama nieco jaśniejszego mroku, którą uważa za twarz, może być po prostu jaśniejszym kawałkiem tynku. Im jednak dłużej się w nią wpatruje, tym intensywniej zda się owa twarz przypatrywać jemu. Prawdziwa twarz? Jego wyobraźnia jest pełna brodatych mężczyzn o błyszczących oczach, którzy się kryją w ciemnych korytarzach. Niemniej kiedy wchodzi w nieprzeniknioną czerń bramy, wrażenie czyjejs obecności staje się tak silne, że ciarki przechodzą mu po plecach. Staje, wstrzymuje oddech, nasłuchuje. Potem zapala zapalną.

W kącie siedzi skulony mężczyzna, mrużąc oczy przed światłem. Choć ma głowę i pół twarzy owinięte wełnianym szalikiem i koc na ramionach, łatwo w nim rozpoznać żebraka napotkanego w przedsionku cerkwi.

– Kim jesteś? – pyta go łamiącym się głosem. – Zostaw mnie w spokoju.

Zapalnik gaśnie. Zapala drugą.

Mężczyzna potrząsa energicznie głową. Spod koca wynurza się ręka i odsuwa szalik.

– Nie możesz mi rozkazywać – mówi mężczyzna. W powietrzu czuć woń zepsutej ryby.

Zapałka gaśnie. On rusza po schodach na górę. Ale paradoks powraca do znudzenia: oczekuj, kogo nie oczekujesz. Bardzo dobrze. Ale czy trzeba zatem traktować każdego żebraka jak syna marnotrawnego, ścisnąć, zapraszać, urządzać mu ucztę? Tak, właśnie tak powiedziałby Pascal: stawiaj na wszystkich, każdego żebraka, każdego parszywego psa, tylko w ten sposób możesz być pewien, że ten Jeden, prawdziwy syn, złodziej przychodzący nocą, nie prześlizgnie się przez sieć. I Herod by się zgodził: upewnijcie się – zabijcie wszystkie dzieci bez wyjątku.

Stawianie na wszystkie numery – czy to można nazwać hazardem? Bez ryzyka, bez poddania się głosowi skądinąd w rzucie kości, co w tym pozostaje boskiego? Z pewnością Bóg to wie i będzie miał litość dla hazardzisty-w-głębi-serca! I na pewno żona, która, gdy jej mąż klęka przed nią i wyznaje, że przegrał ich ostatniego rubla, i bije się w pierś, i całuje skraj jej sukni – żona, która podnosi go z kolan i ociera mu łzy, po czym bez słowa idzie zastawić obrączkę ślubną i wraca z pieniędzmi („Masz!”), aby mógł wrócić do sali gry i postawić ostatni raz, a przez to wszystko odzyskać – taka kobieta ma na pewno w sobie coś z boskości, kobieta, co stawia na mężczyznę, któremu nie zostało nic, kobieta, co gdy nawet ślubna obrączka zostanie zastawiona i stracona, wychodzi po raz drugi w noc i wraca z pieniędzmi na jeszcze jedną

grę. Czy ta kobieta na górze, której imienia jakby na chwilę zapomniał i którą nawet myli z tą swoją Gnadige Frau, gospodynią w Dreźnie, ma w sobie coś z tej boskości? Nie wie o niej najprostszych rzeczy, tylko to ostatnie i najskrytsze: jak ona się oddaje. Czy z tego, jak się kobieta oddaje, może mężczyzna odgadnąć, jak się odda bogowi hazardu? Czy taką kobietę cechuje zapamiętanie, zapamiętanie, co nie dba, dokąd ono prowadzi, do bólu czy rozkoszy, które posługuje się zmysłowym ciałem tylko jako naczyniem i tylko dlatego, że nie możemy żyć odcieleśnieni? Czy istnieje taka forma kochania, której ona jest zwolenniczką, że ciała się przyciskają, wciskają i przeciskają wzajem przez siebie w mrok, w którym nic nie słyhać prócz łopotu prześcieradeł niczym skrzydeł?

Wspomnienie spędzonych z nią nocy napływa nagle w całej pełni i wszystko, co w nim było splecione, prostuje się, wskazując jak strzałka na nią. Opanowuje go pożądanie w całym swym przepychu. **Ona**, myśli, **to właśnie ona jest tą, której pragnę. A zatem. ..**

Zatem, uśmiechając się do siebie, wraca spieszenie na dół i idzie po omacku w kąt, gdzie ten człowiek, ten najmita, ten szpieg urządził sobie posłanie.

– Chodź – mówi w ciemność – mam dla ciebie łóżko.

– To jest mój posterunek, muszę pozostać na posterunku – odpowiada ów przewrotnie.

Ale już nic nie jest w stanie popsuć mu humoru.

– Zapewniam cię, że człowiek, na którego czekasz, przyjdzie choćby i na trzecie piętro. Zapuka do drzwi

i będzie cierpliwie czekał.

Rozlega się szuranie i szelest papieru.

– Nie masz jeszcze jednej zapalniczki? – pyta człowiek.

Zapala zapalniczkę. Człowiek spieszenie wkłada swoje rzeczy do torby i wstaje.

Potyka się w ciemności niczym dwaj pijacy, wspinają się po schodach. Przy drzwiach swojego pokoju szepce do obcego, aby był cicho, i bierze za rękę, żeby go poprowadzić. Ręka jest nieprzyjemnie gruba.

Dotarłszy na miejsce, zapala lampę. Trudno ocenić wiek obcego. Oczy ma młodzieńcze, ale w rzadkich ciemnorudych włosach i piegowej łysinie jest coś zmęczonego i starego, a w jego sposobie trzymania się coś zniszczonego wiekiem i przeciwnościami.

– Iwanow, Piotr Aleksandrowicz – mówi obcy, ściągając obcasy i lekko się skłaniając. – Emerytowany urzędnik.

On wskazuje łóżko.

– Niech się pan kładzie.

– Zapewne pan się dziwi – mówi Iwanow, próbując miękkości łóżka – jak ktoś mojego pokroju mógł zostać pilnowaczem (tak to w naszym fachu nazywamy: pilnowaniem). – Kładzie się, wyciąga na całą długość.

Tymczasem on doznaje przeczucia, że oto uwikłał się w znajomość z jednym z tych żebraków, którzy nie umiejąc zonglować ani grać na skrzypcach, czują, że muszą odpłacić się za jałmużną historią swego życia.

– Proszę mówić ciszej – upomina go. – I zdjąć buty.

– Pan jest tym człowiekiem, którego syn został zabity, prawda? Moje najszczerze kondolencje. Trochę wiem, co pan czuje. Nie do końca, ale wiem. Sam straciłem dwoje dzieci. Na zapalenie opon mózgowych. Moja żona nigdy nie przyszła do siebie po tym ciosie. Można by je uratować, gdyby nas było stać na dobrych lekarzy. Tragedia, ale co z tego? W dzisiejszych czasach widzi się tragedie wszędzie wokół. Tragedia stała się czymś powszechnym. – Siada na łóżku. – Niech pan posłucha mojej rady, Fiodorze Michajłowiczu (nie ma pan mi za złe, że tak się do pana zwracam?), niech pan posłucha rady kogoś, kto przeszedł, że tak powiem, przez ten młyn, i niech pan da upust swojemu smutkowi. Niech pan płacze jak kobieta. To wielki sekret kobiet, który im daje przewagę nad takimi ludźmi jak my. Ze one wiedzą, kiedy dać za wygraną i płakać. My, pan i ja, nie wiemy. My zamykamy to w sobie, aż z tego się staje istny diabeł. I wtedy idziemy, i robimy coś głupiego, żeby się go pozbyć na godzinę albo dwie. Tak, robimy coś głupiego, a potem nigdy nie przestajemy tego żałować. Kobiety nie są takie, bo kobiety znają tajemnicę łez. Musimy się uczyć od płci pięknej, Fiodorze Michajłowiczu, musimy uczyć się płakać! Widzi pan? Ja nie wstydzę się płakać: w przyszłym miesiącu miną trzy lata, odkąd stała się tragedia, a ja nie wstydzę się płakać!

I rzeczywiście łzy płyną mu po policzkach. Ociera je mankietem, ale płyną dalej. Wydaje się, że nie ma problemu z mówieniem, kiedy płacze. Mało, wydaje się

dość pogodny.

– Myślę, że będę opłakiwał stratę dzieci aż do końca życia – mówi.

Kiedy Iwanow papie o swoich dzieciach, on myśli o czymś innym. Czy to dlatego, że jest pisarzem, ludzie opowiadają mu swoje dzieje? Może myśla, że nie ma o czym pisać? Jest wyczerpany, ból głowy nie ustępuje. Siedząc na jedynym krześle, kiedy za oknem już zaczyna się odzywać ptactwo, chce rozpaczliwie spać, znaleźć się rozpaczliwie w łóżku, które odstąpił.

– Porozmawiamy później – przerywa gniewnie. – Niech pan idzie spać, w przeciwnym razie jaki jest sens tego... – Urywa z wahaniem.

– Tego miłosiernego uczynku? – dopowiada figlarnie Iwanow. – Czy to chciał pan powiedzieć?

On nie odpowiada.

– Bo zapewniam pana, nie musi się pan wstydzić swoich miłosiernych uczynków – ciągnie cicho Iwanow – doprawdy. Tak jak nie powinien się pan wstydzić smutku. Są to szlachetne odruchy. One zdają się nas poniżać, te nasze szlachetne odruchy, ale w rzeczywistości wywyższają nas. A On widzi je i każdy z nich zapisuje, Ten, który ma wgląd we wszystkie zakamarki naszych serc.

Otwiera z wysiłkiem oczy. Iwanow siedzi na środku łóżka ze skrzyżowanymi nogami, jak bożek. Szarlatan! – myśli. Zamyka oczy. Kiedy się budzi, Iwanow wciąż jest wyciągnięty na łóżku, z dłońmi złożonymi pod głową,

pograżony we śnie. Usta ma otwarte. Z tych ust, małych i różowych jak u dziecka, dobywa się delikatne pochrapywanie.

Pozostaje z Iwanowem aż do późnego ranka. Iwanow, początek nieoczekiwanego, myśli, zobaczymy, dokąd nieoczekiwane nas zawiedzie.

Nigdy dotąd czas nie płynął tak ospale, nigdy atmosfera nie była tak wyzuta z objawienia. Wreszcie, znudzony, budzi gościa.

– Czas iść, pana zmiana się skończyła – mówi. Iwanow zdaje się nieświadom tej ironii. Jest świeży, pogodny, wypoczęty.

– Auf! – ziewa. – Muszę odwiedzić toaletę! – A potem, po powrocie – Nie mógłby pan odstąpić mi odrobiny śniadania?

Prowadzi Iwanowa w głąb mieszkania. Jego śniadanie stoi na stole, lecz on nie ma apetytu.

– Proszę – mówi krótko. Oczy Iwanowa błyszczą, kropelka śliny spływa mu po brodzie. Jednakże je przyzwoicie i pije herbatę, odstawiając w bok mały palec. Skończywszy, rozsiada się i wzdycha z ukontentowaniem.

– Jakże się cieszę, że nasze drogi się spotkały! – mówi. – Świat potrafi być chłodnym miejscem, Fiodorze Michajłowiczu, jak z pewnością sam pan wie! Ja wcale się nie skarzę, proszę zauważyć. Mamy to, na co zasłużyliśmy, w wyższym sensie. Niemniej dziwię się czasami, czy nie zasłużyliśmy również, każdy z nas, na ucieczkę, przystań,

w której sprawiedliwość na chwilę da się wzruszyć i dostąpimy litości? Stawiam takie pytanie, filozoficzne pytanie. Jeżeli nawet nie ma tego w Piśmie, to czy nie jest to w duchu Pisma: że zasługujemy, na co nie zasługujemy? Co pan o tym sądzi?

– Niewątpliwie. Jednak to nie jest, niestety, moje mieszkanie. I teraz już musi je pan opuścić.

– Za chwilę. Jeszcze tylko ostatnia uwaga. To nie była po prostu czcza gadanina, co wczoraj w nocy mówiłem o Bogu, który widzi zakamarki naszych serc. Mogę nie być dostatecznie świętym prostaczkiem, ale to nie znaczy, że nie mówię prawdy. Prawda się przejawia, jak pan wie, na różne pokrętne i tajemnicze sposoby. – Stuka się znacząco w czoło. – Nigdy się panu nie śniło, prawda, kiedy pan pierwszy raz mnie zobaczył, że kiedyś będziemy sobie siedzieli razem i pili herbatę w cywilizowany sposób? A proszę: siedzimy i pijemy!

– Przepraszam, ale myślami jestem gdzie indziej. Doprawdy, musi pan już iść.

– Tak, muszę iść. Ja też mam swoje obowiązki. – Wstaje, zarzuca koc na ramiona niczym pelerynę, wyciąga rękę. – Do widzenia. Przyjemnie było porozmawiać z człowiekiem kulturalnym.

– Do widzenia.

Z ulgą się go pozbywa. Ale stęchły, rybi zapach wciąż wypełnia pokój. Mimo chłodu musi otworzyć okno.

W pół godziny później rozlega się pukanie do drzwi. Czyżby znów ten człowiek? – myśli i otwiera drzwi

z gniewnym grymasem na twarzy.

Przed nim stoi dziecko, gruba dziewczynka, ubrana w czarny fartuch, jakie noszą zakonnice w nowicjacie. Twarz ma krągłą i bez wyrazu, kości policzkowe tak wysokie, że jej małe oczka są niemal ukryte, włosy mocno szesane do tyłu i splecione w krótki warkocz.

– Czy pan jest ojczymem Pawła Isajewa? – pyta zaskakująco głębokim głosem.

Kiwa głową.

Dziewczynka wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

– Ja byłam przyjaciółką Pawła – oznajmia. On się spodziewa, że teraz nastąpią kondolencje. Ale nie następują. Dziewczyna staje natomiast przed nim z opuszczonymi rękami i mierzy go wzrokiem z pełnym czujności spokojem, spokojem zapaśnika czekającego na początek walki. Jej pierś unosi się i opada równomiernie.

– Czy mogę zobaczyć, co pozostawił po sobie? – pyta.

– Zostawił bardzo mało. Mogę wiedzieć, jak się pani nazywa?

– Katri. A mogę zobaczyć, mimo że tego jest bardzo mało? Już trzeci raz przychodzę. Za pierwszym i drugim razem ta głupia właścicielka mieszkania nie chciała mnie nawet wpuścić. Mam nadzieję, że z panem będzie inaczej.

Katri. Fińskie imię. A ona wygląda na Finkę.

– Z pewnością miała powody. Dobrze pani знаła mego syna?

Nie odpowiada na jego pytanie.

– Wie pan o tym, że to policja zabiła pana pasierba – mówi rzeczowo.

Czas staje w miejscu. Słyszy bicie swego serca.

– Zabili go i puścili w obieg bajkę o jego samobójstwie. Nie wierzy mi pan? Może pan nie wierzyć, jeżeli pan nie chce.

– Czemu pani to mówi? – pyta suchym szeptem.

– Czemu? Bo to prawda. Dlaczegoż by innego?

Nie chodzi tylko o to, że jest zadziorna: zaczyna się również niecierpliwić. Chwieje się rytmicznie, przestępując z nogi na nogę i machając do taktu rękami. Mimo tegiej figury sprawia wrażenie zwinnej. Nic dziwnego, że Anna Siergiejewna nie chciała mieć z nią nic wspólnego!

– Nie. – Potrząsa głową. – Wszystko, co mój syn zostawił, ma charakter osobisty, rodzinny. Proszę łaskawie wyjaśnić, jaki jest cel pani wizyty.

– Czy są wśród tych rzeczy jakieś papiery?

– Były, ale już ich nie ma. Czemu pani pyta? – A po chwili – Czy pani należy do ludzi Nieczajewa?

Pytanie wcale jej nie peszy. Przeciwnie, dziewczyna uśmiecha się, unosząc brwi i po raz pierwszy odsłania oczy, błyszczące, tryumfujące. Oczywiście, należy do ludzi Nieczajewa. Jest wojowniczką, a to jej kołysanie się to początek tańca wojennego, tańca człowieka palącego się do walki.

– A gdybym należała, to myśli pan, że bym panu powiedziała? – mówi ze śmiechem.

– Czy wie pani, że ten dom znajduje się pod nadzorem policji?

Patrzy na niego pilnie, kołysząc się na palcach, jakby chciała, żeby dostrzegł coś w jej spojrzeniu.

– W tej chwili na dole znajduje się pewien człowiek – ciągnie.

– Gdzie?

– Pani go nie zauważyła, ale on z całą pewnością zauważył panią. Udaje żebraka.

Jej śmiech przechodzi w szczere rozbawienie.

– Myśli pan, że nie potrafiłabym przechytryć szpicla? – mówi. I robi coś zdumiewającego. Chwyta skraj fartucha, robi dwa podskoki i ukazuje czarne buciki i białe bawełniane pończochy.

Ma rację, myśli, można ją wziąć za dziecko, ale dziecko w diabelskiej mocy. Tkwiący w niej diabeł podryguje, skacze, nie może usiedzieć spokojnie.

– Dosyć tego! – mówi do niej chłodno. – Mój syn nie zostawił niczego dla pani.

– Syn! On nie był pana synem!

– Jest moim synem i zawsze będzie. A teraz proszę wyjść. Mam dosyć tej rozmowy.

Otwiera drzwi i wskazuje ręką, by wyszła. Wychodząc, dziewczyna rozmyślnie go potrąca. Zupełnie jakby się było potrąconym przez świnię.

Nie ma ani śladu Iwanowa, kiedy wychodzi po południu ani też kiedy powraca. Co go to obchodzi. Jeśli zadaniem Iwanowa jest widzieć, nie będąc samemu

widzianym, to czemu jego zadaniem byłoby widzieć Iwanowa? Jeżeli nawet w obecnej szaradzie Iwanow gra rolę Bożego anioła – anioła jedynie z tej racji, że nim nie jest – czemu jego rolą miałyby być szukanie anioła? Niech anioł zapuka do moich drzwi, mówi sobie, a wtedy niezawodnie dam mu schronienie. Jednakże jeszcze w trakcie wypowiedzania tych słów wie, że sam wobec siebie kłamie, że jest w mocy uwolnić Iwanowa całkowicie i absolutnie od jego chłodnego posterunku.

Tak więc trapi się i trapi, aż wreszcie nie pozostaje mu nic innego, jak zejść na dół i poszukać Iwanowa. Ale nie ma go ani na dole, ani na ulicy. Oddycha zatem z ulgą. Zrobiłem, co mogłem, myśli.

Lecz wie w głębi serca, że nie zrobił. Mógł zrobić więcej, znacznie więcej.

9. NIECZAJEW

Następnego dnia jest w okolicy Rynku Siennego, kiedy zauważa przed sobą tęą, niemal kulistą figurkę tej samej Finki. Nie jest sama. Jest z nią jakaś kobieta, wysoka i szczupła, idąca tak szybko, że Finka musi co chwila podbiegać, żeby za nią nadążyć.

Przyśpiesza kroku. Chociaż w tłumie chwilami traci obie kobiety z oczu, nie jest od nich daleko, gdy wchodzi do sklepu. Wchodząc, wysoka kobieta patrzy na ulicę za sobą. Uderza go błękit jej oczu i bladość cery. Spojrzenie to mija go bez zatrzymania. On przechodzi na drugą stronę ulicy i spaceruje, czekając, aż kobiety wyjdą. Mija pięć minut, dziesięć. Zaczyna mu być zimno.

Mosiężna tabliczka głosi „Atelier La Fay” lub „Fee”, „Modystka”. Otwiera drzwi, wchodzi. Rozbrzmiewa dzwonek. W wąskim, dobrze oświetlonym pomieszczeniu siedzą przy dwóch długich stołach dziewczęta w jednakowych szarych fartuchach. Na jego powitanie wybiega kobieta w średnim wieku.

– Monsieur?

– Przed kilku minutami weszła tu moja znajoma... młoda kobieta. Myślałem... – Rozgląda się po pracowni zaskoczony: po Fince i tej drugiej nie ma ani śladu. – Przepraszam, musiałem się pomylić.

Dwie młode szwaczki obok chichocą, widząc jego zakłopotanie. Co zaś się tyczy Madame La Fay, ta przestaje

się nim interesować.

– Zapewne chodzi panu o te studentki – mówi. – My nie mamy nic wspólnego z tymi studentkami.

Przeprasza jeszcze raz i kieruje się do wyjścia.

– Tam! – słyszy za sobą.

Odwraca się. Jedna z dziewcząt wskazuje drzwiczki z lewej strony.

– Tamtędy!

Wychodzi na wąski zaułek oddzielony murem od ulicy. Żelazne schody wiodą na pięterko. Chwilę się waha, potem idzie dalej.

Trafia do ciemnego korytarza wypełnionego kuchennymi zapachami. Z góry dochodzi piskliwy dźwięk skrzypiec grających cygańską melodię. Idzie za dźwiękami muzyki na wyższe piętro do uchylonych drzwi poddasza i puka. Otwiera mu Finka. Jej twarz nie zdradza zdziwienia.

– Mogę z panią porozmawiać?

Dziewczyna odstepuje w bok.

Na skrzypcach gra młody człowiek w czerni. Na widok nieznanego urywa w pół taktu, rzuca szybkie spojrzenie wysokiej kobiecie, po czym bierze czapkę i wychodzi bez słowa.

– Zobaczyłem panią na ulicy i szedłem za panią – mówi do Finki. – Możemy porozmawiać?

Ona siedzi na tapczanie, ale nie prosi go, by usiadł. Nogami ledwo sięga do podłogi.

– Niech pan mówi.

– Wczoraj powiedziała coś pani o śmierci mojego syna. Chciałbym wiedzieć więcej. Nie chodzi mi o zemstę. Pytam dla własnej ulgi. To znaczy, chcę zrzucić ciężar z serca.

Ona patrzy na niego drwiąco.

– Zrzucić ciężar z serca?

– Chodzi mi o to, że nie przyjechałem do Petersburga, żeby prowadzić śledztwo – ciągnie wytrwale – ale skoro już pani powiedziała, co powiedziała, nie mogę tego zignorować, odepchnąć od siebie.

Urywa. W głowie mu się kręci, czuje się nagle wyczerpany. Pod zamkniętymi powiekami widzi Pawła kroczącego ku niemu. U jego boku idzie dziewczyna, którą sobie wybrał na żonę. Paweł chce właśnie przemówić, przedstawić tę dziewczynę, on zaś ma powiedzieć sobie: Boże, wreszcie te wszystkie lata ojcostwa dobiegają końca, wreszcie znalazły się inne ręce, w które wpadnie! Ma się uśmiechnąć do Pawła uśmiechem, w którym jest radość i ulga. Ale kto jest panną młodą? Czy może nią być ta wysoka młoda kobieta (prawie dorównująca wzrostem Pawłowi) o przeszywających niebieskich oczach?

Wyrywa się z zadumy. Następne jego zdanie już się wyłania z czymś na kształt buczenia.

– Mam wobec niego obowiązek, którego nie mogę uniknąć – mówi.

To wszystko. Słowa dobiegają kresu, wysychają. Zapada cisza, wydłuża się i wydłuża. On stara się ożywić wizję Pawła i jego panny młodej, ale ni stąd, ni zowąd

pojawia się Iwanow, a w każdym razie jego dłonie: blade, tłuste palce wystające jak larwy z zielonych wełnianych niteczek. Twarz natomiast nurza się w siarkowej mgle, ciągle zbyt ruchoma, by mógł ją uchwycić wzrokiem. Sprawia jednakże wrażenie chytrze, natarczywie uśmiechniętej, jakby ów człowiek wiedział o czymś miażdżącym dla niego i chciał, by on wiedział, że o tym wie.

Potrząsa głową, stara się odzyskać zmysły. Lecz słowa jakby go opuściły. Stoi przed Finką jak aktor, który zapomniał roli. Ta cisza ciąży jak głaz na tym pomieszczeniu. Głaz lub spokój, myśli, jakaż byłaby cisza, gdyby wszystko znieruchomiało, gdyby ptactwo zamarło w locie, glob ziemski zawisnął na swej orbicie! Z całą pewnością zbliża się atak: nie może mu w żaden sposób zapobiec. Smakuje resztki tej ciszy. Co za szkoda, że ona nie może trwać wiecznie! Skądś z dala dobiega krzyk, który musi być jego własny. **Tam będzie zgrzytanie zębów** – rozbłyskują przed nim słowa. Potem następuje koniec.

Kiedy przychodzi do siebie, czuje, jakby właśnie wrócił z jakiegoś dalekiego kraju, gdzie się zestarzał i posiwiął. Ale jest w tym samym pomieszczeniu i wciąż stoi z ręką na wpół wzniesioną. A te dwie kobiety też są, w tych samych pozach co poprzednio, chociaż twarz Finki ma teraz wyraz czujności.

– Czy mogę usiąść? – mamrocze, a język wydaje mu się za wielki dla jego ust.

Finka przesuwa się w bok i on, ze zwieszoną głową siada obok niej na tapczanie.

– Czy coś się stało? – pyta Finka.

On nie odpowiada. Co chce powiedzieć i czemu wciąż jest taki zmęczony? Jest tak, jakby mózg spowiała mu mgła. Gdyby był postacią z książki, co by powiedział w takiej chwili, gdy albo mówi się z serca, albo strona pozostaje nie zapisana?

– Trudno wyrazić – mówi wolno – jak smutny i obcy się czuję w waszym towarzystwie. Gra, którą prowadzicie, jest grą, w której nie mogę wziąć udziału. To, co was pochłania, co musiało pochłaniać i Pawła, zupełnie mnie nie pociąga. Jeżeli mam być szczery, wręcz mnie odpycha.

Wysoka dziewczyna bez słowa opuszcza pokój. Szelest jej sukni i smużka lawendy, kiedy przechodzi obok niego, budzą w nim nieoczekiwane pragnienie. Pragnienie czego? Samej dziewczyny? Z całą pewnością nie – albo nie tylko. Młodości raczej, na zawsze utraconej, porozpinianych ubrań, nagich ciał. Mimo to ta reakcja niepokoi go. Dlaczego właśnie tu i teraz? Coś związanego z wyczerpaniem, ale może i z Pawłem – ze znalezieniem się w Pawłowym świecie, w Pawłowym otoczeniu erotycznym.

– Pokazano mi spisy ludzi przeznaczonych na śmierć – mówi.

Finka przygląda mu się szpareczkami oczu.

– Policja jest w posiadaniu tych list... z czego, mam nadzieję, zdaje sobie pani sprawę. Zabrali je z pokoju

Pawła. Chcę zapytać: czy każde z was ma po prostu określoną liczbę ludzi do zabicia albo czy niektóre z tych osób są oznaczone jako wasze i tylko wasze? A jeżeli tak, to czy wymaga się od was, abyście przedtem studiowali te osoby, zapoznawali się z ich codziennym życiem? Czy szpiegujecie je w domach?

Finka próbuje coś powiedzieć, lecz on zaczyna ożywać i jego głos góruje nad jej głosem.

– Jeżeli tak, jeżeli tak, to czy nie wchodzicie z konieczności w większą zażyłość ze swoimi ofiarami, niżbyście chcieli? Czy nie stajecie się jak ktoś przywołany z ulicy, dajmy na to żebrak, aby za pięćdziesiąt kopiejek pozbawił życia starego, ślepego psa, więc bierze sznur, zawiązuje pętlę i głaszcze psa, by go uspokoić, i mruczy do niego kilka słów, a gdy to czyni, czuje powstający prąd uczucia, tak iż od tej chwili on i pies nie są już sobie obcy i to, co miało być prostym zadaniem do wykonania, zmienia się w najczarniejszą zdradę – tak wielką zdradę, że głos wydobywający się z psiego gardła, w czasie wieszania, przesładuje go jeszcze wiele dni później – skowyt zdziwienia: **dlaczego ty?** Czy to by was nie powstrzymało, ta myśl?

Kiedy to mówił, wróciła wysoka kobieta. Teraz klęczy w przeciwległym kącie pokoju, układając prześcieradła i zwijając materac. Finka tymczasem zdecydowanie ożyła. Jej oczy rzucają skry, nie może się doczekać, by zacząć mówić. On mimo to brnie dalej.

– A skoro byle pies może wywołać to uczucie, to co

dopiero mężczyźni i kobiety, których się zamierzacie pozbyć? Wydaje mi się, że choćby nie wiadomo jak naukowo podejść do wyboru tych ludzi, nie macie środka, aby ich zabić bez narażenia własnej duszy na niebezpieczeństwo. Na przykład: kto był wyznaczony na pierwszą ofiarę Pawła? Kogo mu kazano zabić?

– Czemu pan pyta? Dlaczego chce pan wiedzieć?

– Bo zamierzam pójść do domu tej osoby, paść przed jego drzwiami i dziękować Bogu, że Paweł tam nie dotarł.

– Więc jest pan rad, że Paweł nie żyje?

– Paweł żyje. Mógłby nie żyć, ale niezwykle szczęśliwym trafem uszedł z życiem.

Po raz pierwszy odzywa się ta druga kobieta.

– Proszę usiąść tutaj, Fiodorze Michajłowiczu – mówi, wskazując stolik przy oknie, przy którym stoją dwa krzesła.

– Moja siostra – wyjaśnia Finka.

– Siostry, ale nie z tych samych rodziców – mówi ta druga. Ich śmiech jest swobodny, poufały.

Akcent ma petersburski, głos głęboki. Szkolony głos. Odnosi wrażenie, że już gdzieś ją widział. Śpiewaczka? Z jego czasów operowych? Na to jest jednak stanowczo za młoda.

On siada na jednym z krzeseł, ona zajmuje drugie, naprzeciwko niego. Stolik jest wąski. Jej stopa dotyka jego stopy. On cofa swoją nogę.

Choć ona siedzi tyłem do okna, on teraz wie, czemu jest tak mocno upudrowana. Skórę ma poznaczoną śladami

po ospie. Co za szkoda, myśli on, choć nie jest piękną, ale zawsze przystojną z niej stworzenie.

Jej stopa znowu dotyka jego stopy, stykają się wewnętrzną stroną.

Ogarnia go niepokojące podniecenie. Jak w szachach, myśli, dwoje graczy przedzielonych małym stolikiem wykonuje przemyślane ruchy. I właśnie ta rozmyślność go podnieca – noga uniesiona jak pionek i postawiona przy jego nodze. A trzecia osoba, kibic, który nie widzi, ofiara patrząca w inną stronę: czy ona też odgrywa swoją rolę? Rozmyślność i krzykliwość, krzykliwość posiadająca własny dreszczyk. Skąd one wiedzą tak wiele o nim, o jego pragnieniach?

Śpiewaczka, kontralt: królowa kontraltu.

– Znała pani mego syna – mówi.

– Był jednym z naszych zwolenników, rodzajem maskotki.

On zna ten termin i to go boli. Maskotka: osoba podlizująca się kręgom studenckim, przydatna na posyłki.

– Ale czy był waszym przyjacielem?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Przyjaźń to zniewieścienie. Nie potrzebujemy przyjaźni.

Zniewieścienie: dziwne słowo w ustach kobiety! Już teraz doznaje uczucia, że wie więcej, niż chce wiedzieć. Stopa wciąż spoczywa przy jego stopie, ale teraz jest coś bezwładnego w jej nacisku, bezwładnego i bryłowego, a nawet groźnego. Już nie stopa, lecz but. Paweł nie

bawiłby się w takie gierki. Powraca wizja Pawła, Pawła zbliżającego się ku niemu. Idąca obok dziewczyna, jego panna młoda, jest zaciemniona. Paweł się uśmiecha i z tego uśmiechu bucha rodzaj chwały. **Przyjacielu!**, myśli. Płomienna miłość ściska mu serce. **Czy to – myśli – czy to ma mi ciebie zastąpić?**

– Jeżeli nie potrzebujecie przyjaźni, niech Bóg ma was w swej opiece – szepce.

Wstaje od stołu i odwraca się do kobiet tyłem. Chciałbym móc zobaczyć się w lustrze – myśli. Ale tu nie ma lustra. Gdy siada ponownie, łzy, które mu groziły, już nie zagrażają.

– Co zrobiliście z moim synem? – pyta ochryple.

Kobieta pochyla się nad stołem i przeszywa go błękitnym spojrzeniem. Pod warstwą pudru, w kraterach podbródka dostrzega włoski, które ominęła brzytwa. Brwi też są za gęste nad mostkiem nosa. Kobieta miałaby dość rozumu, żeby kazać je sobie wyrwać. A więc Finka jest też chłopcem, małym tłuściochem? Nagle zaczyna czuć do nich wstręt.

Ona czy on mówi. Niewątpliwie sam Nieczajew. Przebranie staje się nagle przejrzyste. Wraca wspomnienie z całą wyrazistością: w hallu Kongresu Pokoju, w czasie przerwy między dwiema sesjami, Nieczajew samotny w kącie pochłania kanapki, patrzy złowrogo, rzuca wyzwanie wszystkim dorosłym w pokoju: **dobrze, śmieJCie się sobie, śmieJCie się z ucZniaka!** Ma wyraz twarzy chłopca zaskoczonego na sedesie ze spuszczo-

do kolan spodniami, bezbronno, lecz wyzywającego.
Śmiecie się, ale ja się jeszcze na was odegram!

Pamięta uwagę, którą zrobiła księżna Oboleńska, kochanka Mroczkowskiego: „Możliwe, że on jest *enfant terrible* anarchizmu, ale doprawdy, powinien zrobić coś z tymi pryszczami!”.

– Zważywszy na to, co policja zrobiła z pana synem – mówi Nieczajew – dziwię się, że nie jest pan na nich wściekły. Jak mówi Ewangelia, oko za oko, ząb za ząb.

– Nieszczęsny, w Ewangelii nie ma o tym nic! Co ty mówisz o Pawle? I czemu jesteś przebrany w ten śmieszny kostium?

– Nie wierzy pan chyba w tę bajkę o samobójstwie. Isajew się nie zabił... to tylko fikcja puszczona w obieg przez policję. Nie mogą postawić nas przed sądem, więc odwołują się do tych niecnych morderstw. Ale oczywiście pan ma jakieś wątpliwości... bo inaczej czemu byłby pan tutaj?

Cała sztuczna miękkość tego człowieka znikła: teraz mówi własnym głosem. Gdy chodzi tam i z powrotem po pokoju, jego niebieska suknia szeleści. Co jest pod nią, spodnie czy gołe nogi? Jak to jest, kiedy się idzie z nogami gołymi, a mimo to zakrytymi, ocierającymi się jedna o drugą?

– Myśli pan, że nie jesteśmy wszyscy w niebezpieczeństwie? Myśli pan, że chcę skradać się po mieście w przebraniu, po mieście, w którym się urodziłem? Czy pan wie, co to jest być samotną kobietą na

ulicach Petersburga? – Głos mu się unosi, ogarnia go gniew. – Czy pan wie, ile się człowiek musi nasłuchać? Mężczyźni tropią pana, szepcząc niewyobrażalne świństwa, a pan jest wobec nich bezbronny! – Opanowuje się. – A może pan to sobie aż za dobrze wyobraża. Może pan to świetnie zna, co mówię.

Finka trzyma na kolanach miskę kartofli, które obiera. Twarz ma spokojną. Bardziej niż kiedykolwiek wygląda na malutką babcię.

– Robi się zimno – mówi.

Szaleni oboje! – myśli o nich. – Co ja tu robię? Muszę odnaleźć drogę z powrotem do Pawła!

– Proszę powtórzyć z łaski swojej. Proszę powtórzyć, co pan powiedział o moim synu.

– Świetnie, powiem panu o synu. Oficjalny werdykt będzie brzmiał, że się zabił. Jeżeli pan w to wierzy, to jest pan doprawdy naiwny, karygodnie naiwny. Czyż pan sam nie był rewolucjonistą w dawnych czasach, czy może się mylę? Musi pan sobie z pewnością zdawać sprawę, że walka wcale nie ustała. A może pan zawarł oddzielny pokój? Ci z pierwszej linii walki nadal są ścigani, torturowani i zabijani. Oczekiwałem, że pan to wie i napisze o tym. Zwłaszcza że ludzie nigdy nie dowiedzą się z naszej haniebnej rosyjskiej prasy prawdy o pana synu i innych jemu podobnych.

Głos Nieczajewa staje się cichszy, bardziej napięty.

– To, co przydarzyło się pana synowi, może się któregoś dnia przydarzyć mnie albo któremuś z naszych

towarzyszy. Mówi pan, że pan nic o tym nie wie. Więc niech pan idzie na ulice, targowiska i do tawern, w których gromadzą się ludzie, a wtedy pan się przekona, że ci ludzie wiedzą. Jakoś wiedzą! A kiedy przyjdzie dzień sądu, oni nie zapomną, kto dla nich cierpiał i za nich umierał, a kto nie ruszył palcem!

A on myśli: Chrystus w gniewie, oto na kim się wzoruje. Chrystus starotestamentowy, Chrystus wypędzający różgą lichwiarzy ze świątyni. Nawet ubiór ma odpowiedni: nie suknia, lecz szata. Naśladowca, oszust, bluźnierca.

– Niech mi pan nie grozi! – odpowiada. – Jakim prawem przemawia pan w imieniu ludu? Lud nie jest mściwy. Lud nie spędza czasu na knowaniu i spiskowaniu.

– Lud wie, kto jest jego wrogiem, i nie traci łez na opłakiwanie, gdy nastaje jego koniec! A jeśli chodzi o nas, my przynajmniej wiemy, co trzeba robić, i robimy to! Być może pan też kiedyś wiedział, lecz teraz umie pan tylko utyskiwać, kręcić głową i płakać. To słabość. My nie jesteśmy słabi, my nie płaczemy i nie tracimy czasu na mądrzenie się. Są rzeczy, o których można mówić, i takie, o których się nie mówi, tylko po prostu się je robi. My nie mówimy, my nie płaczemy, my nie rozmyślamy bez końca, że z jednej strony to, a z drugiej tamto, my tylko działamy!

– Świetnie! Tylko działacie. Ale skąd otrzymujecie instrukcje? Czy idziecie za głosem ludu, czy też za własnym, nieco zmienionym, abyście nie musieli go rozpoznać?

– Jeszcze jedno chytre pytanie! Nowa strata czasu! Mamy wyżej uszu chytrości. Dni chytrości są policzone. Chytrość jest jedną z rzeczy, których się pozbędziemy. Nadchodzi dzień zwyczajnych ludzi. Ludzie zwyczajni nie są chytry. Ludzie zwyczajni chcą tylko, by to, co trzeba, było zrobione. A gdy zostanie zrobione, to właśnie oni, ludzie zwyczajni, będą decydowali, co będzie czym i czy jeszcze jakakolwiek chytrość będzie dozwolona!

– I czy różne chytre książki i tego rodzaju rzeczy będą dozwolone! – wtrąca się Finka, ożywiona, a nawet podniecona.

A on tymczasem myśli z niesmakiem, czy to możliwe, że Paweł przyjaźnił się z takimi ludźmi, ludźmi, co potrafią wprawiać się w szal obłudy? To miejsce jest jak hiszpański klasztor za czasów Loyoli: dobrze urodzone dziewczęta biczą się, tarzają w ekstazie z pianą na ustach albo poszczą; modlą się całymi godzinami, aby Zbawiciel wziął je w ramiona. Wszyscy oni są ekstremistami, sensualistami łaknącymi ekstazy śmierci – cudzej lub własnej, wszystko jedno. A wśród nich Paweł?

Spada na niego myśl o ostatniej chwili Pawła, o ciele gorąckrwistego młodego człowieka w kwiecie życia uderzającym o ziemię, o pędzie oddechu z płuc, o trzasku kości, o zdziwieniu, nade wszystko zdziwieniu, że koniec jest rzeczywisty, że już nie będzie drugiej szansy. Ścisną pod stołem dłonie w udęce. Ciało uderzające o ziemię: śmierć, miara wszechrzeczy!

– Proszę mi dowieść... – mówi. – Dowieść tego, co pan

mówi o Pawle.

Nieczajew nachyla się niżej.

– Zaprowadzę tam pana – mówi, wymawiając słowa dobitnie. – Zaprowadzę pana na to miejsce i otworzę panu oczy.

Wstaje w milczeniu i potykając się, idzie do drzwi. Znajduje schody i schodzi, ale nie może trafić w zaułek. Puka do pierwszych napotkanych drzwi. Żadnego odzewu. Puka do drugich. Jakaś kobieta w bamboszach i o zmęczonej twarzy otwiera i odstępkuje na bok, aby mógł wejść.

– Nie – mówi do niej. – Ja tylko chcę się dowiedzieć, gdzie jest wyjście. – Kobieta bez słowa zamyka drzwi.

Z końca korytarza dobiega gwar głosów. Drzwi są otwarte. Wchodzi do pokoju tak niskiego, że czuje się w nim jak w klatce. W fotelach siedzą trzej młodzi ludzie, a jeden z nich czyta głośno gazetę. Zapada cisza.

– Szukam wyjścia – mówi.

– *Tout droit!* – mówi, machając ręką, ten, który czytał, i wraca do gazety. Czyta opis starcia studentów z żandarmami przed Wydziałem Filozofii. Podnosi wzrok, widzi, że intruz się nie ruszył. – *Tout droit, tout droit!* – rozkazuje. Jego towarzysze się śmieją.

Nagle z boku zjawia się Finka.

– O raju, w dziwne miejsca wpycha pan swój nos! – zauważa dobrodusznie. Wziąwszy go pod ramię, prowadzi jak ślepcę najpierw dalej w dół schodami, potem nieoświetlonym korytarzem zastawionym kuframi

i pudłami do zaryglowanych drzwi, które otwiera. Są na ulicy. Finka wyciąga do niego rękę. – A więc jesteśmy umówieni.

– Nie. Nic o tym nie wiem.

– Niech pan czeka dziś wieczorem o dziesiątej na Gorochowej przy kanale Fontanka.

– Nie przyjdę. Może pani być pewna.

– Dobrze, więc nie. Ale może zmieni pan zdanie. Czyżby pan nie miał uczuć rodzinnych? Nie zdradzi nas pan, prawda?

Stawia to pytanie w sposób żartobliwy, jakby zaszkodzenie im nie było w jego mocy.

– Bo wie pan, niektórzy mówią, że pan nas zdradzi mimo wszystko – ciągnie Finka. – Mówią, że jest pan zdradziecki z natury. Co pan na to?

Gdyby miał łaskę, to by uderzył dziewczynę. Ale samą dłonią w co uderzyć takie kragłe, otyłe ciało?

– Znajomość własnej natury na nic się nie przydaje, prawda? – ciągnie Finka z namysłem. – To znaczy, człowiek postępuje zgodnie z własną naturą bez względu na to, czy o niej myśli, czy nie. Jaki sens jest wieszać kogoś, skoro postąpił zgodnie z własną naturą? To jakby powiesić wilka za zjedzenie jagnięcia. Wcale to nie zmieni wilczej natury, prawda? Albo powieszenie człowieka, który zdradził Jezusa... to niczego przecież nie zmieniło.

– Nikt go nie wieszał – odpowiada z irytacją. – Powiesił się sam.

– Na jedno wychodzi. W niczym to nie pomogło. To

znaczy, czy go powieszono, czy sam się powiesił.

Coś strasznego zaczyna prześwitywać przez tę paplaninę.

– Kto to Jezus? – pyta cicho.

– Jezus? – Jest zmierzch, oni są jedynymi ludźmi na tej zimnej, pustej bocznej uliczce. Dziewczyna patrzy na niego niedowierzająco. – Pan nie wie, kto to Jezus?

– Gdy pani mówi, że jestem Judaszem, to kto jest Jezusem?

Ona uśmiecha się.

– To się tylko tak mówi. – A potem dodaje, na wpół do siebie – Oni niczego nie rozumieją. – Znowu wyciąga do niego rękę. – O dziesiątej, przy Fontance. Jeśli nikogo tam nie będzie, to znaczy, że coś się stało.

On nie przyjmuje jej ręki, odchodzi ulicą. Za sobą słyszy na wpół wyszeptane słowo. Co to za słowo? **Jewrej? Judasz?** Podejrzewa, że **Jewrej**. Ale skąd ta niechęć przed dotknięciem jej? Czy stąd, że może знаła Pawła, znała za dobrze – cielesnie? Czy oni uważają swoje kobiety za wspólne, Nieczajewa i pozostałych? Trudno sobie wyobrazić tę kobietę jako wspólną. Bardziej prawdopodobne, że to ona uważa mężczyzn za wspólnych. Nawet Pawła. Odpycha tę myśl, potem jej ulega. Widzi tę Finkę nagą, na tronie ze szkarłatnych poduszek, z rozkraczonymi grubymi nogami, szeroko rozłożonymi ramionami, żeby ukazać piersi i pękaty brzuch, bezwłosą, zaledwie dojrzałą. A Paweł przed nią na kolanach, gotowy do pokrycia i skonsumowania.

Otrząsa się z tej wizji. Zawistne wyobrażenia! Ojciec jak stary siwy szczur zakradający się później na scenę miłosną, aby zobaczyć, co pozostało dla niego. Siedzi w ciemności na trupie, nastawia uszu, gryzie, nasłuchuje, gryzie. Czy dlatego właśnie policyjna zgraja ściga swobodną młodzież Petersburga, z Maksimowem, dobrym ojczulkiem, wielkim szczurem, na czele?

Przypomina sobie zachowanie Pawła po swoim ślubie z Anią. Paweł miał wówczas dziewiętnaście lat, mimo to uporczywie nie chciał się pogodzić z faktem, że ona, Anna Grigoriewna, będzie odtąd dzieliła z jego ojcem łóżko. Przez cały ten rok, gdy mieszkali razem, Paweł podtrzymywał fikcję, że Ania jest po prostu towarzyszką ojca, tak samo jak jakaś staruszka może mieć towarzysza: kogoś do prowadzenia domu, robienia zakupów, prania. Kiedy wieczorem – na przykład po wieczornej grze w karty – oznajmiał, że idzie do łóżka, Paweł nie chciał pozwolić. Ani iść z nim: nakłaniał ją na jeszcze jedną partyjkę („Tylko my dwoje!”), a nawet gdy rumieniąc się, usiłowała się wymówić, odmawiał zrozumienia („To nie wieś, nie musisz wstawać o brzasku doić krowy!”).

Czy tak jest zawsze między ojcami i synami: żarty maskujące głęboką rywalizację? I czy właśnie to nie jest prawdziwym powodem jego poczucia straty: że znikła podstawa jego życia, współzawodnictwo z synem, i jego dni stały się puste? Nie Zemsta Ludu, lecz Zemsta Synów: czy to nie ona właśnie leży u podłoża rewolucji – ojcowie zazdroszczący synom ich kochanek, synowie knujący

ograbienie ojcowskich kas? Potrząsa głową ze znużeniem.

10. WIEŻA ODLEWNICZA

W domu natyka się w korytarzu na ogromnie podnieconą Matrioszę.

– Policja tu była, Fiodorze Michajłowiczu, szukają mordercy!

Czas staje w miejscu, a on martwieje.

– A czemu mieliby przychodzić tutaj? – Słowa te wydobywają się z jego krtani, lecz on słyszy je jakby skądś z daleka, cienkie słowa kogoś innego.

– Szukają wszędzie, w całym budynku!

Od Anny Siergiejewny dowiadyuje się więcej.

– Pytają ludzi o żebraka, który nawiedzał te okolice. Ja chyba go widziałam, ale nie pamiętam. Mówią, że chronił się w tym budynku.

Teraz mógłby wyjaśnić, że Iwanow spędził noc w jej mieszkaniu, ale się wstrzymuje.

– O co go oskarżają? – pyta.

– Policja milczy na ten temat. Matriosza mówi, że kogoś zabił, ale to czcza plotka.

– To niemożliwe. Znam tego człowieka, długo z nim rozmawiałem. On nie jest mordercą.

Lecz jak się okazuje, nie jest to czcza plotka. Rzeczywiście popełniono zbrodnię. Ciało ofiary, samego żebraka, znaleziono w zaułku po drugiej stronie ulicy. Tego dowiadyuje się od stróża i jest wstrząśnięty. Iwanow: jeden z tych, co jak zły grosz pojawiają się przy łożu

śmierci albo nad grobem, a nie umierają pierwsi.

– Czy na pewno nie umarł z zimna? – pyta. – Dlaczego uważają, że to było morderstwo?

– Och, bo było – odpowiada starzec z wyrazem człowieka wtajemniczonego. – Ale dziwi mnie, że zadają sobie tyle trudu z powodu kogoś, kto był nikim.

Przy kolacji Matriona nie chce mówić o niczym innym jak tylko o morderstwie, jest bardzo zdenerwowana: oczy jej błyszczą, słowa się plączą. Jeśli zaś chodzi o niego, ma własną historię do opowiedzenia, ale ta musi poczekać, aż matka uspokoi córkę i położy ją spać.

Gdy myśli, że dziewczynka zasnęła, zaczyna opowiadać Annie Siergiejewnie o swoim spotkaniu z Nieczajewem. Mówi cicho, świadom, że szept starszych – zdradzieckie, fascynujące – potrafią przenikać przez najgłębszy sen dziecka.

Nazwisko Nieczajew nie jest Annie obce, ale wydaje się, że ma ona nikłe pojęcie o tym, kim jest ten człowiek. Niemniej radzi mu bez wahania.

– Musisz pójść na umówione spotkanie. Nie zaznasz spokoju, póki się nie dowiesz, co się naprawdę stało.

– Ależ ja wiem, co się stało. Niczego więcej nie muszę wiedzieć.

Ona wykonuje gest zniecierpliwienia. Nie rozumie jego braku entuzjazmu: widzi w nim tylko apatię. Jak jej to wytłumaczyć? Chcąc to uczynić, musiałby mówić głosem spod wody, czystym, chłopięcym, dźwięcznym głosem błagającym z głębi mroku. „Śpiewaj mi, kochany ojcze!” –

musiałby zawołać głos, a ona musiałaby usłyszeć. Gdzieś w głębi siebie musiałby znaleźć nie tylko ten głos, ale i słowa, wierne słowa. Być może one czekają na niego w jednej ze starych ballad. Lecz tej ballady nie ma w żadnej książce: jest gdzieś w piersi ludu rosyjskiego, gdzie on nie może dosięgnąć. Albo może w piersi dziecka.

– Paweł nie jest mściwy – mówi w końcu niezdecydowanie. – Ktokolwiek go zabił, to już przeszłość, więź została przecięta, on się uwolnił od tej osoby. Chcę się od niego uczyć. Nie chcę się truć mściwością.

Mógłby powiedzieć więcej, ale nie w tej chwili: że Paweł nie jest zainteresowany opowiadaniem o tym, jak spadł, że Paweł jest przede wszystkim samotny i że w swej samotności potrzebuje, aby mu śpiewać, aby go pocieszać, zapewniać, że nie będzie opuszczony na dnie wód.

Milczą oboje, on i ona. Pierwszy raz od niedzieli są sami. Ona wygląda na zmęczoną. Ramiona ma opuszczone, dłonie bezwładne, na szyi rysują się zmarszczki. On znowu zdaje sobie sprawę, że jest starsza od jego żony: nie o pokolenie, ale prawie. On wolałby tego nie dostrzegać. Zbyt świeżo widział się z Nieczajewem, młodzieńczym, demonicznym w swej energii, tak jak młodzieńcze są wszystkie pomniejsze demony.

Impulsywnie bierze ją za rękę. Ona spogląda na niego ze zdziwieniem.

– Wcale cię nie namawiam do zemsty – mówi wolno.

– Masz, oczywiście, rację co do Pawła: nie miał mściwej natury. Lecz miał poczucie tego, co słuszne

i sprawiedliwe. Staw się na spotkanie. Dowiedz się, czego możesz. W przeciwnym razie nigdy nie zaznasz spokoju.

Wciąż trzyma jej rękę. Czuje nacisk odpowiedni do jego nacisku, który może nazwać jedynie życzliwym.

Sprawiedliwość – zastanawia się. – Wielkie słowo. Czy rzeczywiście można wytyczyć granicę między sprawiedliwością a mściwością? – A kiedy ona zdaje się nie rozumieć – Czy to nie oryginalne ze strony Nieczajewa, że nazywa siebie Zemstą Ludu, a nie Sprawiedliwością Ludu? Przynajmniej jest uczciwy.

– Czyżby? Czy to właśnie ludzie chcą usłyszeć: że pragną zemsty, a nie sprawiedliwości? Nie sądzę. Czemu ludzie mieliby brać Nieczajewa poważnie? Czemu ktokolwiek miałby go brać poważnie... tego studenta, zapalczego młodego człowieka? W końcu jaką on ma władzę?

– Nie władzę życia, ale z całą pewnością władzę śmierci. Dziecko potrafi zabić równie dobrze jak dorosły, jeżeli ma w sobie tego ducha. Może i na tym polega oryginalność Nieczajewa: że mówi to, czego nie śmiemy sobie nawet wyobrazić o naszych dzieciach. Ze użycza głosu czemuś niememu i brutalnemu, co ogarnia młodą Rosję. My zatykamy przed tym nasze uszy, a wtedy on przychodzi z siekierą i zmusza nas do słuchania.

Ręka, która do tej pory była żywa, nagle zamarła. Uczuciowa, myśli, puszczając jej dłoń. Tak samo jak jej córka.

I pewnie tak samo łatwo ją urazić.

Chce ją objąć, wziąć w ramiona i naprawić, co zostało zepsute. Powinien przerwać rozmowę, która ją tylko zraza i oddala. Ale nie przerywa.

– W końcu nie da się zdobyć ludzi dla swej sprawy, powołując się na ducha, który jest im obcy lub nic dla nich nie znaczy. Nieczajew ma zwolenników wśród młodych, bo ich duch i jego są zgodne. Nieczajew, oczywiście, nie tak to tłumaczy. Nazywa siebie materialistą. Ale to tylko modny żargon. Tak naprawdę ma w sobie to, co Grecy zważyli demonem. Demon przez niego przemawia i jest źródłem jego energii.

Znowu myśli: teraz muszę przestać. Lecz suche, śmiertelne słowa wciąż napływają. Wie, że stracił z nią kontakt.

– Ten sam demon musiał opanować Pawła, bo inaczej jakże by usłuchał jego wezwania? Ładnie myśleć, że Paweł nie był mściwy. Ładnie myśleć dobrze o zmarłych. Ale to mu tylko schlebia. Nie bądźmy sentymentalni... w zwykłym życiu był tak samo mściwy jak wszyscy młodzi ludzie.

Anna Siergiejewna wstaje. On odnosi wrażenie, że zna słowa, które zaraz padną, i choćby tylko dla formy jest gotów się bronić. **Nazywasz siebie ojcem Pawła, ale nie wierzę, że go kochasz...** tego się spodziewa. Ale się myli.

– Nie wiem nic o tym anarchiście Nieczajewie prócz tego, co mówisz – twierdzi Anna – ale słuchając cię, nie mogę zdecydować, kto z was, ty czy Nieczajew, bardziej pragnie, aby Paweł należał do partii zemsty. Ja jestem

nikim dla Pawła, a już na pewno nie jego matką, lecz jestem mu to winna, jemu i jego pamięci, by zaprotestować. Ty i Nieczajew powinniście toczyć między sobą boje, nie wciągając w nie Pawła.

– Nieczajew nie jest anarchista. To błąd, który wszyscy ciągle robią. On jest kimś innym.

– Anarchistą, nihilistą, kimkolwiek jest, nie chcę więcej o nim słuchać! Nie chcę w moim domu niesnasek i nienawiści! Matriona jest już i tak podniecona. Nie chcę, żeby ją jeszcze bardziej zatruwano.

– Ani anarchista, ani nihilista – ciągnie z uporem. – Opatrując go etykietkami, tracisz to, co w nim jedyne w swoim rodzaju. On nie działa w imię idei. On działa, gdy czuje, że coś w nim samym pobudza go do działania. Jest sensualistą. Jest ekstremistą zmysłów. Pragnie żyć w ciele u krańców zmysłów, u krańców cielesnej świadomości. Oto dlaczego może powiedzieć **wszystko jest dozwolone** ... albo dlaczego mógłby tak powiedzieć, gdyby nie miał tak obojętnego stosunku do tłumaczenia się!

Urywa. Znowu wydaje mu się, że wie, co ona powie, lub raczej wie, co ona chce powiedzieć, chociaż ona sama nawet nie wie: **a ty? Ty jesteś inny?**

– Dlaczego sądzisz, że on wybrał siekierę? – pyta ją.

– Jeżeli myślisz o siekierze, jeżeli myślisz o tym, co ona oznacza... – Wyrzuca w górę ręce w geście rozpacz. Nie potrafi przyzwoicie formułować słów. Siekiera, narzędzie zemsty ludu, broń ludu, prymitywna, ciężka, za którą stoi cały ciężar ciała, ciężar ciała i ciężar nienawiści

całego życia, a także oburzenia nagromadzonego w tym ciele, broń używana z czarną radością.

Zapada milczenie.

– Istnieją ludzie, u których doznania nie powstają w sposób naturalny – mówi w końcu już trochę spokojniej.

– Właśnie to uderzyło mnie od początku u Siergieja Nieczajewa... że na przykład nie może mieć naturalnego związku z kobietą. Zastanawiałem się, czy to nie leży u podłoża jego wielorakich uraz. Ale może tak będzie w przyszłości: doznania już nie będą powstawały w naturalny sposób. Dawne środki się zużyją. Mam na myśli miłość. Miłość się zużyje. Trzeba więc będzie wynaleźć inne środki.

– Dość tego – odzywa się ona. – Nie chcę już rozmawiać. Jest po dziewiątej. Jak masz iść...

On wstaje, kłania się, wychodzi.

O dziesiątej jest na umówionym miejscu nad Fontanką. Silny wiatr niesie płachty deszczu i wzbija czarne wody kanału. Latarnie wzdłuż odkrytego nabrzeża pobrzękują zgodnie. Z dachów i rynsztoków dochodzi bulgotanie wody.

Chroni się w wejściu domu, coraz bardziej zirytowany. Jeżeli się zaziębie, myśli, będzie to ostatnia kropla. Łatwo się zaziębia. Paweł też, od dzieciństwa. Czy Paweł się zaziębiał, kiedy mieszkał u niej? Czy wówczas pielęgnowała go sama, czy też pozostawiała to Matronie? Wyobraża sobie, jak Matrona wchodzi do pokoju ze szklanką parującej herbaty z cytryną, krocząc ostrożnie,

żeby jej nie wylać. Wyobraża sobie też Pawła z ciemnymi włosami na białej poduszce, jak się uśmiecha. „Dziękuję ci, mała siostrzyczko” – mówi Paweł ochryłym chłopięcym głosem. Chłopięce życie, w całej swej pospolitości! Pewien, że nikt go nie słyszy, opuszcza głowę i jęczy jak chory wół.

Nagle ona staje przed nim, przypatrując mu się ciekawie – nie Matriona, ale Finka.

– Źle się pan czuje, Fiodorze Michajłowiczu?

Zawstydzony kręci głową, że nie.

– Więc chodźmy – mówi ona.

Prowadzi go, tak jak przypuszczał, na zachód wzdłuż kanału ku nabrzeżu Stolarskiemu i starej wieży odlewniczej. Przekrzykując wiatr, paple przyjaźnie.

– Wie pan, Fiodorze Michajłowiczu – mówi – wcale się pan nie popisał, mówiąc o ludziach tak jak dziś po południu. Byliśmy panem rozczarowani... zważywszy na pana przeszłość. W końcu zesłano pana na Syberię za przekonania. Szanujemy pana za to. Nawet Paweł Aleksandrowicz pana szanował. Nie powinien się pan teraz wycofywać.

– Nawet Paweł?

– Tak, nawet Paweł. Najpierw pan cierpiał, a po panu, w następnym pokoleniu, Paweł też się poświęcił. Ma pan pełne prawo chodzić z dumnie podniesioną głową.

Wydaje się, że nic jej nie przeszkadza to paplanie przy tak szybkim marszu. On ciężko dyszy i kluje go w boku.

– Wolniej – sapie. A później – A wy? Co z wami?

– Co z nami?

– Co z wami? Czy będziecie mogli chodzić z podniesionymi głowami?

Dziewczyna zatrzymuje się pod szaleńczo rozhuśtaną lampą. Przez jej twarz przesuwają się blaski i cienie. Mylił się, widząc w niej dziecko, które się bawi w przebieranki. Mimo bezkształtnej figury widać w niej teraz kobiece opanowanie.

– Nie zamierzam tu być długo, Fiodorze Michajłowiczu – mówi. – Ani Siergiej Giennadiewicz. Ani cała reszta nas. To, co się stało z Pawłem, może się lada chwila stać z każdym z nas. Więc niech pan nie robi sobie żartów. Jeśli pan sobie robi z nas żarty, robi je pan także z Pawła.

Już po raz drugi tego dnia ma ochotę ją uderzyć. I najwyraźniej ona wyczuwa jego gniew: wysuwa brodę, jakby prowokowała, żeby ją uderzył. Czemu on jest taki wybuchowy? Co go nachodzi? Czyżby się zmieniał w jednego z tych staruszków, którzy nie potrafią nad sobą zapanować? Lub jeszcze gorzej: czy teraz, gdy stracił następcę, stał się nie tylko starcem, lecz duchem, gniewnym, porzuconym duchem? Wieża na nabrzeżu Stolarsy stoi tu od początku istnienia Petersburga, ale od dawna już nie jest używana. Choć wisi na niej tabliczka zakazująca wstępu, stała się celem wypraw co śmielszych chłopców z okolicy, którzy wspinają się po żelaznych kłamrach w murze do komory pieca ze trzydzieści metrów nad poziomem ziemi, a nawet wyżej, na szczyt ceglanego

komina.

Wielkie, gwoździami nabijane drzwi są zaryglowane i zamknięte na kłódkę, ale małe drzwi od tyłu zostały dawno wyłamane przez wandalów. W cieniu tych drzwi czeka na nich jakiś człowiek. Mruczy coś na powitanie Finki.

Wewnątrz, w powietrzu unosi się woń nieczystości i butwiejących murów. Z mroku dochodzi cichy potok przekleństw. Mężczyzna pociera zapałkę i zapala lampę. Niemal tuż pod ich stopami leży na posłaniu z worków trzech skulonych mężczyzn. Odwraca głowę.

Człowiekiem z lampą jest Nieczajew w długim czarnym płaszczu oficera grenadierów. Twarz ma nienaturalnie bladą. Czyżby zapomniał zmyć puder?

– Mam lęk wysokości, więc zaczekam tutaj – mówi Finka. – On panu pokaże to miejsce.

Spiralne schody wiją się przy wewnętrznej ścianie wieży. Trzymając lampę wysoko, Nieczajew zaczyna się wspinać. W pustej, zamkniętej przestrzeni ich kroki dźwięczą rozgłośnie.

– Poprowadzili tędy pańskiego pasierba – mówi Nieczajew. – Prawdopodobnie przedtem go upili, żeby ułatwić sobie zadanie.

Pawła. Tutaj.

Idą wciąż wyżej i wyżej. Studnię wieży pod nimi pochłania ciemność. Liczy, ile upłynęło dni od śmierci Pawła, dochodzi do dwudziestu, ztraca rachubę, zaczyna od początku i znów ztraca rachubę. Czy to możliwe, że

tyle to a tyle dni temu Paweł się piał po tych oto schodach? Dlaczego nie może ich policzyć? Tych stopni, dni – muszą mieć ze sobą coś wspólnego. Z każdym stopniem ubywa jednego dnia z Pawłowej sumy. Postępujące jednocześnie doliczanie i odliczanie – czy to właśnie sprawia, że się myli?

Dochodzą na sam szczyt schodów i wydostają się na rozległą stalową platformę. Jego przewodnik zatacza latarnią krąg.

– Tędy – mówi. Na platformie widać jakąś zardzewiałą maszynę.

Wychodzą wysoko nad keję, na galerię po zewnętrznej stronie wieży, zabezpieczoną na wysokość pasa barierką.

Z jednej strony wieży jest zamocowany w murze dźwig łańcuchowy na wielokrążku.

Od razu zaczyna targać nimi wiatr. On zdejmuje kapelusz i chwyta się barierki, starając się nie patrzeć w dół. Metafora, mówi sobie, i to wszystko – jeszcze jedno słowo na utratę świadomości, na niebyt, na nieobecność. Nic nowego. Epileptyk zna to wszystko, zbliżenie się do krawędzi, spojrzenie w dół, przechył duszy, myśl powtarzającą się szaleńczo jak dźwięk dzwonu w głowie: **czas osiągnie kres, śmierci nie będzie.**

Ściska mocniej barierkę, potrząsa głową, aby odegnać oszołomienie. Metafory – co za nonsens! Jest śmierć, tylko śmierć. Nie powinienem się zgadzać tutaj przyjść. Teraz przez resztę życia będę to miał przed oczyma jak zjawę: dachy Sankt Petersburga błyszczące w deszczu, rząd

malutkich latarenek wzdłuż nabrzeża.

Przez zaciśnięte zęby powtarza sobie słowa: **nie powinienem był przychodzić**. Ale to nie zaczyna słabnąć, tak jak w przypadku Iwanowa. **Nie powinienem tu być, zatem powinienem tu być. Nie zobaczę nic innego, zatem zobaczę wszystko**. Co to za choroba, co za choroba rozumowania?

Choć jego przewodnik zostawił latarnię wewnątrz wieży, on żywo odczuwa obecność tego młodzieńczego ciała obok siebie, ciała niewątpliwie krzepkiego, z gatunku twardych i niezmordowanych. Każdej chwili mógłby go chwycić wpół i strącić w próżnię. Ale kto kogo?

Powoli odwraca się twarzą do młodego człowieka.

– Jeżeli to rzeczywiście prawda, że przyprowadzono tutaj Pawła, aby go zabić – mówi – przebaczę panu, że mnie pan tu przywiódł. Lecz jeśli to jakaś monstrualna sztuczka, jeśli to pan sam go popchnął, wówczas ostrzegam, nigdy to panu nie zostanie wybaczone.

Dzieli ich niespełna trzydzieści centymetrów. Księżyc jest za chmurami, deszcz zacina, on jednak jest przekonany, że Nieczajew nie wzdraga się, słysząc jego słowa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jego oponent już rozegrał tę grę od początku do końca, z wszystkimi wariantami: nic nie jest w stanie go zaskoczyć. W przeciwnym razie to diabeł, który lekceważy przekleństwa jak wodę.

– Powinien pan się wstydzić tak mówić – odpowiada Nieczajew. – Paweł Isajew był naszym towarzyszem.

Byliśmy mu rodziną, gdy nie miał rodziny. Pan wyjechał za granicę i zostawił go. Stracił pan z nim kontakt, stał się pan dla niego obcy. Teraz zjawia się pan nie wiadomo skąd i rzuca szalone oskarżenia przeciwko jedynym prawdziwym krewnym, jakich miał na świecie. – Otula się płaszczem ciaśniej wokół szyi. – Wie pan, kogo mi pan przypomina? Dalekiego krewnego, który pojawia się z torbą przy grobie, ni stąd, ni zowąd żądając spadku po kimś, kogo nigdy nie widział na oczy. Jest pan w czwartym, piątym stopniu pokrewieństwa z Pawłem Aleksandrowiczem, nie jego ojcem, a nawet nie ojczymem.

Jest to bolesny cios. Usiłuje przepchać się obok Nieczajewa, lecz ten jego antagonistą blokuje drzwi.

– Niech pan nie zamyka uszu na to, co mówię, Fiodorze Michajłowiczu! Pan utracił Isajewa, a myśmy go ocalili. Jak może pan sądzić, że spowodowaliśmy jego śmierć?

– Przysięgnij na swoją duszę nieśmiertelną!

Już w trakcie wypowiedzania tych słów słyszy ich melodramatyczny wydźwięk. W rzeczywistości cała ta scena – dwóch mężczyzn na oświetlonej księżycowym blaskiem galerijce szamocze się z żywiołami, przekrzykuje wycie wiatru, oskarża się wzajem – ta scena jest fałszywa, melodramatyczna. Ale gdzie słuchać słów prawdziwych, słów, które wywołałyby powolny uśmiech Pawła, kiwnięciem głowy wyrażoną aprobatę?

– Nie przysięgnę na to, w co nie wierzę – mówi

Nieczajew sztywno. – Ale rozsądek powinien pana przekonać, że mówię prawdę.

– A co z Iwanowem? Czy rozsądek też musi mi powiedzieć, że nie jesteś winien śmierci Iwanowa?

– Kto to jest Iwanow?

– Iwanow to nazwisko, jakim się posługiwał pewien nieszczęśnik, którego zadaniem było obserwować dom, gdzie mieszkam. Gdzie mieszkał Paweł. Gdzie mnie odwiedziła twoja przyjaciółka.

– Ach, ten szpicel! Ten, z którym pan się zaprzyjaźnił! Co się z nim stało?

– Wczoraj znaleziono go martwego.

– I co z tego? My tracimy jednego i oni tracą jednego.

– Oni tracą jednego? Stawiasz znak równości pomiędzy Pawłem a Iwanowem? To tak wyglądają wasze rachunki?

Nieczajew potrząsa głową.

– Zostawmy sprawy osobiste, to tylko wprowadza zamęt. Kolaboranci mają wielu wrogów. Lud ich nienawidzi. Śmierć Iwanowa wcale nie jest dla mnie zaskoczeniem.

– Ja też nie byłem przyjacielem Iwanowa, nie lubię pracy, którą wykonywał. Ale to jeszcze nie powód, żeby go mordować! A co do ludu, co za nonsens! Lud tego nie zrobił. Lud nie knuje morderstw. Nie zaciera też śladów.

– Lud wie, kto jest jego wrogiem, i nie marnuje łez na opłakiwanie wrogów!

– Iwanow nie był wrogiem ludu, był człowiekiem bez

grosza przy duszy, a za to z rodziną do wykarmienia jak dziesiątki tysięcy innych. Jeżeli nie był kimś z ludu, to czym jest lud?

– Wie pan bardzo dobrze, że sercem nie był z ludem. Nazywanie go człowiekiem z ludu jest czcą gadaniną. Lud składa się z chłopów i robotników. Iwanow nie miał żadnej więzi z ludem. Był człowiekiem absolutnie bez korzeni, w dodatku pijanicą, łatwym łupem, łatwo dającym się zwrócić przeciwko ludowi. Dziwię się, że pan, człowiek mądry, dał się tak łatwo nabrać.

– Mądry czy nie, nie akceptuję tak potwornego rozumowania! Czemu mnie pan przyprowadził tutaj? Mówił mi pan, że przedstawi dowód zamordowania Pawła. Gdzie jest ten dowód? Samo znalezienie się tutaj nie jest dowodem.

– Oczywiście, że nie jest. Ale to jest miejsce, gdzie to morderstwo się zdarzyło, morderstwo, które w rzeczywistości było egzekucją przeprowadzoną przez państwo. Przyprowadziłem pana tutaj, żeby je pan zobaczył na własne oczy. Teraz już je pan widział. Jeżeli nadal pan nie wierzy, tym gorzej dla pana.

On zaś chwyta barierkę, patrzy **tam**, w przepastną ciemność. Pomiedzy **tu i tam** cała wieczność czasu, tyle czasu, że umysł nie jest zdolny tego pojąć. Pomiedzy **tu i tam** Paweł był żywy, bardziej żywy niż kiedykolwiek przedtem. Żyjemy najintensywniej, kiedy padamy... prawda ściskająca serce!

– Jak pan nie chce wierzyć, to nie – mówi Nieczajew.

Wierzyć: jeszcze jedno słowo. Co to znaczy: wierzyć? Wierzę w ciało leżące na bruku w dole. Wierzę w krew i kości. Wziąć roztrzaskane ciało i uściskać: oto co znaczy wierzyć. Wierzyć i kochać – jedno i to samo.

– Wierzę w zmartwychwstanie – mówi.

Słowa te padają bez przemyślenia. Szalony, deklamatorski ton już nie brzmi w jego głosie. Wypowiadając te słowa, słysząc je, odczuwa żywą radość, nie tyle z nich samych, co ze sposobu, w jaki zaistniały, wypowiedziane jego ustami jakby przez kogo innego. Pawła!, myśli.

– Co? – Nieczajew nachyla się bliżej.

– Wierzę w zmartwychwstanie ciała i życie wieczne.

– Nie o to pytałem. – Podmuchy wiatru są tak silne, że młodszy mężczyzna musi krzyczeć. Poły płaszcza łopocą. Zaciska dłonie na barierce, żeby się opanować.

– Niemniej, właśnie to mówię!

Choć jest już po północy, kiedy wraca, Anna Siergiejewna wciąż na niego czeka. Zdziwiona jej troską, a także za nią wdzięczny, opowiada o spotkaniu na nabrzeżu, mówi, co mu powiedział na wieży Nieczajew. Następnie prosi ją, by jeszcze raz powtórzyła, co się działo w noc śmierci Pawła. Czy jest na przykład zupełnie pewna, że Paweł zmarł na tym nabrzeżu?

– Tak mi powiedziano – mówi ona. – Czemu miałabym myśleć inaczej? Paweł wyszedł wieczorem, nie mówiąc, dokąd się wybiera. Nazajutrz przyszła

wiadomość: że powinnam przyjść do szpitala, bo Paweł miał wypadek.

– Ale skąd wiedzieli, że mają ciebie zawiadomić?

– Znaleźli w jego kieszeni papiery.

– I?

– Poszłam do szpitala i zidentyfikowałam Pawła. Potem powiadomiłam pana Majkowa.

– Ale jakie ci dali wyjaśnienie?

– Nie dali mi żadnego wyjaśnienia. To ja im musiałam składać wyjaśnienia. Musiałam pójść na policję i odpowiadać na pytania: kim był, gdzie mieszka jego rodzina, kiedy ostatnio go widziałam, jak długo u nas mieszkał, jakich miał przyjaciół... i tak dalej, i dalej. Wszystko, co mi powiedzieli, to że był już martwy, kiedy go znaleźli, i że to się stało na nabrzeżu Stolarskiej. Taką wiadomość przesłałam panu Majkowowi. Nie wiem, co potem powiedział tobie.

– Użył słów **nieszczęśliwy wypadek**. Niewątpliwie rozmawiał z policją. **Nieszczęśliwy wypadek** to słowa, jakimi oni określają samobójstwo. Przysłał mi telegram, więc nie mógł się rozwodzić.

– Tak właśnie zrozumiałam. To znaczy, zrozumiałam, że to właśnie się stało. Nigdy nie pojmowałam, dlaczego to zrobił, jeżeli zrobił. Nie dał nam żadnego ostrzeżenia. Nic nie wskazywało, że to może się stać.

– Ostatnie pytanie. Co miał na sobie tej nocy? Czy był jakoś dziwnie ubrany?

– Kiedy wychodził?

– Nie, kiedy go widziałaś... później.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Był nakryty prześcieradłem. Nie chcę o tym mówić. Ale twarz miał spokojną. Chcę, żebyś to wiedział.

Dziękuję jej, z całego serca. Tak kończy się ta rozmowa. Ale znalazłszy się w swoim pokoju, nie może zasnąć. Wspomina telegram Majkowa (czemu przyszedł tak późno?). Otworzyła go Ania, i to właśnie Ania przyszła do jego gabinetu i wypowiedziała te słowa, które zabrzmiały w jego głowie jak głuche dzwony, dzwoniące pełnią i nieodwracalnością brzmienia: Fiedia, **Paweł nie żyje!**

Wziął do ręki telegram i sam przeczytał, wpatrując się tępo w żółty arkusik i usiłując nadać francuszczyźnie inny sens niż ten, który zawierała. Nie żyje. Zszedł na zawsze ze świata blasku do więzienia przeszłości. Bezpowrotnie. A pogrzebem już się zajęto. Rachunek załatwiony, rachunek z życiem. Księga zamknięta.

Mesaventure: słowo-szyfr Majkowa. Samobójstwo. A teraz Nieczajew chce mu wmówić, że jest inaczej! Pragnie, z całego serca pragnie nie wierzyć Nieczajewowi, zostać przy oficjalnej wersji. Ale czemu? Bo nie znosi Nieczajewa – zarówno jego samego, jak i jego doktryn? Bo chce ustrzec Pawła, nawet w retrospekcji, przed szponami tamtego? Albo z podlegszych pobudek: aby uniknąć jak się da najdłużej nakazu szukania sprawiedliwości dla syna?

Bowiem dostrzega w sobie inercję, której śmierć Pawła jest tylko pośrednią przyczyną. Starzeje się,

z każdym dniem staje się tym, czym w końcu niewątpliwie będzie: starym człowiekiem w kącie, nie mającym niczego innego do roboty jak przewracać stronice swoich strat.

To ja jestem tym, który umarł i został pochowany, myśli, a Paweł tym, który żyje i zawsze będzie żył. Co teraz usiłuję zrobić, to zrozumieć, jaka to forma, w której powróciłem z grobu.

Przypomina sobie współskazańca na Syberii, wysokiego, zgarbionego, siwego mężczyznę, który zgwałcił swoją dwunastoletnią córkę, a potem ją udusił. Znaleziono go po tym wydarzeniu, jak siedział nad stawem z martwą dziewczynką w ramionach. Poddał się bez oporu, upierając się jedynie przy tym, by samemu zanieść martwe dziecko do domu i ułożyć na stole – czyniąc to wszystko, jak zameldowano, z największą czułością. Unikany przez innych skazańców, z nikim nie rozmawiał. Wieczorem siedział na swoim łóżku z lekkim uśmiechem na twarzy i poruszając ustami, czytał cicho Ewangelię. Można się było spodziewać, że z czasem ostracyzm zelżeje i jego skrucza zostanie zaakceptowana. Ciągle go jednak unikano, nie tyle z powodu zbrodni popełnionej przed dwudziestu laty, ile z powodu tego uśmiechu, w którym było coś tak chytrego i szalonego, że aż mroziło krew w żyłach. To ten sam uśmiech, mówili między sobą więźniowie, z jakim popełnił swą zbrodnię: nic się nie zmieniło w jego sercu.

Czemu zjawia się on właśnie teraz, ten obraz mężczyzny nad brzegiem stawu, z martwym dzieckiem

w ramionach? Dziecko nazbyt kochane stało się przedmiotem takiej intymności, że nie wolno było mu pozwolić żyć. Mordercza czułość, czuła morderczość. Miłość wywrócona na drugą stronę jak rękawiczka dla ukazania brzydkich ściegów. A z czego jest ześciubana miłość? Znowu przywołuje obraz tego mężczyzny, wpatruje się pilnie w jego twarz, koncentruje uwagę nie na oczach zamkniętych w transie, lecz na ustach poruszających się leciutko. Nie gwałt, lecz grabież – czy o to chodzi? Ojcowie pożerający dzieci, dobrze je wychowujący, by je potem zjeść jak delicje. Delikatesy.

Czy to tłumaczy mściwość Nieczajewa: że jego oczy otwarły się na nagość ojców, bandę ojców, ich obnażone apetyty? Jakim człowiekiem musiał być on, starszy Nieczajew, ojciec Giennadij? Kiedy pewnego dnia przyjdzie wiadomość, co niewątpliwie nastąpi, że jego syna już nie ma, czy będzie siedział w kącie i płakał, czy też uśmiechał się skrycie?

Potrząsa głową, jakby opędzając się przed plagą diabłów. Co to jest, co psuje szczerłość jego smutku, co utrzymuje, że jest on niczym innym jak tylko żałobnym przebraniem? Gdzieś wewnątrz niego prawda zatraciła drogę. Jakby w labiryncie jego mózgu, ale też i w labiryncie ciała – żył, kości, jelit, organów wewnętrznych – błąkało się małe dziecko, szukając światła, szukając wyjścia. Jak zdoła znaleźć to dziecko w sobie samym, użyć mu głosu do wyśpiewania jego smutnej pieśni?

Granie na kości. Przypomina sobie starą bajkę o młodym chłopcu, którego zabito, poćwiartowano, a członki rozrzucono, i jego piszczel, gdy wieje wiatr, lamentuje i wygrywa imiona morderców. Jedna po drugiej powracają w pamięci opowieści, które słyszał od babci, lecz nie pojmował ich sensu, jednakże nieświadomie zachował jak kości na przyszłość. Wielka kostnica opowieści z czasów przedhistorycznych, wzniesiona i otoczona opieką przez ludzi. Niech Paweł odnajdzie mój piszczel i zagra mi na nim stamtąd! **Ojcze, czemu mnie zostawiłeś w ciemnym lesie? Ojcze, kiedy przyjdiesz mnie ocalić?**

Świeca przed ikoną zmieniła się w kałużę wosku. Kwiaty opadły. Zrobiwszy ołtarzyk, dziewczynka zapomniała o nim lub przestała o niego dbać. Czy odgaduje, że Paweł przestał do niego mówić, że i on zagubił drogę, że jedynymi głosami, które teraz słyszy, są głosy diabelskie?

Wydrapuje z wosku knot, ustawia prosto, zapala, klęka. Oczy Najświętszej Panny patrzą na Jej Dziecię, które spogląda na niego z obrazka z uniesionym karcąco paluszkiem.

11. SPACER

W ciągu tygodnia, który upłynął od ich ostatniego intymnego zbliżenia, wyrosła pomiędzy Anną Siergiejewną a nim bariera kępującej sztywności. Zachowanie Anny wobec niego stało się tak nienaturalne, iż jest pewien, że dziecko, które cały czas słucha i obserwuje, musi wywnioskować, że matka chce, aby się wyprowadził.

Ze względu na kogo zachowują te pozory dystansu? Nie na siebie samych, oczywiście. Może to być jedynie ze względu na dzieci, dwoje dzieci, to obecne i to nieobecne.

On jednak pragnie, by ją znowu wziąć w ramiona. Nie wierzy też, że jest jej obojętny. Będąc sam, czuje się jak pies ścigający własny ogon coraz ciasniejszymi kółkami. Z nią w ocalającym mroku dostrzega znak, że jego członki się rozluźnią, a duch uwolni, duch, który teraz wydaje się przykrepowany do ciała przy barkach, biodrach i kolanach.

U sedna tej tęsknoty tkwi pragnienie, które pierwszej nocy nie dało w pełni znać o sobie, koncentrujące się na jej zapachu. Jakby oboje byli zwierzętami, jego pociąga coś, co wychwytuje węchem w powietrzu wokół niej: woń jesieni, a orzechów włoskich w szczególności. Zaczyna rozumieć, jak żyją zwierzęta, a także małe dzieci, które pociągają bądź odpychają mgiełki, aury, atmosfery. Widzi siebie rozciągniętego na niej jak lew, grzebiącego nosem we włosach na jej szyi, wtykającego jej nos pod pachę,

pocierającego twarzą jej krocze.

W drzwiach nie ma zamka. Nie można wykluczyć, że dziecko wejdzie do pokoju w takiej chwili jak ta i zobaczy go opanowanego – traktuje to słowo z niesmakiem, lecz jest to jedyne trafne słowo – chucią. Poza tym bardzo wiele dzieci jest somnambulikami: Matriosza mogłaby wstać w nocy i wejść do jego pokoju, nawet się nie budząc. Czy one są przekazywane z matki na córkę, te intymne zapachy? Czy kochającemu matkę człowiekowi jest pisane również tęsknić za córką? Błędne myśli, błędne pragnienia! Będą musiały zostać z nim pogrzebane, ukryte przed wszystkimi, prócz jednej osoby. Bo Paweł jest teraz z nim i Paweł nigdy nie śpi. On może się tylko modlić, by jego słabość, która kiedyś oburzyłaby Pawła, teraz wywołała uśmiech na ustach pasierba, uśmiech rozbawienia i pobłażania.

Może Nieczajew też, kiedy już przekroczy ciemną rzekę w śmierć, przestanie być takim wilkiem i nauczy się znów uśmiechać.

Czeka więc następnego wieczoru na Annę Siergiejewną przed sklepem Jakowlewa. Podchodzi do niej i delektuje się jej zdziwieniem.

– Przejdziemy się? – proponuje.

Ona otula ciaśniej ciemnym szalem szyję.

– Nie wiem. Matriosza na mnie czeka.

Jednak spacerują. Wiatr ustał, powietrze jest rześkie i chłodne. Na ulicach panuje przyjemna krzątanina. Nikt nie zwraca na nich uwagi. Wyglądają jak małżeństwo.

Ona niesie koszyk, który on od niej zabiera. Lubi sposób, w jaki ona chodzi, długimi krokami, z rękami założonymi poniżej piersi.

– Wkrótce wyjadę – mówi do niej.

Ona nie odpowiada.

Między nimi leży delikatna kwestia jego żony. Wspominając o swoim wyjeździe, czuje się jak szachista, który poświęca pionka, co musi prowadzić do głębszych komplikacji. Czy sprawy między mężczyznami i kobietami zawsze są takie, że jedno spiskuje, a drugie ulega spiskowi? Czy spiskowanie stanowi element rozkoszy: stać się obiektem czyjejś intrygi, dać się zapędzić w róg i skapitulować pod delikatnym naciskiem? Czy idąc obok niego, ona też na swój sposób spiskuje przeciwko niemu?

– Czekam tylko na zakończenie dochodzenia. Nie muszę nawet zostawać do czasu wydania orzeczenia. Chcę tylko papierów. Reszta jest nieistotna.

– I wtedy wrócisz do Niemiec?

– Tak.

Doszli do nabrzeża. Przechodząc przez ulicę, bierze ją pod rękę. Ramię przy ramieniu opierają się o barierkę.

– Nie wiem, czy mam nienawidzić to miasto za to, co zrobiło Pawłowi – mówi – czy czuć się jeszcze ściślej z nim związany. Bo jest teraz domem Pawła. On go nigdy nie opuści, nigdy nie będzie podróżował tak jak pragnął.

– Co za nonsens, Fiodorze Michajłowiczu – odpowiada mu z ukośnym uśmiechem. – Paweł jest z tobą. Ty jesteś jego domem. On jest w twoim sercu i podróżuje

z tobą, ilekroć gdzieś jedziesz. Każdy to może stwierdzić.

– I dotyka lekko jego piersi dłonią w rękawiczce.

Serce w nim skacze, jakby koniuszkiem palca dotknęła samego organu. Czyżby to była kokieteria, czy też gest płynący z serca? Wzięcie jej w ramiona byłoby najnaturalniejszą w świecie rzeczą. Spojrzeniem pożera jej usta, na których pozostaje jeszcze resztką uśmiechu. A ona się przed tym spojrzeniem nie wzdraga. Niemłoda kobieta. Nie dziecko. Odpowiada mu swoim spojrzeniem nad ciałem Pawła, oboje rzucają wzajem wyznania. Błysk myśli: **gdyby tylko go tu nie było!** I zaraz myśl znika za rogiem.

Od ulicznego sprzedawcy kupują pierożki z rybą na kolację. Drzwi otwiera im Matriona, ale kiedy spostrzega, kto jest z matką, odwraca się plecami. Przy stole zachowuje się niespokojnie, żąda, by matka wysłuchała długiej, zagmatwanej opowieści o sprzeczce z koleżanką z klasy. Gdy on się wtrąca, broniąc najłagodniej jak to możliwe tamtej dziewczynki, Matriona prychnie i nawet nie raczy odpowiedzieć.

Wyczuła coś, on wie, i próbuje odzyskać swą matkę. A czemu by nie? To jej prawo. **Jednak gdyby tylko jej tu nie było!** Tym razem nie tłumi tej myśli. Gdyby tej dziewczynki tu nie było, nie straciłby więcej ani słowa. Zdmuchnąłby lampę i po ciemku oboje znaleźliby znów do siebie drogę. Mieliby to wielkie łoże dla siebie, wdowie łoże, łoże owdowiałe od męskiego ciała od – od kiedy? – od czterech lat?

Oczywiście wyobraźni widzi brutalny w swojej zmysłowości obraz Anny Siergiejewny. Jej halka jest podciągnięta wysoko, aż nad obnażone piersi. On sam leży między jej nogami w objęciu długich białych ud. Twarz odwróciła w bok, oczy zamknęła, dyszy ciężko. Chociaż mężczyzną kopulującym z nią jest on sam, widzi to wszystko, jakby z boku łóżka. Nad wszystkim dominują jej uda: on obejmuje je rękami, przyciska do swoich boków.

– Skończ, co masz na talerzu – zwraca się Anna do córki.

– Nie jestem głodna, gardło mnie boli – odpowiada jękliwie Matriona. Jeszcze chwilę bawi się jedzeniem, potem odsuwa talerz.

– Dobranoc, Matriosza – mówi on, wstając. – Mam nadzieję, że jutro poczujesz się lepiej. – Dziewczynka nie zwraca sobie głowy odpowiedzią. On wychodzi, ustępując pola.

Poznaje źródło swojej wizji: pocztówka, którą kupił w Paryżu przed laty i zniszczył wraz z resztą erotyków, kiedy poślubił Anię. Była na tej pocztówce dziewczyna o długich ciemnych włosach leżąca pod wąsatym mężczyzną. CYGAŃSKA MIŁOŚĆ głosił napis kwiecistymi kapitalikami. Lecz nogi dziewczyny na obrazku były pulchne, a ciało zwiotczałe, twarz zwrócona ku mężczyźnie (który podpierał się sztywno ramionami) wyzbyta wyrazu. Uda Anny Siergiejewny, jak pamięta, są szczuplejsze, mocniejsze. Jest coś rozmyślnego w ich uścisku, co wiąże z faktem, że ona nie jest dzieckiem, lecz

w pełni dojrzałą, ochoczą kobietą. W pełni dojrzałą, a więc otwartą (to słowo samo się narzuca) na śmierć. Ciało gotowe do przeżyć, bo wie, że nie będzie żyło wiecznie. Jest to myśl podniecająca, ale i niepokojąca. Tym udom jest wszystko jedno, kto jest przez nie uchwycony. Oglądany trochę z boku i z góry mężczyzna zarazem jest i nie jest nim.

Na jego łóżku leży list oparty o poduszkę. Przez jedną szaleńczą chwilę myśli, że to od Pawła, magiczną mocą podrzucony do pokoju. Lecz pismo jest dziecinne. „Próbowałam narysować Pawła Aleksandrowicza – napisane z błędem – ale mi się nie udało. Jeśli pan chce postawić to na ołtarzyku, to proszę bardzo. Matriona”. Po drugiej stronie jest nieco zamazany rysunek przedstawiający młodego człowieka o wysokim czole i pełnych wargach. Rysunek jest prymitywny, dziewczynka najwyraźniej nie wie nic o cieniowaniu. Niemniej w ustach, a zwłaszcza w śmiałym spojrzeniu bezbłędnie uchwyciła Pawła.

– Tak – szepce – umieszczę go na ołtarzyku. – Unosi rysunek do ust, potem opiera o lichtarz i zapala nową świecę.

Wciąż siedzi ze wzrokiem utkwionym w płomieniu świecy, kiedy godzinę później do drzwi puka Anna Siergiejewna.

– Przyniosłam pranie – mówi.

– Wejdz, usiądź.

– Nie mogę. Matriona śpi niespokojnie... chyba jest

chora. – Jednak siada na łóżku.

– One nas trzymają, te nasze dzieci.

– Trzymają? – powtarza pytająco Anna.

– Dbają o naszą moralność. Trzymają nas z dala od siebie wzajem.

Co za ulga nie być oddzielonym od siebie stołem. Świeca też wnosi kojącą miękkość.

– Szkoda, że musisz jechać – mówi ona – ale może to lepiej dla ciebie, że się wydostaniesz z tego smutnego miasta. Lepiej dla twojej rodziny. Na pewno brak im ciebie. A tobie ich.

– Będę kimś zupełnie innym. Zona mnie nie pozna. Albo będzie myślała niesłusznie, że mnie zna. Przewiduję trudny okres dla wszystkich. Będę myślał o tobie. Ale jako o kim? Oto jest pytanie. Anna to również imię mojej żony.

– Wcześniej było moje niż jej. – Ta odpowiedź jest ostra, pozbawiona wesołości. Znowu sobie uświadamia: jeżeli kocha tę kobietę, to w części dlatego, że nie jest młoda. Przekroczyła linię, do której jego żona dopiero ma się zbliżyć. Nie wie, czy jest mu droższa, ale na pewno bliższa.

Wraca pociąg erotyczny, jeszcze silniejszy niż przedtem. Przed tygodniem byli w swych objęciach na tym samym łóżku. Czy to możliwe, żeby ona teraz o tym nie myślała?

Pochyla się i kładzie rękę na jej udzie. Trzymając pranie na kolanach, Anna pochyla głowę. On przysuwa się bliżej. Bierze ją dłonią za nagą szyję i przyciąga twarz ku

swej twarzy. Ona unosi wzrok: on zaś na jedną chwilę odnosi wrażenie, że spogląda w kocie oczy, czujne, namiętne, łapczywe.

– Muszę iść – mruczy. Wyzwoliwszy się z jego uchwytu, wychodzi.

Pragnie jej ogromnie. Więcej: pragnie jej nie na tym wąskim dzieciennym łóżku, ale na wdowim, w sąsiednim pokoju. Wyobraża ją sobie, jak leży teraz obok córki z oczyma otwartymi i błyszczącymi. Zdaje sobie sprawę, że Anna reprezentuje typ, jakiego jeszcze nigdy nie wykorzystał w swoim pisarstwie. Kobiety, do których przywykł, są nie pozbawione własnego napięcia, lecz jest to napięcie ograniczone do nerwów i skóry. Ich odczucia są intensywne, elektryzujące, bezpośrednie, powierzchniowe. Tymczasem z nią wchodzi w ciało, które krwawi, trzewiowe ciało, którego odczucia sięgają głęboko.

Czy jest to cecha, którą można przenieść albo wykształcić w innych kobietach? W jego żonie? Czy jest to rodzaj odczucia, które raz odkryte w niej, będzie mógł znajdować gdzie indziej?

Co za perfidia!

Gdyby był bardziej pewny swojej francuszczyzny, mógłby dać wyraz temu niepokojącemu podnieceniu w książce z rodzaju takich, jakich nie można opublikować w Rosji – coś, co dałoby się prędko napisać, w dwa, trzy tygodnie, nawet bez kopisty – dziesięć arkuszy drukarskich, trzysta stron. Książkę nocy, w której znalazłyby miejsce wszystkie ekscesy i nie obowiązywały

żadne granice. Książkę, której nikt by z nim nie wiązał. Wysłałby rękopis z Drezna do Paillarda, do Paryża, by ją wydrukował potajemnie i sprzedawał spod lady na lewym brzegu. *Wspomnienia rosyjskiego szlachcica*. Książkę, której ona, Anna Siergiejewna, jej prawdziwa twórczyni, nigdy by nie zobaczyła. Z rozdziałem, w którym szlachetnie urodzony pamiętnikarz czyta głośno córeczce swojej kochanki opowieść o uwiedzeniu młodej dziewczyny, gdzie coraz bardziej on sam objawia się jako ów uwodziciel. Opowieść pełną intymnych szczegółów i insynuacji, przez co bynajmniej nie uwodzi owej córki, lecz przeciwnie, przeraża ją i spędza jej sen z oczu, przy czym wywołuje w niej wątpliwość co do jej własnej czystości, i w trzy dni później córeczka oddaje mu się w rozpacz, w najhaniebniejszy ze sposobów, w sposób, jakiego żadna dziewczynka nie mogłaby wymyślić, gdyby historia jej uwiedzenia i uległości, a także sposobów ich dokonania nie zostały jej uprzednio wpojone.

Wyobrażone wspomnienia. Wspomnienia wyobrażeń.

Czy to jest jego odpowiedź na zadane sobie pytanie? Czy dając mu wolność, chciała, by to właśnie zrobił: napisał książkę zła? I w jakim celu? Aby wyzwolić się od zła czy odciąć od dobra?

Uświadamia sobie, że ani razu w ciągu tej długiej zadumy (w całym domu zapadła już głęboka cisza) nie poświęcił ani jednej myśli Pawłowi. A on tymczasem wraca z jękiem, blady, szukając miejsca, gdzie by głowę skłonić! Biedne dziecko. Festiwal zmysłów, który miał być

jego dziedzictwem, został mu skradziony! Leżąc na łóżku Pawła, nie może się powstrzymać od dreszczu czarnego tryumfu.

Zwykle miewa mieszkanie dla siebie samego przed południem. Ale dziś Matriona – zaczerwieniona, kaszląca sucho, ciężko dysząca – nie poszła do szkoły. Jej obecność w mieszkaniu sprawia, że jeszcze mu trudniej poświęcić uwagę pisaniu. Przyłapuje się na nasłuchiwanie odgłosu jej bosych stóp w sąsiednim pokoju. Są chwile, kiedy może przysiąc, że czuje jej wzrok przeszywający mu plecy.

W południe stróż przynosi wiadomości. Od razu rozpoznaje szary papier i czerwoną pieczęć. Koniec czekania: ma się stawić w biurze radcy sądowego P.P. Maksimowa w związku ze sprawą P.A. Isajewa.

Z ulicy Swiecznej idzie na stację kolejową zarezerwować miejsce w pociągu, a stamtąd na komisariat. W przedpokoju tłum. Podaje swoje nazwisko przy biurku i czeka. Z pierwszym uderzeniem czwartej policjant za biurkiem odkłada pióro, przeciąga się, gasi lampę i zaczyna wypędzać petentów.

– Co to ma znaczyć? – protestuje.

– Piątek, zamykamy wcześniej – mówi policjant. – Proszę przyjść jutro rano.

O szóstej wieczorem czeka przed sklepem Jakowlewa. Widząc go tam, Anna Siergiejewna jest zaniepokojona.

– Matriosza...? – pyta.

– Spała, kiedy wychodziłem. Wstąpiłem do apteki

i kupiłem jej coś na kaszel. – Wyjmuje brązową buteleczkę.

– Dziękuję.

– Znowu wezwano mnie na policję w związku z papierami Pawła. Mam nadzieję, że już jutro sprawa będzie raz na zawsze załatwiona.

Idą przez chwilę w milczeniu. Anna Siergiejewna wydaje się czymś zaprzątnięta. Wreszcie mówi:

– Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego musisz mieć te papiery?

– Dziwi mnie, że pytasz. Co innego Paweł zostawił po sobie? Nie ma dla mnie nic ważniejszego od tych papierów. To jego słowa do mnie. – A potem, po chwili – Czy wiesz, że pisał opowiadanie?

– Pisał opowiadania. Wiem.

– To, które mam na myśli, jest o zbiegłym skazańcu.

– Nie znam tego konkretnego. Czasami czytał to, co pisał, mnie albo Matrioszy, żeby się dowiedzieć, co o tym myślimy. Ale nie o skazańcu.

– Nie wiedziałem, że pisał też inne.

– O tak, pisał. Wiersze też, ale wstydził się nam je pokazać. Policja z pewnością je także zabrała. Długo byli w jego pokoju i szukali. Nie mówiłam ci? Zaglądali nawet pod deski podłogi. Zabrali wszystko, do ostatniego skrawka papieru.

– A więc Paweł tym się zajmował... pisaniem?

Spogląda na niego dziwnie.

– A jak myślałeś?

Wstrzymuje się od szybkiej odpowiedzi.

– Mając ojca pisarza... Czego innego można było oczekiwać? – mówi dalej ona.

– Pisanie nie przechodzi z ojca na syna.

– Może i nie. Nic o tym nie wiem. Ale może on wcale nie chciał być zawodowym pisarzem. Może to był dla niego sposób dotarcia do ojca.

Kochałbym go i bez jego opowiadań! – myśli on z gestem irytacji. Ale zamiast tego mówi:

– Człowiek nie musi zdobywać sobie miłości ojca.

Anna waha się chwilę, a potem mówi:

– Jest coś, przed czym chciałabym cię ostrzec, Fiodorze Michajłowiczu. Paweł żywił coś na kształt kultu swego ojca... to znaczy Aleksandra Isajewa. Nie wspominałabym o tym, gdybym się nie obawiała, że znajdziesz ślad tego kultu w jego papierach. Musisz być wyrozumiały. Dzieci lubią idealizować swych rodziców. Nawet Matriona...

– Idealizować Isajewa? Isajew był pijakiem, zerem, złym mężem. Jego żona, matka Pawła, pod koniec nie mogła go znieść. Rzuciłaby go, gdyby nie umarł. Jak można idealizować kogoś takiego?

– Patrząc na niego jak przez mgłę, oczywiście. Trudno było Pawłowi patrzeć przez mgłę na ciebie. Ty byłeś dla niego zbyt bezpośredni, jeśli można tak powiedzieć.

– Dlatego, że to właśnie ja musiałem go dzień po dniu wychowywać. Uznałem go za syna, gdy wszyscy inni się od niego odwrócili.

– Nie przesadzaj. Jego rodzice nie opuścili go, lecz umarli. Poza tym, jeżeli ty miałeś prawo wybrać go na syna, to czemu on miałby nie mieć prawa wybrać sobie ojca?

– Bo powinien wybrać kogoś lepszego od Isajewa. To jest choroba naszego wieku, że młodzi ludzie odwracają się od swoich rodziców, domów, wychowania, bo im już nie odpowiadają! Najbardziej byliby zadowoleni, gdyby mogli być synami i córkami Stieńki Razina lub Bakunina!

– Jesteś niemądry. Paweł nie uciekł z domu. To ty uciekłeś od niego.

Zapada gniewne milczenie. Kiedy dochodzą do ulicy Grochowej, przepasza i zostawia Annę samą.

Spacerując po nabrzeżu, дума nad tym, co powiedział. Dopuścił niewątpliwie, by wyszło na jaw coś, czego powinien się wstydzić, i ma jej za złe, że była tego świadkiem. A jednocześnie wstyd mu tej małostkowości. Uwikłał się w znajome moralne kłopoty, w istocie tak znajome, że już go nie niepokoją, i winny być tym bardziej wątpliwe. Ale dręczy go zarazem coś innego, jak ostrze gwoźdźca, który właśnie zaczyna wychodzić z podeszwy, coś, czego nie może czy też nie chce zdefiniować.

Gdy wraca do mieszkania, w powietrzu ciągle czai się napięcie. Matriona wstała z łóżka. Na nocnej koszuli ma palto matki, ale nogi bose.

– Nudzę się! – narzeka raz po raz.

Nie zwraca na niego uwagi. Choć siada z nim do stołu, nie chce jeść. Cierpko pachnie, kicha, co jakiś czas miewa

napady ostrego kaszlu. On upomina ją łagodnie:

– Nie powinnaś wstawać z łóżka, kochanie.

– Pan nie jest moim ojcem i nie może mi rozkazywać!

– odpowiada dziewczynka.

– Matriosza! – strofuje ją matka.

– A co, może jest? – pyta Matriosza i milknie nadąsana.

Później, kiedy on już jest w swoim pokoju, rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi Anna Siergiejewna.

– Jak ona się czuje? – pyta ją, wstając.

– Dałam jej trochę lekarstwa, które kupiłeś, i wydaje się, że jest nieco spokojniejsza. Nie powinna wstawać z łóżka, ale jest samowolna i nie mogę jej powstrzymać. Przyszłam przeprosić za to, co powiedziałam. Chciałam też zapytać o twoje plany na jutro.

– Nie ma za co przeproszać, to ja zawiniłem. Zarezerwowałem sobie miejsce w wieczornym pociągu, ale to można zmienić.

– Po co? Jutro dostaniesz swoje papiery. Czemu miałbyś cokolwiek zmieniać? Po co zostawać dłużej niż to konieczne? Nie chcesz chyba być wiecznym lokatorem. Czy to nie tytuł jakiejś książki?

– Wieczny lokator? Nie, w każdym razie żadnej z tych, które znam. Wszystkie układy można zmienić, włącznie z jutrzejszym planem. Nic nie jest ostateczne. Ale w tym wypadku to nie zależy ode mnie.

– A od kogo?

– Od ciebie.

– Ode mnie? Z całą pewnością nie! Twoje układy są tylko w twoich rękach, ja nie mam w nich udziału. Powinniśmy się teraz pożegnać. Jutro rano cię nie zobaczę.

Muszę wcześniej wstać. Jutro jest dzień targowy. Zostaw klucz w drzwiach.

A więc nadeszła ta chwila. Nabiera powietrza w płuca. W głowie ma zupełną pustkę. Z tej pustki zaczyna mówić, poddając się płynącym słowom, dając się im ponieść.

– Na promie, kiedy mnie prowadziłaś na grób Pawła – mówi – przyglądałem się tobie i Matrioszy, jak stałyście przy barierze i patrzyłyście w mgłę... pamiętasz, jaka wtedy była mgła... i powiedziałem sobie: „Ona go przyciągnie z powrotem. Ona jest – nabiera powietrza w płuca – ona jest przewodniczką dusz”. Nie jest to określenie, które mi wówczas przyszło na myśl, ale wiem teraz, że jest odpowiednie.

Ona patrzy na niego bez wyrazu, on zaś bierze jej rękę w obie dłonie.

– Chcę go odzyskać – mówi jej. – Musisz mi pomóc. Chcę go pocałować w usta.

Mówiąc, słyszy, jak szalone są to słowa. Zupełnie jakby się pogrążył w szaleństwie i wydostawał z niego, na podobieństwo muchy w otwartym oknie.

Ona jest pełna napięcia, gotowa do ucieczki. Chwyta ją mocniej, powstrzymuje.

– To prawda. Właśnie tak o tobie myślę. Paweł nie znalazł się tutaj przypadkiem. Gdzieś zostało napisane, że właśnie stąd ma zostać wyprowadzony... w noc.

Zarówno wierzy i nie wierzy w to, co mówi. Przypomina mu się obraz widziany gdzieś w jakiejś galerii: kobieta w ciemnej surowej sukni stoi przy oknie z dzieckiem u boku i oboje patrzą w rozgwieżdżone niebo. Żywiej niż sam obraz pamięta złocone zawijasy ramy.

Jej dłoń leży bez życia w jego dłoniach.

– Jest to w twojej mocy – ciągnie, wciąż idąc za słowami jak za światłem przewodnim, patrząc, gdzie go zawiodą. – Możesz go sprowadzić z powrotem. Na jedną minutę. Tylko jedną minutkę.

Pamięta, jaka oschła mu się wydawała, kiedy ją poznał. Jak mumia: suche kości spowite całunem, który się rozsypuje na proch, kiedy go dotknąć. Kiedy mówi, jej głos poskrzypuje z krtani.

– Kochasz go tak bardzo – mówi – na pewno go jeszcze zobaczysz.

Puszcza jej dłoń. Ona cofa ją, jakby to był łańcuch luźno powiązanych kości. **Nie staraj się mi dogadzać!** – chce jej powiedzieć.

– Jesteś artystą, mistrzem – mówi ona. – To ty, nie ja, możesz przywrócić go życiu.

Mistrz. Jemu to słowo kojarzy się z metalem – z ostrzeniem mieczy, odlewaniem dzwonów. Mistrz kowalski, mistrz giserski. Mistrz życia: dziwny termin. Lecz on jest gotów pomyśleć o tym. Udzieli schronienia każdemu słowu, choćby nie wiadomo jak dziwnemu, jeśli istnieje szansa, że brzmieniem przypomni imię Pawła.

– Daleko mi do mistrza – mówi. – Mam w sobie

pęknięcie. Na co komu pęknięty dzwon? Pękniętego dzwonu nie da się naprawić.

To prawda, co mówi. A jednocześnie przypomina sobie, że jeden z dzwonów Katedry Świętej Trójcy w Siergijewie jest pęknięty, a pękł jeszcze przed panowaniem Katarzyny. Wcale go nie zdjęto i nie przetopiono. A co dzień rozbrzmiewa nad miastem. Ludzie nazywają go drewnianą nogą świętego Sergiusza.

Teraz w jej głosie brzmi rozdrażnienie:

– Współczuję ci, Fiodorze Michajłowiczu – mówi – lecz musisz pamiętać, że nie jesteś pierwszym rodzicem, który stracił dziecko. Paweł przeżył dwadzieścia dwa lata. Pomyśl o tych wszystkich dzieciach, które zmarły w niemowlęctwie.

– A więc...?

– A więc uznaj, że doznanie straty jest regułą, a nie wyjątkiem. I zapytaj siebie, czy płaczesz nad Pawłem, czy nad samym sobą.

Strata. Między nim a nią pojawia się lodowa przestrzeń.

– Ja go nie utraciłem, on nie został utracony – mówi przez zaciśnięte zęby.

Ona wzrusza ramionami.

– Jeśli go nie utraciłeś, to musisz wiedzieć, gdzie jest. Z całą pewnością nie ma go w tym pokoju.

On rozgląda się wokół. Czy to zagęszczenie cieni w kącie – czy to nie ślad tchnienia, które wydaje cień jego ducha?

– Nie może to być, żeby mieszkając gdzieś, nie pozostawić nic po sobie – szepce.

– Nie, oczywiście, że się pozostawia. Sama ci to mówiłam dzisiaj po południu. Lecz to, co pozostawił, jest gdzie indziej, nie w tym pokoju. On stąd odszedł, tutaj go nie znajdziesz. Porozmawiaj z Matrioną. Pogódź się z nią przed odjazdem. Ona i twój syn byli sobie bardzo bliscy. Jeżeli pozostawił jakiś ślad, to w niej.

– A w tobie?

– Ja bardzo go lubiłam, Fiodorze Michajłowiczu. Był dobrym i wspaniałomyślnym młodzieńcem. Jako twój syn nie miał łatwego życia. Był samotny, brakowało mu pewności siebie, musiał szukać własnej drogi. Ja to wszystko rozumiałam, ale należę do innego pokolenia. On nie mógł ze mną rozmawiać tak jak z Matrioną. Oni byli z sobą jak dzieci. – Urywa. – Miałam wrażenie... wspominam o tym teraz, bo jesteśmy z sobą szczerzy... że zbyt prędko zgaszono w nim dziecko, zanim zdążył się wybrykać. Nie wiem, czy kiedykolwiek pomyślałeś o tym. Może nie. Ale wciąż dziwi mnie, że tak trywialna rzecz jak późne wstawanie mogła budzić twój gniew.

– Czemu cię to dziwi?

– Bo oczekiwałam większego współczucia od ciebie... jako artysty. Jedne dzieci śnią w nocy, inne czekają ranka, aby śnić. Trzeba się dwa razy zastanowić, zanim się zbudzi śniące dziecko. Gdy Paweł był w towarzystwie Matriony, wówczas to dziecko w nim miało okazję się ujawnić. Cieszę się teraz, że to mogło się zdarzyć... że on tego nie

utracił.

Staje mu przed oczyma obraz Pawła jako siedmioletniego chłopca w szarym kraciastym paltku, nausznikach i za dużych butach, gdy galopuje po śniegu i wykrzykuje jak szalony. Jest jeszcze coś przeglądającego z rogu tego obrazka, coś, co on odpycha od siebie.

– Paweł i ja zobaczyliśmy się pierwszy raz w Semipałatyńsku, gdy on miał już siedem lat – mówi. – Nie spodobałem mu się. Byłem człowiekiem obcym, z którym on i jego matka mieli zamieszkać. Ja byłem tym, który mu zabierał matkę.

Jego matka była wdową. Syn wdowy. Wdowi syn.

Tym, co on odpycha od siebie, co, w miarę jak mówi, powraca natarczywie, jest ktoś, kogo może jedynie nazwać trollem, nieszczęsny stworek, rudowłosa, rudobrody, nie wyższy od trzy- lub czteroletniego dziecka. Paweł wciąż biegnie po śniegu i krzyczy, zaczepiając kolaniem o kolano jak żreback. A troll stoi z boku i się przypatruje. Ma na sobie rdzawą kurtkę, rozpiętą przy szyi, i wygląda, jakby nie odczuwał chłodu.

– ...trudne dla dziecka... – Ona coś mówi, czego on słucha tylko jednym uchem. Kim jest ten troll, ten stworek? Przygląda się uważniej twarzy trolla. Nagle pojmuję ze wstrząsem. Dziobata twarz, blizny nabrzmiące i zaczerwienione na chłodzie, rzadka bródka wyrastająca pomiędzy śladów po ospie – to znowu Nieczajew, Nieczajew pomniejszony, Nieczajew na Syberii nawiedzający początki jego syna! Co ta wizja oznacza?

Wydaje cichy jęk i natychmiast Anna Siergiejewna milknie.

– Przepraszam – stara się ją udobruchać. Lecz ona czuje się urażona.

– Na pewno musisz się jeszcze spakować – mówi i wychodzi, nie słuchając przeprosin.

12. ISAJEW

Prowadzą go do tego samego pokoju co przedtem. Ale urzędnikiem siedzącym za biurkiem nie jest Maksimow. Nie przedstawiając się, wskazuje krzesło.

– Nazwisko? – pyta.

Podaje nazwisko.

– Sądziłem, że będę rozmawiał z radcą Maksimowem.

– Dojdziemy do tego. Zawód?

– Pisarz.

– Pisarz? Jakiego rodzaju?

– Piszę książki.

– Jakiego rodzaju książki?

– Powieści. Opowiadania.

– Dla dzieci?

– Nie, niespecjalnie dla dzieci. Ale mam nadzieję, że dzieci potrafią je czytać.

– Nic nieprzyzwoitego?

Nic nieprzyzwoitego? Myśli chwilę.

– Nic takiego, co mogłoby urazić dziecko – odpowiada w końcu.

– To dobrze.

– Ale serce ma swoje mroczne zakamarki – dodaje niechętnie. – Nie zawsze wiadomo.

Urzędnik po raz pierwszy unosi wzrok znad papierów.

– Co pan ma na myśli? – Jest młodszy od Maksimowa. Jego asystent?

– Nic. Nic.

Urzędnik odkłada pióro.

– Przejdźmy do tematu zmarłego Iwanowa. Znał pan Iwanowa?

– Nie rozumiem. Myślałem, że zostałem tu wezwany w związku z papierami mego syna.

– Wszystko w swoim czasie. Iwanow. Kiedy miał pan z nim pierwszy kontakt?

– Jakiś tydzień temu. Krążył podejrzenie koło drzwi domu, w którym teraz mieszkam.

– Ulica Swiecznoj sześćdziesiąt trzy?

– Swiecznoj sześćdziesiąt trzy. Było bardzo zimno, więc zaproponowałem mu schronienie. Spędził tę noc w moim pokoju. Następnego dnia usłyszałem, że dokonano morderstwa i on jest o nie podejrzany. Dopiero później...

– Iwanow podejrzany? O morderstwo? Pan myślał, że Iwanow był mordercą? Na jakiej podstawie?

– Proszę pozwolić mi dokończyć! Taka plotka krążyła po domu albo dziewczynka, która mi to mówiła, coś poplątała, nie wiem. Czy to ważne, skoro fakt jest taki, że człowiek ten nie żyje? Byłem zdumiony i przerażony, że ktoś taki mógł zostać zabity. Był zupełnie nieszkodliwy.

– Ale nie był tym, na kogo wyglądał, prawda?

– To znaczy żebrakiem?

– Nie był żebrakiem, prawda?

– W pewnym sensie nie był, a w pewnym sensie był.

– Nie wyraża się pan jasno. Twierdzi pan, że nie znał jego roli? Dlatego był pan zdumiony?

– Byłem zdumiony, że ktoś mógł narażać swoją duszę nieśmiertelną, zabijając takie nieszkodliwe zero.

Urzędnik przygląda mu się z sardonicznym wyrazem twarzy.

– Zero... czy to po chrześcijańsku tak go nazywać?

W tej chwili do pokoju wchodzi w wielkim pośpiechu sam Maksimow. Pod pachą ma plik tekturowych teczek związanych różowymi wstążeczkami. Kładzie je na biurku, bierze chustkę i wyciera czoło.

– Tak tu gorąco – mruczy, a potem mówi do kolegi – Dziękuję. Skończyłeś?

Ten bez słowa zgarnia swoje papiery i wychodzi. Ocierając z westchnieniem twarz, Maksimow zajmuje jego miejsce.

– Przepraszam, Fiodorze Michajłowiczu. No więc: w sprawie papierów pańskiego pasierba. Obawiam się, że będziemy musieli zatrzymać ich część, mianowicie spis ludzi mających ulec, jak mówią nasi przyjaciele, likwidacji. Spis ten, jestem pewien, że pan się ze mną zgodzi, nie powinien się dostać do wiadomości publicznej, gdyż wzniciłby popłoch. Ponadto w odpowiednim czasie będzie stanowił część zarzutów przeciwko Nieczajewowi. Co do reszty papierów, są one pańskie, skończyliśmy z nimi, wyciągnęliśmy z nich, że tak powiem, wszystkie miody. Jednakże zanim je panu na zawsze przekażę, chcę powiedzieć jeszcze jedną rzecz, jeżeli jest pan łaskaw mnie wysłuchać. Gdybym uważał się jedynie za funkcjonariusza, który na swej urzędowej drodze

przypadkiem spotkał się z panem, zwróciłbym panu te papiery bez zbędnych ceregieli. Ale w tym przypadku nie jestem li tylko funkcjonariuszem. Jestem również człowiekiem, który panu dobrze życzy, któremu leży na sercu pańskie dobro. A jako taki mam duże zastrzeżenia przeciw zwróceniu panu tych papierów. Pozwolę sobie wyjawić te zastrzeżenia. Polegają one na tym, że grożą panu bolesne odkrycia ... bolesne i zbędne odkrycia. Gdyby pan łaskawie zechciał posłużyć się mną jako przewodnikiem, mógłbym wskazać panu te strony, które lepiej, aby pan ominął. Ale oczywiście znając pana w stopniu, w jakim się zna pisarza na podstawie jego książek, to znaczy w sposób zażyły, a zarazem ograniczony, spodziewam się, że moje wysiłki wywrą wręcz odwrotny skutek... zaostrzą pana ciekawość. Powiem więc tylko tyle: proszę mnie nie winić, że zapoznałem się z treścią tych papierów... jest to w końcu obowiązek nałożony na mnie przez państwo... i proszę się nie gniewać, jeśli właściwie przewidziałem pańską reakcję. Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, więcej już się chyba nie spotkamy. Nie ma powodu, aby pan nie powiedział sobie, że przestałem istnieć, tak samo jak jakaś postać w książce przestaje istnieć w chwili, gdy książka zostaje zamknięta. Jeżeli chodzi o mnie, może być pan pewien, że moje usta będą zamknięte. Nikt nie usłyszy ode mnie ani słowa o tym smutnym epizodzie.

Mówiąc to, Maksimow popycha kartonową teczkę, zaskakująco grubą teczkę z papierami Pawła, posługując

się tylko środkowym palcem prawej ręki.

Widząc to, on wstaje, bierze teczkę, kłania się i przygotowuje do wyjścia z pokoju, kiedy Maksimow znowu mówi:

– Pozwoli pan, że go zatrzymam jeszcze na chwileczkę w związku z nieco inną sprawą: czy przypadkiem nie kontaktował się pan tu, w Petersburgu, z kimś z bandy Nieczajewa?

Iwanow! Nieczajew! A więc to jest prawdziwy powód jego wezwania! Paweł, papiery, zonglowanie skrucą Maksimowa – wszystko to tylko sprawa uboczna, przynęta!

– Nie widzę związku pana pytania ze sprawą – odpowiada sztywno. – Nie wiem, jakim prawem pan o to pyta albo oczekuje odpowiedzi.

– Żadnym prawem! Niech się pan uspokoi... nie jest pan o nic oskarżony. Po prostu pytam. A jeśli chodzi o związek tego pytania ze sprawą, wcale nie sędzę, że trudno go dowieść. Skończywszy ze sprawą pasierba, myślałem, być może łatwiej będzie panu mówić o Nieczajewie. Bo w naszej rozmowie onegdaj wyczułem, że to, co raczył pan powiedzieć, miało czasem podwójne znaczenie. Za słowem stało jakby ukryte inne słowo, że tak powiem. Jak pan sądzi? Myliłem się?

– Jakie słowa? Co za nimi stało?

– To tylko pan może powiedzieć.

– Pan się myli. Ja nie mówię zagadkami. Każde moje słowo znaczy to, co znaczy. Paweł to Paweł, nie

Nieczajew.

Przy tych słowach odwraca się i wychodzi, a Maksimow go nie zatrzymuje.

Niesie kartonową teczkę krętymi ulicami dzielnicy Maskowskaja na ulicę Swiecznoj numer 63, potem schodami na trzecie piętro, do swojego pokoju, i zamyka za sobą drzwi.

Rozwiązuje wstążeczkę. Serce mu łomocze nieprzyjemnie. Nie przeczy, że jest coś niesmacznego w tym pośpiechu. Jakby się przeniósł z powrotem w wiek chłopięcy, w długie upalne popołudnia spędzane w pokoju przyjaciela, Alberta, ślęcząc nad książkami świętymi z półek Albertowego ja. Ten sam lęk przed złapaniem na gorącym uczynku (lęk sam w sobie rozkoszny), to samo namiętne zatopienie.

Przypomina sobie, jak Albert pokazał mu dwie muchy w akcie kopulacji, samca na plecach samicy. Albert trzymał muchy w zagłębieniu dłoni.

– Spójrz – powiedział. Chwycił koniuszkami palców skrzydło samca i lekko pociągnął. Skrzydełko odpadło. Samiec nie zwrócił na to uwagi. Albert oderwał drugie skrzydełko. Samiec ze swoim dziwnym, ogołoconym grzbietem, wciąż robił, co robił. Z wyrazem niesmaku Albert cisnął muszą parę na podłogę i rozdeptał.

Wyobrażał sobie, że patrzy w oczy muchy, której odrywają skrzydła: był pewien, że nawet by nie mrugnęła. Może by go nawet nie spostrzegła. Zupełnie jakby na czas trwania aktu jej dusza przeniosła się w samicę. Zadrżał na

samą myśl o tym. Wywołało to w nim pragnienie unicestwienia wszystkich much na świecie.

Była to dziecięca reakcja na akt, którego nie rozumiał, akt, którego się lękał, bo wszyscy wokół dawali mu do zrozumienia swoimi szeptami i uśmiechami, że i on pewnego dnia będzie musiał go dokonać.

– Nie chcę, nie chcę! – dyszy dziecko. – Czego nie chcesz? – pytają patrzący, robiąc nagle wielkie oczy, wprawieni w zakłopotanie. – O raju, o czym to dziwne dziecko mówi?

Kartonowa teczka zawiera oprawny w skórę notes, pięć szkolnych zeszytów, dwadzieścia kilka luźnych kartek spiętych razem, plik listów związanych sznurkiem i kilka drukowanych pamfletów: felietony Blanquiego i Iszutina, jakiś esej Pisariewa. Jest też *De Officiis* Cyclerona, wyjątki z francuskim tłumaczeniem. Przekartkowuje je. Na ostatniej stronie znajduje dwa zdania napisane nieznanym charakterem pisma: *Salus populi suprema lex esto*, a pod tym, jaśniejszym atramentem: *Talispater, qualis filius*.

Posłanie, posłanie. Ale od kogo do kogo?

Bierze notes i nie czytając, przekartkowuje go, jakby tasował karty. Druga połowa jest nie zapisana. Mimo to część zapisana jest pokaźna. Rzuca okiem na pierwszą datę: 29 czerwca 1866. Pawła imieniny. Notes musiał być prezentem. Ale od kogo? Nie przypomina sobie. 1866 rok odznacza się tym tylko, że był rokiem Anny, rokiem, w którym poznał swoją przyszłą żonę i zakochał się w niej.

1866 to rok, w którym ignorował Pawła.

Jakby dotykając gorącego półmiska, czujny, gotów w każdej chwili się cofnąć, zaczyna czytać pierwszy zapis. Wyrecytowanie, na dodatek nieco sztuczne, jak Paweł spędził ów dzień. Dzieło początkującego kronikarza. Żadnych oskarżeń, żadnych denuncjacji. Z ulgą zamyka notes. W Dreźnie, gdy będę miał czas, obiecuje sobie, przeczytam wszystko.

Co się tyczy listów, wszystkie są od niego. Otwiera najświeższy, ostatni przed śmiercią Pawła. „Posyłam Apollonowi Grigoriewiczowi pięćdziesiąt rubli – czyta. – To wszystko, na co nas obecnie stać. Proszę nie naciskaj A.G. o więcej. Musisz nauczyć się żyć oszczędnie”.

To jego ostatnie słowa do Pawła, a ileż w nich małostkowości! I to widział Maksimow! Nic dziwnego, że mnie ostrzegął przed tą lekturą! Co za hańba! Chciałby spalić ten list, wymazać go z historii.

Odszukuje opowiadanie, którego fragmenty Maksimow mu czytał. Miał rację: jako postać, Siergiej, jego młody bohater, zesłany na Syberię za przewożenie studenckiemu powstaniu, jest do niczego. Jednakże opowieść ciągnie się znacznie dalej, niż Maksimow sugerował. Wiele dni po zamordowaniu złego ziemianina Siergiej i jego Marfa uciekają przed żołnierzami, chroniąc się w stodołach i oborach, wspomagani przez wieśniaków, którzy ich kryją i żywią, i odpowiadają na pytania prześladowców głupimi minami. Początkowo młodzi śpią bok przy boku w koleżeńskiej czystości, ale rodzi się

w nich miłość, miłość głęboka i przekonująca. Paweł niechybnie zmierza do sceny namiętności. Widać grubo przekreśloną całą stronę, na której Siergiej wyznaje Marfie w młodzińczy zapalczywy sposób, że stała się dla niego kimś więcej niż tylko towarzyszką w walce, że zawładnęła jego sercem. W miejsce tego powstała dużo bardziej interesująca sekwencja, w której opowiada dziewczynie o swoim samotnym dzieciństwie bez braci i sióstr, o swej młodzińczej nieporadności wobec kobiet. Sekwencja kończy się wyjąkanym wyznaniem miłości Marfy do niego.

Cofa się o kilka stron.

– Nie mam rodziców – mówi Siergiej do Marfy. – Mój ojciec, mój prawdziwy ojciec, był szlachcicem zesłanym na Sybir za swoje rewolucyjne sympatie. Umarł, gdy miałem siedem lat. Matka wyszła drugi raz za mąż. Jej mąż nie lubił mnie. Gdy tylko osiągnąłem odpowiedni wiek, wysłał mnie do szkoły kadetów. Byłem najmniejszy w klasie. To tam nauczyłem się walczyć o swoje prawa. Później matka i ojczym przenieśli się z powrotem do Petersburga, założyli dom i posłali po mnie. Potem mama umarła i zostałem sam z ojczymem, ponurym człowiekiem, który się do mnie prawie nie odzywał. Czuję się samotny. Jedyne przyjaciół miałem wśród służby. To od nich dowiedziałem się o cierpieniach ludu.

To nie kłamstwo, niezupełnie kłamstwo, lecz jakże subtelnie wszystko przekręcone, wszystko! „On mnie nie lubił...!” Można było się litować nad pozbawionym

przyjaciół siedmiolatkiem i szczerze pragnąć go chronić, lecz jak można było go kochać, kiedy był taki podejrzliwy, tak pozbawiony uśmiechu, kiedy przywierał do matki jak pijawka i miał do niej żal o każdą chwilę, jaką spędziła z daleka od niego, kiedy kilka razy w ciągu nocy słyszeli z pokoju obok ten wysoki, nagłący głosik wzywający matkę, by przyszła i odpędziła komara, który go gryzie?

Odkłada rękopis. Dobry szlachcic z tego ojca! Biedne dziecko! Prawda jest dużo mniej ciekawa, pełna prawda zaś zupełnie nieciekawa. Ale któż oprócz rejestrującego anioła chciałby pisać pełną, nieciekawą prawdę? Czy on sam w wieku dwudziestu dwóch lat pisał z takim samym oddaniem?

Ma teraz coś nieprzepraczonego do powiedzenia, czego chłopiec już nigdy nie usłyszy. Chce powiedzieć, że jeśli się otrzymało dar pisania, trzeba wciąż pamiętać o źródle tego daru. Człowiek pisze, bo był w dzieciństwie samotny, bo był niekochany. **(Jednak to nie jest cała prawda – chce również powiedzieć – byłeś kochany, byłbyś kochany, ale z własnego wyboru wolałeś być nie kochany.** Co za pomieszanie! Małpa z katarynki spisałaby się lepiej!) Nie pisze się z powodu obfitości, chce powiedzieć – piszemy z odczuwanego bólu, niedostatku. Z pewnością wiesz to w głębi serca! Co się zaś tyczy twojego tak zwanego prawdziwego ojca i jego rewolucyjnych sympatii, jest to wierutna bzdura. Isajew był urzędnikiem, gryzipiórką. Gdyby nie umarł, gdybyś poszedł w jego ślady, ty też byłbyś nikim więcej, jak

urzędnikiem, i nie zostawiłbyś po sobie tego opowiadania.
(**Tak, tak**, słyszy wysoki, dziecięcy głos, **ale bym żył!**)

Młodzi ludzie w bieli grają we francuską grę, w krokieta, *croixquette*, grę w krzyżyk, a ty wśród nich na murawie, żywy! Biedaku! Na ulicach Petersburga, tu w nachyleniu głowy, ówdzie w geście dłoni, widzę cię, i za każdym razem serce moje wzbiera jak fala. Wszędzie i nigdzie, rozdarty i rozproszony jak Orfeusz. Młody wiekiem, *chryseos*, złoty, błogosławiony.

Pozostawione mi zadanie: zebrać ten skarb, złożyć razem rozrzucone części. Poeta, lirnik, czarodziej, pan zmartwychwstania, oto jak mnie zwa. A jaka jest prawda? Sztywne barki zgarbione nad stołem do pisania i ból w sercu bijącym powoli. Żółwim sercu.

Przybyłem za późno, by móc unieść wieko trumny i ucałować twoje chłodne, gładkie czoło. Gdyby moje usta, czułe jak koniuszki palców ślepeca, mogły cię musnąć choć raz, nie rozstałbyś się z życiem z goryczą ku mnie. Ale odszedłeś, nosząc nazwisko Isajew, ja zaś, starzec, stary pielgrzym, pozostałem, aby śledzić, ścigać cię, fiolet na szarzyźnie, echo.

A jednak jestem tu, a starego Isajewa nie ma. Jeżeli tonąc, sięgniesz Isajewa, uchwycisz tylko widmową dłoń. W ratuszu Semipałatyńska, w okrytych kurzem rejestrach pod schodami, zapewne wciąż można by napotkać jego podpis. Poza tym nie ma po nim śladu, poza tymi wspomnieniami, wspomnieniami tego, który przygarnął wdowę po nim i dziecko.

13. PRZEBRANIE

Sprawa jest zamknięta. Nic go nie trzyma w Petersburgu. Pociąg odjeżdża o ósmej, we wtorek może już się znaleźć w Dreźnie z żoną i dzieckiem. Lecz w miarę zbliżania się pory odjazdu wciąż bardziej i bardziej staje się nie do pomyślenia, że ma usunąć obrazki z kapliczki, zdmuchnąć świecę i przekazać pokój Pawła komuś obcemu.

Jednakże jeśli nie wyjedzie dziś wieczorem, to kiedy? „Wieczny lokator” – skąd Anna Siergiejewna wzięła to określenie? Jak długo jeszcze może wyczekiwać ducha? Chyba że ułoży sobie stosunki z tą kobietą na innej stopie, zupełnie innej stopie. Ale co wtedy z jego żoną?

Ma w głowie zamęt, nie wie, czego chce, wie tylko, że ósma wieczorem wisi nad nim niczym wyrok śmierci. Odnajduje dozorcę i po długich targach sprawia, że ktoś zostaje posłany z biletem na stację, by zmienić rezerwację na dzień następny.

Wróciwszy, stwierdza ze zdumieniem, że drzwi do jego pokoju są otwarte, a jakaś kobieta stojąca do niego tyłem przygląda się kapliczce. Przez jedną pełną poczucia winy chwilę myśli, że to jego żona przyjechała za nim do Petersburga. Potem poznaje, kto to, i z gardła dobywa mu się krzyk protestu: Siergiej Nieczajew w tej samej granatowej sukni i czepku co przedtem!

W tej samej chwili do pokoju wchodzi z mieszkania

Matriona. Przejmuje inicjatywę, zanim on ma czas dobyć głos z krtani.

– Pan nie powinien się tak zakradać! – wykrzykuje.

– Ale co robicie w moim pokoju?

– Mamy takie samo prawo ... – zaczyna porywczo Matriona, ale Nieczajew jej przerywa.

– Ktoś nasłał na nas policję – mówi. Podchodzi bliżej.

– Mam nadzieję, że nie pan.

Przez zapach lawendy przebija cuchnący męski pot. Puder na szyi Nieczajewa jest zbity w grudki. Widać pod nim szczecinę zarostu.

– To jest podłe oskarżenie, bardzo podłe. Powtarzam: co pan robi w moim pokoju? – Zwraca się do Matriony.

– A ty... ty jesteś chora, powinnaś leżeć w łóżku!

Ignorując jego słowa, dziewczynka wyciąga walizkę Pawła.

– Powiedziałam mu, że może sobie wziąć ubranie Pawła Aleksandrowicza – mówi, potem, zanim on ma czas zaprotestować, dodaje – Tak, może! Paweł kupił to ubranie za własne pieniądze, i byli kiedyś przyjaciółmi!

Otwiera walizkę i wyjmuje z niej biały garnitur.

– Proszę! – mówi wyzywająco.

Nieczajew obrzuca garnitur szybkim spojrzeniem, rozkłada na łóżku i zaczyna rozpinać sukienkę.

– Proszę się wytłumaczyć...

– Nie ma na to czasu. Potrzebuję też koszuli.

Wyciąga ręce z rękawów. Suknia opada mu do kostek.

Nieczajew stoi przed nimi w brudnej bawełnianej

bieliźnie i czarnych skórzanych bucikach. Nie nosi pończoch, nogi ma szczupłe i owłosione.

Zupełnie nieskrępowana Matriona pomaga mu się ubrać w Pawła garnitur. On chce zaprotestować, ale co można powiedzieć młodemu, gdy zamykają uszy i zwierają szeregi przeciwko starym?

– Co się stało z pana fińską przyjaciółką? Nie ma jej z panem?

Nieczajew wkłada marynarkę. Okazuje się za długa i za szeroka w ramionach. Nie jest tak dobrze zbudowany jak Paweł, nie tak przystojny. Odczuwa dumę na myśl o synu. To nie on powinien był umrzeć!

– Musiałem ją zostawić – odpowiada Nieczajew. – Chodziło o to, żeby szybko uciec.

– Innymi słowy, pan ją porzucił. – I zanim Nieczajew ma czas coś na to powiedzieć, dodaje – Niech pan umyje twarz. Wygląda pan jak klaun.

Matriona wymyka się z pokoju, wraca z wilgotną szmatką. Nieczajew wyciera sobie nią twarz.

– Czoło też – mówi dziewczynka. – Ja to zrobię. – Bierze od niego szmatkę i ściera puder, który zasechł mu na brwiach.

Mała siostrzyczka. Czy zachowywała się tak i wobec Pawła? Coś mu doskwiera w duszy: zazdrość.

– Czy pan naprawdę spodziewa się ujść policji ubrany jak urlopowicz w środku zimy?

Nieczajew lekceważy drwinę.

– Potrzebuję pieniędzy – mówi.

– Nie dostanie ich pan ode mnie.

Nieczajew zwraca się do dziewczynki.

– Masz jakieś pieniądze?

Matriona wypada z pokoju. Słysząc, jak ciągnie krzesło po podłodze. Wraca ze słoiczkiem pełnym monet. Wysypuje monety na łóżko i zaczyna liczyć.

– Za mało – mruczy Nieczajew, ale mimo to czeka.

– Pięć rubli i piętnaście kopiejek – obwieszcza Matriona.

– Potrzebuję więcej.

– Więc niech pan idzie na ulicę żebrać. Nic pan ode mnie nie dostanie. Niech pan idzie żebrać w imię ludu.

Patrzą na siebie złowrogo.

– Czemu pan nie chce dać mu pieniędzy? – pyta Matriona. – On jest przyjacielem Pawła!

– Nie mam pieniędzy do rozdawania.

– To nieprawda! Powiedział pan mamie, że ma ich mnóstwo. Niech mu pan da połowę. Paweł Aleksandrowicz dałby.

Paweł i Jezus!

– Nie mówiłem niczego takiego. Wcale nie mam mnóstwa pieniędzy.

– Niech mi pan je da! – mówi Nieczajew z błyskiem w oku, chwytając go za ramię. Znow u młodego człowieka daje się wyczuć strach. Nieszczęśnik: srogi, lecz przerażony!

– Nie dam. – Z premedytacją zamyka furtkę litości.

– Czemu pan jest taki skąpy? – wybucha Matriona,

wkładając w to słowo całą pogardę, jaką rozporządza.

– Nie jestem skąpy.

– Jak to nie?! Był pan skąpy wobec Pawła, a teraz jest pan skąpy wobec jego przyjaciół! Ma pan mnóstwo pieniędzy, lecz wszystko chowa dla siebie. – Zwraca się do Nieczajewa. – Płacą mu tysiące rubli za pisanie książek, a on trzyma je wszystkie dla siebie! To prawda! Paweł mi mówił!

– Nonsens! Paweł nie wiedział nic o sprawach pieniężnych.

– A właśnie, że wiedział! Zajrzał do pana biurka! Oglądał księgi rachunkowe!

– Do licha! On nie ma pojęcia o księgach rachunkowych. Widzi tylko to, co chce widzieć! Mam od lat długi, jakich nawet nie możesz sobie wyobrazić! – Zwraca się do Nieczajewa. – To śmieszna rozmowa. Nie mam pieniędzy, żeby panu dać. Powinien pan natychmiast wyjść.

Ale Nieczajew już się nie spieszy. Nawet się uśmiecha.

– Nie, to nie jest śmieszna rozmowa – mówi. – Wręcz przeciwnie, bardzo pouczająca. Zawsze podejrzewałem, że prawdziwym grzechem ojców, z którego nigdy się nie spowiadają, jest ich chciwość. Chcą wszystkiego dla siebie. Nie chcą przekazać sakiewek nawet wtedy, kiedy na to pora. Te sakiewki są dla nich wszystkim. Nic ich nie obchodzi, co się stanie. Ja nie wierzyłem temu, co mi mówił pana pasierb, bo słyszałem, że jest pan hazardzistą,

i myślałem, że hazardziści nie dbają o pieniądze. Ale hazard ma swoją drugą stronę, prawda? Powinienem był to dostrzec. Pan musi być rodzajem gracza, który gra, ponieważ nie jest nigdy zaspokojony, zawsze chce więcej.

To śmieszny zarzut. Przychodzi mu na myśl Ania, która liczy się z każdym groszem, żeby wystarczyło dla dziecka na jedzenie i ubranie. Myśli o własnych nicowanych kołnierzykach, o dziurach w skarpetkach. Myśli o listach, które pisuje rok po roku, poniżających listach, do Strachowa, Krajewskiego, Liubimowa, a zwłaszcza do Stellovskiego, zebrząc o zaliczkę. *Dostoevsky l'avare* – co za bzdura! Maca ręką w kieszeni, i wyciąga ostatnie ruble.

– Oto – wykrzykuje, podtykając je pod nos Nieczajewa – wszystko, co posiadam!

Nieczajew patrzy chłodno na wyciągniętą dłoń, potem jednym zagarniającym ruchem wyrywa mu pieniądze – wszystkie z wyjątkiem jednej monety, która wypada i wtacza się pod łóżko. Matriona daje po nią nurka.

On próbuje odebrać swoje pieniądze, nawet szamocze się z młodszym mężczyzną. Ale Nieczajew z łatwością odpiera jego atak i jednocześnie chowa pieniądze do kieszeni.

– Zaraz ... zaraz... zaraz – mruczy Nieczajew. – Wiem, że w głębi serca, Fiodorze Michajłowiczu, w głębi serca, ze względu na swojego syna, pragnie pan dać mi te pieniądze. – I robi krok w tył, wygladzając na sobie garnitur, jakby chciał się nim pochwalić.

Co za pozer! Co za hipokryta! Ładna mi Zemsta Ludu! Nie może jednak zaprzeczyć, że do serca wkrada mu się pewna radość, radość, którą rozpoznaje, radość męża rozrzutnika. Oczywiście, że są one czymś, czego należy się wstydzić, te jego lekkomyślne eskapady. Oczywiście, że kiedy wraca do domu zgrany do ostatniego grosza, wyznaje wszystko żonie i ze schyloną głową wysłuchuje jej reprymendy, po czym przysięga, iż to się już nigdy nie powtórzy, jest szczery. Ale na dnie serca, pod szczerością, gdzie tylko Bóg widzi, wie, że on ma słuszość, a ona nie. Pieniądze są po to, aby je wydawać, a jaka jest czystsza forma wydawania od hazardu?

Matriona stoi z wyciągniętą ręką. W otwartej dłoni trzyma monetę pięćdziesięciokopiejkową. Wygląda na to, że nie wie, komu ją dać. Popycha jej dłoń ku Nieczajewowi.

– Daj jemu, on jej potrzebuje. – Nieczajew chowa monetę do kieszeni.

Dobrze. Zrobione. Teraz on z kolei zajmuje pozycję cnoty bez grosza przy duszy, natomiast Nieczajew winien wysłuchać jego wyrzutów ze zwieszoną głową. Ale co ma do powiedzenia? Nic, zupełnie nic.

Nieczajew też nie ma ochoty czekać. Zwija niebieską suknię.

– Znajdź jakieś miejsce, żeby to schować – poucza Matrionę – ale nie w mieszkaniu... gdzieś indziej. – Wręcza też jej kapelusz i perukę, następnie wsuwa mankiety spodni w cholewki trzewików, wkłada płaszcz, głaszcze się

z roztargnieniem po głowie.

– Straciłem za dużo czasu – mruczy. – Ma pan... ? –
Chwyta z krzesła futrzaną czapkę i rusza do drzwi. Potem
coś sobie przypomina i odwraca się.

– Ciekawy z pana człowiek, Fiodorze Michajłowiczu.
Gdyby pan miał córkę w odpowiednim wieku, mógłbym
się z nią ożenić. Byłaby wyjątkową dziewczyną. Pański
pasierb, to zupełnie inna sprawa, wcale do pana
niepodobny. Nie jestem pewien, czy wiedziałbym, co
z nim robić. On nie miał, wie pan, tego, co potrzeba. Takie
jest moje zdanie.

– A czego potrzeba?

– On był troszeczkę za święty. Ma pan rację, że pali
przed nim świece.

Mówiąc to, porusza od niechcienia dłonią nad
świeczką, co powoduje chwiecie się płomienia. W pewnej
chwili wkłada palec w ogień i tak trzyma. Mijają sekundy:
jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta. Wyraz jego twarzy się
nie zmienia. Jest jak w transie.

Cofa rękę.

– Oto czego nie miał. Był trochę lalusiem.

Obejmuje ramieniem Matryonę, przyciska do siebie.

Ona odnosi się do tego bez rezerwy, przyciska swoją
blond główkę do jego piersi, odwzajemnia mu uścisk.

– *Wachsam, wachsam!* – szepce Nieczajew znacząco
i kiwa mu nad jej głową poparzonym palcem. Potem
wychodzi.

Mija chwila, zanim te dziwne sylaby zaczynają

tworzyć jakiś sens. Nawet po rozpoznaniu słowa, na jakie się składają, nie może zrozumieć. Czujny: w związku z czym?

Matriona stoi przy oknie, wyglądając na ulicę. W oczach ma łzy, ale jest zbyt podniecona, aby być smutna.

– Myśli pan, że nic mu się nie stanie? – a potem nie czekając na odpowiedź – Może pójść z nim? On by mógł udawać ślepego, a ja, że go prowadzę.

Ale to tylko przelotna myśl. On stoi tuż za nią. Jest niemal ciemno, zaczyna padać śnieg, wkrótce wróci jej matka.

– Lubisz go? – pyta.

– Mm.

– Wiedzie ruchliwy żywot, prawda?

– Mm.

Ledwie go słucha. Cóż to za nierówna walka! Jakże ma współzawodniczyć z tymi młodymi ludźmi, którzy przybywają znikąd i tamże znikają, tchnąć tajemniczością i przygodą? Ruchliwe życie: to ona powinna być *wachsam*.

– Czemu go tak bardzo lubisz, Matriosza?

– Bo jest najlepszym przyjacielem Pawła Aleksandrowicza.

– Czy to prawda? – wyraża łagodny sprzeciw. – Uważam, że to właśnie ja jestem najlepszym przyjacielem Pawła Aleksandrowicza. Będę nadal jego przyjacielem, gdy wszyscy inni o nim zapomną. Jestem jego przyjacielem na całe życie.

Dziewczynka odwraca się od okna i patrzy na niego jakoś dziwnie, jakby chcąc coś powiedzieć. Ale co? „Pan jest tylko ojczymem Pawła Aleksandrowicza”? A może coś zupełnie innego: „Nie mów takim głosem, kiedy rozmawiasz ze mną”?

Odgarniając włosy z twarzy gestem wyrażającym, jak się już zdążył zorientować, zakłopotanie, dziewczynka usiłuje dać nurka pod jego ramieniem. Powstrzymuje ją, zagradzając swoim ciałem drogę.

– Ja muszę... – szepce Matriona –...muszę schować to ubranie.

Przetrzymuje jeszcze chwilę, aby odczuć jej bezradność. Potem odstępkuje na bok.

– Wrzucić je do ubikacji – mówi. – Nikt tam nie zajrzy.

Dziewczynka marszczy nos.

– Wrzucić? – pyta. – W...?

– Tak. Zrób, jak mówię. Albo daj mi je i wracaj do łóżka. Zrobię to za ciebie.

Nie za Nieczajewa. Za ciebie.

Zawija ubranie w ręcznik i przekrada się na dół do ubikacji. Tu jednak się rozmyśla. Ubranie wśród ludzkich odchodów: a jeśli nie docenia nocnych sprzątaczy nieczystości?

Widzi, że stróż mu się przygląda ze swojego pomieszczenia, więc skręca w stronę ulicy. Wówczas zdaje sobie sprawę, że jest bez palta. Wracając po schodach na górę, nagle staje twarzą w twarz z Amalią Karłówną, staruszką z pierwszego piętra. Staruszka trzyma w ręku

talerz z ciasteczkami cynamonowymi, jakby chcąc go poczęstować.

– Dzień dobry panu – mówi ceremonialnie. On mruczy coś w odpowiedzi i przemyka obok.

Czego szuka? Jakiejś dziury, szczeliny, do której mógłby wsadzić to zawiniątko, które tak nagle i nieodwracalnie stało się jego zawiniątkiem – wsadzić i o nim zapomnieć. Bez powodu i przyczyny stał się oto kimś takim, jak dziewczyna z martwo urodzonym dzieckiem albo morderca z zakrwawioną siekierą. Znów wzrasta w nim gniew na Nieczajewa. **Czemu tak ryzykuję dla ciebie, chce wykrzyknąć, który jesteś dla mnie niczym?** Ale jest już za późno. W chwili gdy wziął to zawiniątko z rąk Matriony, zaszła zmiana. Nie ma już powrotu do przedtem.

W końcu korytarza, gdzie jeden z pokoi jest pusty, leży kupa gruzu i tynku. Trąca ją bez przekonania noskiem buta. Robotnik przerywa tynkowanie i patrzy na niego podejrzliwie przez otwarte drzwi.

Przynajmniej nie ma żadnego Iwanowa, który by go śledził. Ale może Iwanowa zastąpił ktoś inny? Może właśnie ten robotnik jest opłacany, by mieć go na oku? Albo dozorca?

Wtyka zawiniątko pod surdut i znów kieruje się na ulicę. Wiatr jest jak lodowa ściana. Na pierwszym rogu zawraca, potem znów zawraca. Jest teraz w tym samym ślepych zaułku, gdzie znalazł psa. Dzisiaj psa nie ma. Czy ten pies zdechł tamtej nocy, gdy go pozostawił?

Umieszcza zawiniątko w rogu. Loki przypięte do kapelusza rozwiewają się na wietrze, zarówno komicznie, jak złowrogo. Skąd Nieczajew wytrzasnął te loki – od której ze swoich siostrzyczek? Ile on ma tych siostrzyczek, chętnych obciąć dla niego swoje dziewczęce loki? Usuwając szpilki, próbuje na próżno rozerwać kapelusz na dwoje, potem zgniata go i wtyka w rynnę, do której był przywiązany pies. Usiłuje zrobić to samo z suknią, ale rynna jest za wąska. Czuje czyjś wzrok na plecach. Odwraca się. Z okna na drugim piętrze przygląda mu się dwoje dzieci, a za dziećmi majaczy cień kogoś trzeciego, wyższego.

Stara się wyciągnąć kapelusz z rynny, ale nie może go dosięgnąć. Przeklina własną głupotę. Przy zatkanej rynnie woda będzie się przelewała wierzchem. Ktoś zbada sprawę i znajdą kapelusz. A kto wpycha kapelusz w rynnę, jeśli nie ten, co ma nieczyste sumienie?

Znowu wspomina Iwanowa – Iwanowa zwanego Iwanowem tak często, że to nazwisko przywarło do niego jak kapelusz. Iwanow został zamordowany. Ale Iwanow nie nosił ani męskiego, ani kobiecego kapelusza. Toteż nie można go powiązać z Iwanowem. Z drugiej zaś strony, czy nie mógłby to być kapelusz morderczyni Iwanowa? Jakże łatwo jest kobiecie zabić mężczyznę: zwabić go w zaułek, dać się ścisnąć przy ścianie, a potem, w szczytowym momencie, namacać odpowiednie miejsce i wbić szpilkę od kapelusza w serce – szpilkę od kapelusza, która zostawia nie ranę, lecz ślad po ukłuciu.

Kłęka w rogu, gdzie cisnął szpilki, ale jest za ciemno, aby móc je znaleźć. Potrzebuje świecy. Ale czy płomyk świecy utrzyma się na tym wietrze?

Jest taki zmęczony, że trudno mu się podnieść na nogi. Czyżby był chory? Może zaraził się czymś od Matriony? A może zbliża się nowy atak? Czy to kompletne wyczerpanie zapowiada właśnie atak?

Stojąc na czworakach, z uniesioną głową, wężąc w powietrzu jak dzikie zwierzę, próbuje skupić uwagę na horyzoncie wewnątrz siebie. Lecz jeśli to, co przejmuje nad nim władzę, jest atakiem, ogarnia również jego zmysły. Są otepiałe jak jego dłonie.

14. POLICJA

Nie wziął z sobą klucza, więc musi zastukać do drzwi. Otwiera mu Anna Siergiejewna i patrzy ze zdziwieniem.

– Spóźniłeś się na pociąg? – pyta. Potem spostrzega jego stan – trzęsące się ręce, krople ciekące z brody. – Czy się coś stało? Jesteś chory?

– Nie, nie chory. Odłożyłem wyjazd. Później wszystko wytłumaczę.

W pokoju jest ktoś jeszcze, przy łóżku Matriony: widocznie jakiś lekarz, młody, gładko ogolony na modłę niemiecką. Trzyma w ręku brązową buteleczkę z apteki, wacha jej zawartość, potem korkuje z dezaprobata. Zatrzaskuje torbę i zaciąga zasłonę oddzielającą alkowę od pokoju.

– Stwierdziłem, że córka ma zapalenie oskrzeli – mówi, zwracając się do niego. – Płuca ma zdrowe. Jest jeszcze...

Przerywa mu.

– To nie moja córka. Ja tu jestem tylko lokatorem.

Wzruszając ze zniecierpliwieniem ramionami, lekarz zwraca się ponownie do Anny Siergiejewny.

– Jest jeszcze.. nie mogę tego nie powiedzieć.. pewien element hysterii.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że póki będzie w stanie takiego podniecenia jak teraz, póty nie możemy oczekiwać

należytej poprawy. To podniecenie jest częścią jej dolegliwości. Ona się musi uspokoić. Jeżeli to osiągniemy, będzie mogła już po kilku dniach wrócić do szkoły. Jest fizycznie zdrowa, jej organizmowi nic nie dolega. A więc jako kurację zalecam przede wszystkim spokój, ciszę i spokój. Powinna leżeć w łóżku i jeść tylko lekkie posiłki. Proszę unikać podawania mleka w jakiegokolwiek postaci. Zostawiam środek do nacierania klatki piersiowej i środek nasenny na uspokojenie. Proszę jej dawać dziecienną dawkę, pół łyżeczki od herbaty.

Zaraz po wyjściu lekarza próbuje się wytłumaczyć. Lecz Anna Siergiejewna nie jest w nastroju do słuchania.

– Matriosza mówi, że na nią krzyczałeś! – przerywa mu pełnym napięcia szeptem. – Nie pozwałam na to!

– To nieprawda! Wcale na nią nie krzyczałem! – Mimo że mówią szeptem, jest pewien, że Matriona, za zasłonką, słyszy i się rozkoszuje. Bierze więc Annę Siergiejewnę pod ramię, prowadzi do swego pokoju i zamyka drzwi. – Słyszałaś, co powiedział doktor... ona jest nadmiernie podniecona. Przecież nie można wierzyć każdemu jej słowu w tym stanie. Czy powiedziała ci o wszystkim, co się tu zdarzyło dziś rano?

– Mówi, że przyszedł przyjaciel Pawła, a ty byłeś dla niego bardzo nieuprzejmy. O to ci chodzi?

– Tak...

– Więc daj mi skończyć. Nie obchodzi mnie, co jest między tobą a przyjaciółmi Pawła. Ale ty straciłeś cierpliwość wobec Matrioszy i byłeś dla niej surowy. Tego

już me zniosę.

– Przyjaciel, o którym ona mówi, to Nieczajew, Nieczajew we własnej osobie. Czy wspomniała o tym? Nieczajew, uciekinier przed sprawiedliwością, był dzisiaj tu, w twoim mieszkaniu. Możesz mnie winić, że byłem zły na nią, że go wpuściła, a potem opowiedziała się po jego stronie, tego aktora, hipokryty, przeciwko mnie.

– Niemniej nie masz prawa się na nią złościć! Skąd ona może wiedzieć, że Nieczajew to zły człowiek? Skąd ja mam wiedzieć? Mówisz, że on jest aktorem. A ty? Jak ty się zachowujesz? Czy przez cały czas jesteś szczery? Nie sądzę.

– Chyba nie mówisz serio. Zawsze jestem szczery. Kiedyś może nie byłem, ale teraz... teraz przede wszystkim jestem szczery. Naprawdę.

– Teraz? Czemu nagle teraz? Czemu powinnam ci wierzyć? Czemu miałbyś wierzyć sam sobie?

– Bo nie chcę, żeby Paweł się mnie wstydził.

– Paweł? Paweł nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie chcę, żeby się Paweł wstydził swego ojca teraz, kiedy wszystko widzi. To właśnie się zmieniło: teraz wszystko ma swoją miarę, łącznie z prawdą, i tą miarą jest Paweł. A co do złośczenia się na Matryonę, jest mi bardzo przykro, bardzo tego żałuję i przeproszę ją. Jednak jak z pewnością wiesz – rozkłada szeroko ręce – Matryona mnie nie lubi.

– Ona nie pojmuje, co ty tutaj robisz, i to wszystko. Rozumiała, czemu Paweł u nas mieszkał, mieszkali u nas

studenci i przedtem, ale człowiek starszy to zupełnie co innego. Dla mnie też staje się to trudne. Nie chcę cię wyrzucać, Fiodorze Michajłowiczu, ale muszę przyznać, że gdy powiedziałaś, że dzisiaj wyjeżdżasz, odczułam ulgę. Przez cztery lata żyłyśmy sobie z Matrioną bardzo spokojnie. Nie dopuszczałyśmy, aby lokatorzy nam ten spokój zakłócali. Teraz, od śmierci Pawła, wszystko jest jednym wielkim zamętem! Nie jest to dobre dla dziecka. Matriona nie byłaby dziś chora, gdyby atmosfera w domu nie była tak niemożliwa do przewidzenia. To, co powiedział doktor, jest prawdą: ona jest podniecona, a podniecenie czyni dziecko podatnym na ciosy.

Czeka, aż ona dojdzie do tego, co z całą pewnością jest sednem tej sprawy: że Matriona wie, co dzieje się między matką a nim, i jest w szale zazdrości. Lecz wydaje się, że nie jest jeszcze gotowa to wyjawić.

– Przepraszam za zamieszanie, przepraszam za wszystko. Nie mogłem wyjechać dziś wieczorem, tak jak planowałem... nie będę mówił o przyczynach, są nieważne. Pozostanę tutaj jeszcze dzień, najwyżej dwa, póki przyjaciele nie wesprą mnie pieniędzmi. Potem zapłacę ci, co jestem winien, i wyjadę.

– Do Drezna?

– Do Drezna albo gdzie indziej... jeszcze nie wiem.

– Doskonale, Fiodorze Michajłowiczu. Ale co do pieniędzy, ustalmy już teraz, że nie jesteś mi nic winien. Nie chcę być na liście ludzi, u których jesteś zadłużony.

Jest w jej gniewie coś, czego on nie rozumie. Nigdy

jeszcze nie raniła go tak słowami.

Natychmiast siada, żeby napisać do Majkowa. „Zdziwisz się na wieść, drogi Apollonie Grigoriewiczu, że wciąż przebywam w Petersburgu. Mam nadzieję, że już ostatni raz jestem zmuszony odwołać się do Twojej dobroci. Otóż znajduję się w takich tarapatach, że nie posiadam środków na opłacenie zajmowanego pokoju, nie mówiąc o powrocie do domu, i pozostaje mi chyba zastawić płaszcz. Dwieście rubli wybawiłoby mnie z kłopotów”.

Do żony zaś pisze: „Dałem się głupio naciągnąć przyjacielowi Pawła na pożyczkę. Majkow będzie znów musiał mi przyjść na ratunek. Zadepeszuję, kiedy tylko wywiążę się ze zobowiązań”.

A więc wina znów zostaje przeniesiona na szczodre serce Fiedii...

Rozlega się głośnie stukanie do drzwi mieszkania. Zanim Anna Siergiejewna zdążyła je otworzyć, on już jest przy mej.

– To na pewno policja – szepce – tylko oni przychodzą o tej porze. Ja się nimi zajmę, ty zostań z Matrioną. Niech oni lepiej jej nie wypytują.

Otwiera drzwi. Przed nim stoi Finka, a po obu jej bokach dwaj policjanci w granatowych mundurach. Jeden z policjantów jest oficerem.

– Czy to ten człowiek? – pyta oficer.

Dziewczyna kiwa głową.

Wchodzą do środka, pchając przed sobą dziewczynę.

Jest wstrząśnięty zmianą w jej wyglądzie. Twarz ma białą jak ściana i porusza się jak marionetka.

– Czy możemy przejść do mojego pokoju? – mówi.

– Tu jest chore dziecko.

Oficer przechodzi wielkimi krokami przez pokój i jednym szarpnięciem odsuwa zasłonę. Ukazuje się za nią Anna Siergiejewna pochylona opiekuńczo nad córką. Odwraca się z płonącymi oczyma.

– Zostaw nas w spokoju! – syczy.

Oficer wolno zasuwa zasłonę.

Wchodzą teraz do jego pokoju. W szuraniu nóg Finki jest coś znajomego. Potem spostrzega: Finka ma nogi skute łańcuchem.

Oficer przygląda się kapliczce i portretowi.

– Kto to jest?

– Mój syn.

Stało się coś złego z kapliczką, coś się w niej zmieniło. Krew stygnie mu w żyłach, kiedy spostrzega, co to.

Zaczyna się badanie.

– Czy był tutaj dzisiaj człowiek, nazwiskiem Siergiej Giennadiewicz Nieczajew?

– Osoba, którą podejrzewam o to, że jest Nieczajewem, ale nie posługująca się tym nazwiskiem, była tutaj, owszem.

– Jakim nazwiskiem się posługiwał?

– Kobięcym. Był przebrany za kobietę. Miał na sobie ciemny płaszcz i granatową sukienkę.

– A czemu ta osoba pana odwiedziła?

– Żeby poprosić o pieniądze.
– I z żadnych innych powodów?
– O ile wiem, z żadnych. Nie jestem jego przyjacielem.

– Dał mu pan te pieniądze?
– Odmówiłem. Jednakże sam wziął, co miałem, a ja go nie powstrzymałem.

– To znaczy, że ograbił pana?
– Wziął pieniądze wbrew mojej woli. Nie uważałem za rozropne próbować je odzyskać. Jeśli pan chce, może to pan nazwać grabieżą.

– Ile ich było?

– Około trzydziestu rubli.

– Co się jeszcze zdarzyło?

Spogląda ukradkiem na Finkę. Jej usta drżą bezgłośnie. To, co jej zrobili, odkąd wpadła w ich ręce, całkowicie zmieniło jej zachowanie. Stoi jak zwierzę rzeźne w oczekiwaniu na topór, który ma spaść na jej głowę.

– Mówiliśmy o moim synu. Nieczajew był przyjacielem mojego syna, czymś w rodzaju przyjaciela. W ten sposób poznał ten dom. Mój syn wynajmował tu pokój. Inaczej Nieczajew by tu nie przychodził.

– Co to znaczy: „inaczej by tu nie przychodził”? To znaczy, że spodziewał się tu zastać pana syna?

– Nie. Żaden z przyjaciół nie spodziewa się zobaczyć więcej mego syna. Chodzi o to, że Nieczajew nie przyszedł tu szukać u mnie współczucia, ale powołać się na tę dawną

przyjaźń.

– Tak, wszyscy wiemy o karygodnych powiązaniach pana syna.

Wzrusza ramionami.

– Niekoniecznie karygodnych, niekoniecznie powiązaniach... może jedynie przyjaźniach. Ale zostawmy to. Jest to kwestia, która nigdy nie zostanie rozstrzygnięta.

– Czy wie pan, dokąd Nieczajew się udał po wyjściu stąd?

– Nie mam pojęcia.

– Proszę mi pokazać swoje papiery.

Podaje mu paszport – własny, nie Isajewa. Oficer chowa paszport do kieszeni i nakłada czapkę.

– Jutro rano zamelduje się pan w komisariacie na ulicy Sadowej celem złożenia pełnego oświadczenia. Będzie się pan meldował w tym komisariacie codziennie przed południem, przez siedem dni w tygodniu, aż do odwołania. Nie będzie pan opuszczał Petersburga. Czy to jasne?

– A na czyj koszt mam tu pozostawać?

– To nie moja sprawa.

Daje znak podwładnemu, żeby wyprowadził więźnia. Ale przy drzwiach frontowych Finka, która aż do tej pory nie wyrzekła ani słowa, buntuje się.

– Jestem głodna! – mówi prosząco, a gdy policjant próbuje siłą ją wypchnąć za drzwi, zapiera się nogami i rękami o framugę. – Jestem głodna! Chcę czegoś do jedzenia!

Jest coś płaczliwego i rozpaczliwego w jej krzyku.

I choć Anna Siergiejewna stoi bliżej niej, prośba jest nieomylnie skierowana do dziewczynki, która cichutko wysliznęła się z łóżka i stoi, przyglądając się z paluchem w buzi.

– Ja to zrobię – mówi Matriona i błyskawicznie rzuca się w stronę kredensu. Wraca z kromką żytniego chleba i ogórkiem, daje też Fince swoją portmonetkę. – Weź to wszystko! – mówi z podnieceniem i wkłada jedzenie i pieniądze w ręce Finki.

– Żadnych pieniędzy! – sprzeciwia się ostro policjant i każe zabrać portmonetkę.

Finka, która po chwili buntu zapadła ponownie w bierność, nie powiedziała ani słowa podziękowania. Tak jakby, przemyka mu przez głowę, zdeptano w niej jakąś iskrę. Czy rzeczywiście ją bito... lub jeszcze gorzej? I czy Matriona jest w jakiś sposób tego świadoma? Czy to właśnie jest źródłem jej litości? Jak takie dziecko może coś podobnego wiedzieć?

Natychmiast po ich wyjściu wraca do swego pokoju, zdmuchuje świecę, kładzie ikonę, rysunek i świecę na podłodze i zdejmuje trójkolorową flagę okrywającą stół. Następnie wraca do pokoju gospodyni. Anna Siergiejewna siedzi przy łóżku u Matriony i szyje. On rzuca flagę na łóżko.

– Jeżeli sam zacznę mówić do twojej córki, na pewno wpadnę w złość – twierdzi – więc może ją zapytasz, jak to się znalazło w moim pokoju.

– O czym ty mówisz? Co to jest?

– Zapytaj ją.

– To jest flaga – mówi Matriona ponuro.

Anna Siergiejewna rozpościera flagę na łóżku. Ma ona ponad metr długości i jest wyraźnie często używana, gdyż jej barwy – równe pionowe pasy bieli, czerwieni i czerni – są wyblakłe i spłowiałe. Gdzie oni mogli ją wywieszać? Z dachu zakładu Madame La Fay?

– Czyja to flaga? – pyta Anna Siergiejewna.

On czeka, aż odpowie dziewczynka.

– Ludu. To flaga ludu – mówi wreszcie Matriona niechętnie.

– Dość tego – mówi Anna Siergiejewna. Całuje córkę w czoło. – Pora spać. – Zaciąga zasłonę.

W pięć minut później wchodzi do jego pokoju, niosąc złożoną w mały kwadracik flagę.

– O co tu chodzi? – pyta.

– Trzymasz w ręku flagę organizacji Zemsta Ludu. To flaga powstania. Jeżeli chcesz, żebym ci wyjaśnił, co znaczą te kolory, chętnie to zrobię. Albo zapytaj Matrionę, ona z pewnością wie. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej prowokacyjnego lub inkryminującego jak jej ukazanie. Matriona rozłożyła ją pod moją nieobecność u mnie w pokoju, gdzie mogła ją zobaczyć policja. Nie rozumiem, co wstąpiło w tę dziewczynkę. Czyżby oszalała?

– Nie mów o niej w ten sposób! Ona nie wiedziała, że przyjdzie policja. A jeśli ta flaga robi tak wiele zamętu, wezmę ją i spalę.

– Spalisz? – Jest zdumiony. Jakie to proste! Czemu nie

spalił granatowej sukienki?

– Ale pozwól, że ci powiem – dodaje – to musi być koniec całej sprawy, absolutny koniec. Wciągasz Matryonę w rzeczy, które nie powinny obchodzić dzieci.

– Całkowicie się zgadzam. Ale to nie ja ją wciągam. To Nieczajew.

– Jaka różnica? Nie byłoby go tutaj, gdyby nie ty.

15. PIWNICA

W nocy napadało dużo śniegu. Wychodząc na ulicę, jest oślepiiony tą nagłą bielą. Staje i kuli się owładnięty wrażeniem wirowania nie z lewa na prawo, lecz z góry na dół. Czuje, że jeśli spróbuje się ruszyć, przechyli się do przodu i upadnie.

Może to być jedynie zwiastunem ataku. Już od wielu dni atak zapowiada swoje nadejście okresami nudności, kołataniem serca, wyczerpaniem i drażliwością, ale nie przychodzi. Jeżeli nie można nim nazwać całości stanu, w jakim żyje.

Stojąc przy bramie numeru 63, pochłonięty tym, co dzieje się w jego wnętrzu, nie słyszy nic, póki ktoś nie chwyta go mocno za ramię. Zaskoczony otwiera oczy. Znajduje się twarzą w twarz z Nieczajewem.

Nieczajew uśmiecha się, ukazując zęby. Jego krosty są zaczerwienione z zimna. On chce mu się wyrwać, ale Nieczajew tylko mocniej go przytrzymuje.

– To szaleństwo – mówi do Nieczajewa. – Powinien pan być opuścić Petersburg, kiedy pan mógł. Z całą pewnością pana złapią.

Nieczajew obraca go, chwytając jedną ręką za przedramię, a drugą za przegub dłoni. Bok przy boku, jak oporny pies i jego pan idą ulicą Swiecznoj.

– Ale zapewne skrycie pan chce zostać złapany.

Nieczajew ma na głowie czarną czapkę, której

nauszniki trzęsą się, kiedy potrząsa głową. Mówi cierpliwym, śpiewnym tonem:

– Pan zawsze przypisuje ludziom jakieś perwersyjne motywy, Fiodorze Michajłowiczu. Ludzie nie są tacy. Niech się pan zastanowi: czemu miałbym chcieć zostać złapany i zamknięty w więzieniu? Poza tym, kto spojrzy drugi raz na taką parę jak my, ojciec i syn na spacerze? –

I przywołuje na twarz uśmiech wyraźnego zadowolenia.

Kiedy dochodzą do końca Swiecznoj, lekkim pchnięciem Nieczajew skierowuje go w prawo.

– Czy wie pan, co teraz przeżywa pana przyjaciółka?

– Moja przyjaciółka? Chodzi o tę Finkę? Ona się nie załamie, ufam jej.

– Nie mówiłby pan tak, gdyby pan ją widział.

– A pan ją widział?

– Policja przyprowadziła ją do mego mieszkania, żeby mnie wskazała.

– Nie szkodzi, ja się o nią nie obawiam, jest dzielna, spełni swój obowiązek. Czy miała okazję porozumieć się z córeczką pana gospodyni?

– Z Matrioną? Z jakiego powodu?

– Z żadnego, żadnego. Ona lubi dzieci. Sama jest dzieckiem: bardzo prosta, prostoduszna.

– Byłem przesłuchiwany przez policję. Będę przesłuchiwany jeszcze. Niczego nie zatałem. Niczego nie zataję. Ostrzegam: nie może pan wykorzystywać Pawła przeciwko mnie.

– Wcale nie muszę wykorzystywać Pawła przeciwko panu. Mogę wykorzystać pana przeciwko panu samemu.

Znajdują się na ulicy Sadowej, w sercu Rynku Siennego. Zapiera się piętami i staje.

– Pan dał Pawłowi spis ludzi, których chce zabić – mówi.

– Rozmawialiśmy już o tym... nie pamięta pan? To jedna z wielu list. Wielu kopii wielu list.

– To nie moja sprawa. Ja chcę wiedzieć...

Nieczajew odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem.

Z jego ust bucha obłoczek pary.

– Pan chce wiedzieć, czy też jest na którejś!

– Chcę wiedzieć, czy dlatego Paweł poróżnił się z panem... że zobaczył mnie na jednej z nich i odmówił zgody.

– Cóż za nedorzeczna myśl, Fiodorze Michajłowiczu! Oczywiście, nie ma pana na żadnej z list! Jest pan zbyt cenną na to osobą. A w każdym razie, mówiąc między nami, nie jest wcale ważne, jakie nazwiska trafiają na listę. Ważne jest, aby ci, którzy je noszą, wiedzieli, że kara jest bliska, i żeby im się portki trzęsły ze strachu. Ludzie to rozumieją i pochwalają. Ludzi nie interesują indywidualne wypadki. Oni cierpią od niepamiętnych czasów i chcą teraz, aby z kolei zaczęli cierpieć ich ciemżyciele. Więc niech się pan nie martwi. Pana czas jeszcze nie nadszedł. W rzeczywistości bardzo radzi bylibyśmy ze współpracy takich ludzi jak pan.

– Takich ludzi jak ja? A który jest taki jak ja?

Oczekuje pan, że będę pisał dla pana pamflety?

– Nigdy w świecie. Pana talent nie jest do pisania pamfletów, jest pan na to za szczery. Chodźmy, przejdźmy się. Chcę pana gdzieś zaprowadzić. Chcę zasiać ziarno w pana duszy.

Nieczajew bierze go za ramię i idą dalej ulicą Sadową. Z przeciwnej strony zbliżają się dwaj oficerowie dragonów w oliwkowozielonych szynelach. Nieczajew ustępuje im z drogi, wesoło unosząc dłoń do czapki. Oficerowie odpowiadają mu kiwnięciem głowy.

– Czytałem pana książkę *Zbrodnia i kara* – ciągnie Nieczajew. – To ona mi podsunęła ten pomysł. Znakomita książka. Nigdy nie czytałem czegoś podobnego. Chwilami przerażała mnie. Choroba Raskolnikowa i tak dalej. Na pewno słyszał pan wiele pochwał na temat tej powieści. A mimo to... – Tutaj uderza się dłonią w pierś, potem, jakby wrywając sobie serce, wyrzuca rękę przed siebie. Niezwykłość tego gestu widać go uderza, bo czerwienieje.

Jest to pierwszy nieobliczalny gest, jaki zobaczył u Nieczajewa, i ten gest go zaskakuje. Dziewicze serce, myśli, samo siebie wprawiające w zakłopotanie własnymi odruchami. Jak ten twór doktora Frankenstein'a powstający do życia. Odczuwa pierwszy odruch litości dla tego sztywnego, niemilego młodego człowieka.

Są teraz głęboko w dzielnicy Siennej. Nieczajew wiezie go wąskimi uliczkami zastawionymi kramami i wózkami, przez cuchnący tłum.

Zatrzymują się w jakimś wejściu. Nieczajew wyjmuje

z kieszeni granatowy wełniany szal.

– Muszę pana prosić, aby pan pozwolił zawiązać sobie oczy – mówi.

– Dokąd mnie pan prowadzi?

– Chcę panu coś pokazać.

– Ale dokąd mnie pan prowadzi?

– Tam, gdzie obecnie mieszkam, do ludzi. Tak będzie łatwiej dla nas obu. Będzie pan mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że nie wie, gdzie mnie szukać.

Mając zawiązane oczy, może ponownie zanurzyć się w luksus oszołomienia. Idzie prowadzony przez Nieczajewa, popychany i potrącany przez mijających go ludzi, a raz nawet traci równowagę i trzeba mu pomóc się podnieść.

Skrecają w bok, na jakiś dziedziniec. Z tawerny dochodzą śpiewy, brzdąkanie gitary, wesole okrzyki. W powietrzu woń rysztołów i rybich odpadków.

Nieczajew naprowadza mu rękę na poręcz.

– Uwaga na głowę – mówi. – Tu jest tak ciemno, że odsłonięcie oczu i tak nic by nie dało.

Stąpa, szurając nogami po schodach jak starzec. Skądś dobiega odgłos kapiącej wody. Jest tak, jakby schodzili w głąb jaskini.

– Jesteśmy – mówi Nieczajew. – Uwaga na głowę.

Zatrzymują się. Nieczajew rozwiązuje mu szal. Znajdują się u stóp nieoświetlonych drewnianych schodów. Przed nimi są zamknięte drzwi. Nieczajew stuka w nie najpierw cztery, potem trzy razy. Czekają. Żadnego

oddźwięku prócz kapania wody. Nieczajew powtarza pukanie. Żadnej odpowiedzi.

– Będziemy musieli zaczekać – mówi. – Proszę za mną.

Puka do drzwi po drugiej stronie schodów, otwiera je pchnięciem, odstepuje na bok.

Znajdują się w piwnicy tak niskiej, że musi się schylić, i oświetlonej jedynie małym, zaklejonym papierem okienkiem na wysokości głowy. Podłoga jest kamienna i stojąc na niej, czuje chłód wpełzający przez buty. Przy ścianach biegną rury. Czuć zapach wilgotnego tynku, wilgotnej cegły. Chociaż tak nie jest, wydaje się, że po ścianach spływają płachty wody.

Wzdłuż dalszej ściany jest rozciągnięty sznur, na którym wisi pranie równie wilgotne i szare jak samo pomieszczenie. Pod sznurem z bielizną stoi łóżko, na którym siedzi troje dzieci w identycznych pozach: plecami do ściany, z kolanami podciągniętymi pod brodę i z ramionkami obejmującymi kolana. Nogi mają bose, ubrane są w lniane koszule. Naj starsze z nich to dziewczynka. Włoski ma brudne i zmierzwione, a pod nosem śluz, który zlizuje ospale. Z pozostałych jedno to zupełny berbeć. Żadne z nich się nie rusza ani nie odzywa. Patrzą na intruzów kaprawymi oczyma, w których nie ma zaciekawienia.

Nieczajew zapala świecę i stawia w zagłębieniu w ścianie.

– Czy to tu pan mieszka?

– Nie. Ale to nieważne. – Zaczyna chodzić tam i z powrotem. Znowu sprawia wrażenie zamkniętego w klatce. Wyobraża sobie Pawła obok niego. Paweł nie był takim zapaleńcem. Już nie tak trudno zrozumieć, czemu Paweł zaakceptował go jako swojego przywódcę.

– Powiem panu, czemu pana tu przyprowadziłem, Fiodorze Michajłowiczu – zaczyna Nieczajew. – W pomieszczeniu obok mamy drukarnię... ręczną drukarnię. Oczywiście nielegalną. Ten idiota, który ma do niej klucz, musiał gdzieś wyjść, chociaż obiecał, że będzie. Proponuję panu korzystać z tej drukarni, póki nie wyjedzie pan z Petersburga. Cokolwiek pan zechce napisać, możemy w ciągu kilku godzin rozprowadzić w tysiącach egzemplarzy. W takim jak ten czasie, kiedy jesteśmy na krawędzi rzeczy wielkich, pana wkład może odnieść wielki skutek. Pana nazwisko cieszy się ogromnym szacunkiem zwłaszcza wśród studentów. Jeśli pan napisze pod własnym nazwiskiem o tym, jak pana pasierb stracił życie, wówczas spowoduje pan, że studenci w świętym oburzeniu wyjdą na ulice. – Zatrzymuje się i staje przed nim twarzą w twarz. – Bardzo mi przykro, że Paweł Isajew nie żyje. Był dobrym towarzyszem. Ale nie możemy patrzeć jedynie w przeszłość. Musimy spożytkować jego śmierć dla wzniesienia ognia. On by się ze mną zgodził. Nakłaniałby pana do wykorzystania pana gniewu w słusznej sprawie.

W chwili wypowiedzania tych słów jakby zdaje sobie sprawę, że posunął się za daleko.

– To znaczy pana smutku i gniewu. Tak, aby jego śmierć nie poszła na marne.

Wzniesienie ognia: tego już za wiele! Odwraca się, chcąc odejść. Ale Nieczajew chwyta go, zatrzymuje.

– Jeszcze nie może pan odejść! – mówi przez zaciśnięte zęby. – Jak pan może porzucić Rosję i wracać do godnego wzgardy burżuazyjnego życia? Jak pan może ignorować taki widok – omiata ruchem ręki piwnicę – widok, który można pomnożyć tysiąckrotnie, milionkrotnie w całym kraju? Co się z panem stało? Czy nie została w panu nawet iskra? Nie widzi pan, co ma pan przed oczyma?

On odwraca się i patrzy na tę wilgotną piwnicę. Cóż widzi? Troje zmarzniętych, wygłodzonych dzieci, które czekają na anioła śmierci.

– Widzę równie dobrze jak pan – mówi. – A nawet lepiej.

– Nie! Panu się tylko wydaje, że widzi! Widzenie nie jest po prostu kwestią wzroku, jest kwestią właściwego rozumowania. Pan widzi tylko żałosne warunki w tej piwnicy, na które nawet szczer albo karaluch nie powinien być skazany. Widzi pan patos trojga głodujących dzieci, a jeśli pan zechce zaczekać, zobaczy pan również ich matkę, która aby przynieść do domu kromkę suchego chleba, musi sprzedawać się na ulicy. Widzi pan, jak najubożsi z naszych ubogich w Petersburgu muszą żyć. Ale to nie jest prawdziwe widzenie, to jest tylko szczegół. Pan nie dostrzega s i ł, które determinują życie, na jakie ci

ludzie są skazani! Siły, oto na co jest pan ślepy.

Palcem wyznacza linię od podłogi u swych stóp (schyla się i dotyka podłogi) przez mgliste okienko, ku niebu.

– Linie kończą się tutaj, ale gdzie się zaczynają? Zaczynają się w ministerstwach, na giełdach i w bankach handlowych. Zaczynają się w biurach ambasad Europy. To tam zaczynają się te linie sił, stamtąd promieniują we wszystkich kierunkach i kończą w takich piwnicach, w tych nędznych podziemnych żywotach. Gdyby pan to opisał, wówczas naprawdę obudziłby pan świat. Lecz oczywiście – tu śmieje się z goryczą – gdyby pan to opisał, nie pozwolono by panu tego wydać. Pozwalają panu pisać o niemym cierpieniu biedaków ile dusza zapragnie, ale prawdy rzeczywistej nigdy nie pozwoliliby opublikować! Oto dlaczego proponuję panu tę drukarnię. Niech pan zaczyna! Niech im pan powie o swoim pasierbie i dlaczego został poświęcony.

Poświęcony. Może niezbyt uważał, może po prostu jest zmęczony, ale nie rozumie, w jaki sposób i dla kogo Paweł został poświęcony. Nie jest też wcale poruszony tą gwałtowną przemową o liniach. I nie jest w nastroju, by wysłuchiwać oracji.

– Widzę, co widzę – mówi chłodno. – Nie widzę żadnych linii.

– Więc równie dobrze mógłby pan wciąż mieć związane oczy! Czy muszę panu udzielić lekcji? Jest pan przerażony potwornym obliczem głodu, choroby

i ubóstwa. Lecz głód, choroba i ubóstwo nie są same w sobie wrogiem. One są tylko sposobami, w jakie prawdziwe siły się przejawiają w świecie. Głód nie jest siłą, jest środkiem, tak jak woda jest środkiem. Biedni żyją wśród swego głodu, tak jak ryby żyją w wodzie. Prawdziwe siły biorą początek w ośrodkach władzy, w zмовie interesów, jaka tam panuje. Powiedział pan, że się boi, czy nie ma pańskiego nazwiska na naszych listach. Zapewniam pana jeszcze raz, przysięgam, że nie ma. Nasze listy obejmują tylko pająki i krwiopijców, którzy się czają w środku pajęczyn. Kiedy zniszczymy pająki i ich sieci, takie dzieci jak te tutaj zostaną wyzwolone. Dzieci w całej Rosji będą mogły wyjść ze swoich piwnic. Będzie jedzenie, ubranie, mieszkania, przyzwoite mieszkania, dla wszystkich. I będzie praca do wykonania... ile tej pracy! Najpierw trzeba będzie zburzyć wszystkie banki, giełdy, ministerstwa, zburzyć doszczętnie, ażeby nigdy nie mogły zostać odbudowane.

Dzieci, które początkowo zdawały się służyć, straciły zainteresowanie. Najmłodsze przewróciło się na bok i zasnęło z głową na kolanach siostry. Ta siostra jest młodsza od Matryony, ale też i bardziej tępa, bardziej przyzwalająca. Czy już zaczęła mówić „tak” mężczyznom?

Jest też coś dziwnego w milczącym przypatrywaniu się tych dzieci. Odkąd przybyli, Nieczajew nie odezwał się do nich ani razu, w żaden też sposób nie okazał, że choćby zna ich imiona. Przykład miejskiego ubóstwa – czy są dla niego czymś więcej? **Czy muszę panu udzielić lekcji?**

Przypomina sobie złośliwą uwagę księżnej Oboleńskiej: że młody Nieczajew chciał być kierownikiem szkoły, ale oblał egzamin kwalifikacyjny, więc chcąc się zemścić na egzaminatorach, został rewolucjonistą. Czy Nieczajew nie jest w głębi serca jeszcze jednym pedagogiem jak jego mentor Jean-Jacques?

I te linie. Wciąż nie jest pewien, co Nieczajew ma na myśli, mówiąc o tych liniach. Nikt nie potrzebuje mu mówić, że bankierzy gromadzą pieniądze, że chciwość wywołuje schnięcie serca. Ale Nieczajewowi chodzi o coś innego. O co? Sznury cyfr przedostające się przez papier w oknie i uderzające te dzieci w puste brzuszki?

Znowu kręci mu się w głowie. Udzielić lekcji. Nabiera powietrza w płuca.

– Ma pan pięć rubli? – pyta.

Nieczajew maca się w roztargnieniu po kieszeni.

– Ta dziewczynka – wskazuje ją ruchem głowy – gdyby ją porządnie wykapać, przystrzyc włosy i ubrać w nową sukienkę, mogłaby jeszcze dziś w nocy w pewnym znanym mi miejscu, które panu chętnie wskażę, zarobić dla pana sto rubli i w ten sposób pomnożyć pana pięciorublową inwestycję. A gdyby ją pan karmił jak należy, utrzymywał w czystości, nie eksploatował nadmiernie i bronił przed chorobą, mogłaby co noc zarabiać dla pana pięć rubli przez jeszcze co najmniej pięć lat. Z łatwością.

– Co...

– Niech pan słucha. W piwnicach Sankt Petersburga

jest dość dzieci, a na ulicach dość dżentelmenów z pieniędzmi w kieszeniach i apetytem na młode ciała, aby sprowadzić dobrobyt na wszystkich ubogich. Trzeba jedynie przytomnej głowy. Ludzie z piwnic mogą się wspiać po grzbietach swoich dzieci na światło dzienne.

– Jaka jest pointa tej niemoralnej przypowieści?

– Ja nie przemawiam przypowieściami. Jak pan jestem oburzony cierpieniem niewinnych. Nie pomyliłem się co do pana, Siergieju Giennadiewiczu. Długo nie wierzyłem, że mój syn mógł być pana zwolennikiem. Teraz zaczynam rozumieć, co on w panu widział. Pan się urodził z duchem sprawiedliwości w sobie, który nie został jeszcze stłamszony. Jestem pewien, że gdyby to dziecko, ta mała dziewczynka została zwabiona w zaułek przez jednego z naszych petersburskich libertynów, a pan by się na nich przypadkiem natknął, gdyby, na przykład, miał ją pan na swoim opiekuńczym oku, nie zawahałby się pan wbić nóż w plecy tego mężczyzny, aby ją ocalić. Lub gdyby już było za późno, żeby ją ocalić, co najmniej by ją pan pomścił. To nie jest przypowieść: jest to opowieść o dzieciach i sposobach ich wykorzystania. Z pomocą dziecka można oczyścić ulice Petersburga z krwiopijców, być może nawet krwiopijczych bankierów. A w odpowiednim czasie można by też wysłać na ulicę żonę zabitego i jego dzieci, tworząc w ten sposób dalszy czynnik wyrównujący.

– Ty świnió!

– Nie, niesłusznie wyznacza mi pan rolę w tej opowieści. Ja nie jestem świnią, nie jestem tym

człowiekiem zakłutym jak świnia w zaułku. Powtarzam: to nie jest przypowieść, lecz opowieść. Opowieści mogą dotyczyć innych ludzi: nie musi się szukać w nich miejsca dla siebie. Lecz skoro duch sprawiedliwości nie pozwala panu zignorować cierpienia niewinnych dziełek nawet w opowieściach, istnieje wiele innych sposobów ukarania tych, którzy na nich żerują. Niekoniecznie trzeba być dzieckiem, by zwabić mężczyznę w ciemny zaułek. Wystarczy tylko zgolić brodę, upudrować twarz, włożyć sukienkę i trzymać się cienia.

Teraz Nieczajew uśmiecha się, a raczej obnaża zęby.

– To wszystko jest w jednej z pana książek! To wszystko jest częścią pana perwersyjnej wyobraźni!

– Może. Ale wciąż mam jedno pytanie. Gdybyście dzisiaj mogli się przebierać i być, kim zechcecie, a także iść za podszeptami ducha sprawiedliwości (ducha, który wciąż, jak wierzę, zamieszkuje w pana sercu), jaka będzie sytuacja jutro, gdy burza zemsty ludu dokona swego dzieła i wszyscy zostaną zrównani? Czy nadal będzie pan mógł się stać, kim zechce? Czy każdy z nas będzie mógł wreszcie zostać, kim zechce?

– Nie będzie już takiej potrzeby.

– Nie będzie potrzeby przebierania się? Nawet w karnawale?

– To głupia rozmowa. Nie będzie potrzeby karnawału.

– Nie będzie karnawału? Ani świąt?

– Będą dni rekreacji. Ludzie będą mieli do wyboru: wypoczywać albo jechać na wieś pomagać przy żniwach.

– Tak, słyszałem o dniach żniw. Niewątpliwie będziemy śpiewali przy pracy. Ale wracam do mego pytania. Co ze mną, co z moim miejscem w pana utopii? Czy nadal wolno mi będzie przebrać się za kobietę, jeśli przyjdzie mi na to ochota, lub za młodego dandysa w białym garniturze, czy też będę miał prawo do tylko jednego imienia, jednego adresu, jednego wieku, jednego pochodzenia?

– Nie mnie o tym decydować. Odpowiedź da panu lud. Lud powie, co panu wolno.

– Ale co pan mówi, Siergiej Giennadiewiczu? Bo jeśli pan nie jest z ludu, to kim pan jest i jaką ma pan przyszłość? Czy nadal będę mógł podawać się, za kogo chcę, za młodego człowieka, na przykład, który spędza wolny czas na dyktowaniu list nielubianych ludzi i wymyślaniu dla nich krwawych kar, albo za sklepikarza, którego zadaniem jest zamawianie trocin do kosza pod gilotynę? Czy będę miał taką swobodę? Czy raczej powinienem pamiętać o tym, co padło z pana ust w Genewie: że mieliśmy dość Koperników, że gdyby miał narodzić się jeszcze jeden, powinno mu się wyłupić oczy?

– Pan bredzi. Pan nie jest Kopernikiem.

– Ma pan rację, nie jestem Kopernikiem. Kiedy patrzę w niebo, widzę tylko gwiazdy, które świeciły przy naszym urodzeniu i będą świeciły przy naszej śmierci, bez względu na to, za kogo się przebierzemy, bez względu na to, w jakich głębokich piwnicach się kryjemy.

– Ja się nie kryję. Ja się po prostu wtopiłem

w niewidocznych mieszkańców tego miasta i warunki, jakie ich stworzyły. Tylko że pan nie potrafi tych warunków dostrzec.

– Mogę pozwolić sobie na szczerość? Pan mówi bzdury. Może nie widzę linii i cyfr na niebie, ale nie jestem ślepy.

– Nikt nie jest bardziej ślepy od człowieka, który nie chce widzieć! Pan widzi dzieci głodujące w piwnicy, ale nie chce pan widzieć, co determinuje warunki, w jakich te dzieci żyją. Jak może pan to nazywać widzeniem? Lecz, oczywiście, pan i ludzie, którzy panu płacą, są zainteresowani istnieniem głodujących dzieci z zapadniętymi oczyma. To jest coś, o czym pan i oni lubicie czytać: o pełnych uczucia dzieciach z zapadniętymi oczyma i cieniutkimi głosikami. Powiem panu prawdę o głodzie. Wie pan, co te dzieci z zapadniętymi oczyma widzą, kiedy na pana patrzą? Niech pan je zapyta. Ja panu powiem. One widzą tłuste policzki i soczysty język. Te niewiniątka rzuciłyby się na pana jak szczury i zjadłyby pana, gdyby nie wiedziały, że jest pan dosyć silny, aby się przed nimi opędzić. Pan jednak woli tego nie dostrzegać. Pan woli w nich widzieć trzy małe aniołki na krótkiej wizycie z nieba. Im dłużej z panem rozmawiam, Fiodorze Michajłowiczu, tym mniej rozumiem, jak mógł pan napisać o Raskolnikowie. Raskolnikow był przynajmniej żywy, póki go nie złożyła gorączka, czy co to takiego było. Wie pan, jakie pan na mnie robi teraz wrażenie, wywlekając dzień po dniu tę samą starą opowieść? Jak stary, oślepy

koń, który chodzi w kółko w kieracie. Jakie prawo ma pan mówić mi o przebieraniu się? Pan nie mógłby się przebrać, nawet żeby ocalić życie. Jest pan wysuszonym staruszką, wysuszonym starym koniem roboczym u schyłku życia. Czy już nie pora spróbować **dzielić** egzystencję uciśnionych, zamiast siedzieć w domu i pisać o nich, a potem liczyć pieniądze? Ale widzę, że pan się zaczyna niespokojnie wiercić. Zdaje się, że spieszo panu do domu, aby spisać wrażenia odniesione z widoku tej piwnicy i tych dzieci, póki pamięć nie zblaknie. Mdli mnie na widok pana!

Urywa, podchodzi bliżej, patrzy mu w oczy.

– Czy ja posuwam się za daleko, Fiodorze Michajłowiczu? – ciągnie już łagodniej. – Czy przekraczam granice przyzwoitości, odsłaniając, co powinno pozostać ukryte, a mianowicie że my **przejrzeliśmy pana**, wszyscy, włącznie z pana pasierbem? Czemu pan milczy? Czy ostrze za bardzo zbliżyło się do kości? – Wyjmuje z kieszeni szal. – Zawiązać panu oczy?

Zbliżyło się do kości? Tak, może. Nie chodzi o samo oskarżenie, ale o głos, który za nim słyszy: głos Pawła, Pawła skarżącego się przyjacielowi i jego przyjaciela przechowującego te słowa jak truciznę.

Odpycha z przygnębieniem szal.

– Czemu pan usiłuje mnie sprowokować? – pyta. – Pan nie przyprowadził mnie tutaj, żeby mi pokazać drukarnię albo głodujące dzieci. To tylko pretekst. Czego pan

naprawdę chce ode mnie? Czy chce pan we mnie wzbudzić taką wściekłość, bym ruszył wydać pana policji? Czemu nie wyjechał pan z Petersburga? Zamiast po prostu uciec jak człowiek rozsądny, zachowuje się pan niczym Jezus, czekając pod Jeruzalem na przybycie osła, który dostarczy pana do rąk prześladowców. Myśli pan, że ja odegram rolę tego osła? Pan sobie wyobraża, że jest księciem w ukryciu, księciem i męczennikiem, czekającym na wezwanie. Pan chce skraść Wielkanoc Jezusowi. Już drugi raz mnie pan kusi, a ja się nie dam skusić.

– Niech pan nie zmienia tematu! Mówimy o Rosji, nie o Jezusie. I niech pan nie zrzuca winy na mnie. Jeżeli mnie pan zdradzi, to tylko dlatego, że mnie pan nienawidzi.

– Nie mam powodu pana nienawidzić.

– Nienawidzi mnie pan. Chce pan się na mnie zemścić, bo ja otwieram ludziom oczy na to, jaki pan naprawdę jest, pan i pana pokolenie.

– A jacy naprawdę jesteśmy, ja i moje pokolenie?

– Powiem panu. Wasz czas przeminął. Ale zamiast spokojnie zejść ze sceny, chcecie pociągnąć w dół wraz z sobą cały świat. Macie za złe, że lejce przechodzą w ręce ludzi młodszych i silniejszych, którzy uczynią ten świat lepszym. Tacy naprawdę jesteście. I niech mi pan nie mówi, że był rewolucjonistą zesłanym na Syberię za swoje przekonania. Wiem z całą pewnością, że nawet na Syberii był pan traktowany jak ktoś lepszy. Wcale nie dzielił pan cierpień ludu. Wy, starzy, przyprawiacie mnie o mdłości! Przysięgam, że w dniu, w którym skończę trzydzieści pięć

lat, strzelę sobie w łeb!

Te ostatnie słowa padły z taką pełną rozdrażnienia siłą, że nie mógł skryć uśmiechu, ale też i Nieczajew się zaczerwienił.

– Mam nadzieję, że zanim to nastąpi, również i pan będzie miał okazję zostać ojcem, więc będzie pan wiedział, co to pić z tego kubka.

– Nigdy nie będę ojcem – mruczy Nieczajew.

– Skąd pan wie? Nigdy się nie jest pewnym. Mężczyzna może tylko siać nasienie, potem ono ma już własne życie.

Nieczajew zdecydowanie potrząsa przecząco głową. Co ma na myśli? Ze nie sieje swojego nasienia? Ze ślubował być czystym jak Jezus?

– Nigdy nie wiadomo – powtarza cicho. – Nasienie staje się synem, a księżę królem. Kiedy pewnego dnia zasiądzie pan na tronie (jeżeli przedtem nie strzeli sobie pan w łeb), a kraj będzie pełen książątek, ukrytych po piwnicach i poddaszach, spiskujących przeciwko panu, to co pan zrobi? Pośle żołnierzy, żeby pouczali im głowy?

Nieczajew patrzy groźnie.

– Pan chce mnie rozgniewać swoimi głupimi przypowieściami. Wiem o pana ojcu, Paweł Isajew mi mówił... jakim był tyranem, jak wszyscy go nienawidzili, jak własni chłopcy go zabili. Pan myśli, że skoro pan i pana ojciec się nienawidziliście, cała historia świata to nic innego jak wojna między synami a ojcami. Pan nie rozumie znaczenia rewolucji. Rewolucja to kres wszystkiego

starego, włącznie z walką ojców z synami. To kres sukcesji i dynastii. I ona się wciąż odnawia, jeśli jest prawdziwą rewolucją. Z każdym pokoleniem stara rewolucja jest obalana i historia rozpoczyna się od nowa. Oto nowa idea, prawdziwa nowa idea. Rok Pierwszy. *Carte blanche*. Gdy wszystko jest na nowo wymyślone, wszystko wymazane i zrodzone na nowo: prawo, moralność, rodzina, wszystko. Gdy wszyscy więźniowie zostają uwolnieni, wszystkie zbrodnie wybaczone. Jest to tak wielka idea, że pan nie jest w stanie jej pojąć, pan i pana pokolenie. Lub, raczej, wy to rozumiecie aż nadto dobrze i chcecie zdusić tę ideę w kołysce.

– A pieniądze? Kiedy wybaczycie przewinienia, czy dokonacie redystrybucji pieniędzy?

– Zrobimy więcej. Co jakiś czas, gdy ludzie się najmniej tego spodziewają, będziemy uznawali pieniądze będące w obiegu za nieważne i drukowali nowe. To był błąd, jaki popełnili Francuzi... że pozwolili, by stare pieniądze pozostały w obiegu. Francuzi nie mieli prawdziwej rewolucji, bo nie mieli odwagi doprowadzić jej do końca. Pozbyli się arystokratów, ale nie wyeliminowali starego sposobu myślenia. W naszych szkołach będziemy uczyli ludowego sposobu myślenia, który dotąd był tłamszony. Wszyscy pójdą na powrót do szkół, nawet profesorowie. Nauczycielami będą chłopcy, a uczniami profesorowie. W naszych szkołach stworzymy nowych mężczyzn i nowe kobiety. Każdy się odrodzi z nowym sercem.

– A Bóg? Co Bóg będzie myślał o tym?

Młody człowiek wybucha śmiechem najczystsze­go rozbawienia.

– Bóg? Bóg będzie zazdrościł.

– Jest pan przekonany?

– Oczywiście! Jaki byłby inaczej sens? Można by było równie dobrze podłożyć ogień pod wszystko, zmienić świat w popiół. Nie. Pójdziemy, staniemy przed Bożym tronem i odwołamy Boga. A on ulegnie! Nie będzie miał wyboru, będzie musiał posłuchać. Potem będziemy wszyscy na równej stopie.

– A aniołowie?

– Aniołowie będą stali w kręgach wokół nas i śpiewali swoje hosanna! Oni będą zachwyceni. Zostaną także uwolnieni i będą sobie mogli chodzić po ziemi jak zwyczajni ludzie.

– A dusze zmarłych?

– Tyle pytań pan zadaje! Dusze zmarłych też, Fiodorze Michajłowiczu, skoro pan chce. Sprawimy, że dusze zmarłych będą znów chodzić po ziemi... Paweł Isajew także, jeśli pan chce. Możliwościom nie ma granic.

Co za szarlatan! On jednak już nie wie, po której stronie leży mistrzostwo – czy to on igra z Nieczajewem, czy Nieczajew z nim. Wszystkie bariery zaczęły się kruszyć jednocześnie: bariera dla łez, bariera dla śmiechu. Gdyby tu była Anna Siergiejewna – przychodzi nieproszona myśl – mógłby teraz wypowiedzieć do niej słowa, których mu dotychczas brakowało.

Robi krok do przodu i z siłą, jak mu się wydaje, olbrzymia przyciska Nieczajewa do piersi. Obejmując chłopca, wiążąc jego ramiona, wdychając cierpką woń krostowatego ciała, łkając, śmiejąc się, całuje go w lewy policzek, w prawy. Biodro przy biodrze, pierś przy piersi, stoi z nim w uścisku.

Słysząc stukot kroków na schodach. Nieczajew wyzwala się z objęć.

– Idą! – wykrzykuje. Oczy mu błyszczą z tryumfem.

Odwraca się. W drzwiach stoi kobieta w czerni i śmiesznym białym kapelusiku. W mglistym świetle, poprzez łyzy, trudno określić jej wiek.

Nieczajew sprawia wrażenie rozczarowanego.

– Ach – mówi. – Przepraszamy! Proszę wejść!

Ale kobieta nie rusza się z miejsca. Pod pachą trzyma coś owiniętego w białą ściereczkę. Dziecięce noski są czujniejsze niż jego. Dzieci bez słowa zsuwają się wszystkie z łóżka i przemykają obok mężczyzn. Dziewczynka rozwija ściereczkę i wokół rozchodzi się zapach świeżego chleba. Bez słowa odłamuje kawałki i wkłada w dłonie braci. Przyciśnięte do spódnicy matki, z oczyma bez wyrazu, stoją, żując chleb. Jak zwierzątka, myśli, wiedzą, skąd pochodzi, i nie dbają o to.

16. DRUKARNIA

Kłania się kobiecie. Spod nedorzecznego kapelusza wygląda dość płochliwa, dziewczęca, piegowata twarzyczka. Zapala się w nim iskra seksualnego zainteresowania i zaraz gaśnie. Powinien mieć czarny krawat albo czarną opaskę na rękawie na wzór włoski, wówczas jego pozycja byłaby wyraźniejsza – również dla niego samego. Nie jest już pełnym człowiekiem: jest półczłowiekiem. Albo powinien mieć medalion w klapie z podobizną Pawła. Ta lepsza połowa została mu odjęta, ta, która miała przyjść.

– Muszę iść – oznajmia.

Nieczajew patrzy na niego pogardliwie.

– Proszę bardzo – mówi. – Nikt pana nie zatrzymuje. –
A potem, do kobiety – Myśli, że nie wiem, gdzie idzie.

Ta uwaga wydaje mu się niepotrzebna.

– A dokąd, pana zdaniem, idę?

– Mam to wyraźnie powiedzieć? Czyż nie jest to dla pana szansa zemsty?

Zemsta: po tym, co przed chwilą zaszło, słowo to jest jak świński pęcherz rzucony z nagła w twarz. Słowo Nieczajewa, świat Nieczajewa – świat zemsty. Co on ma z nim wspólnego? Jednak to brzydkie słowo nie zostało mu rzucone bez powodu. Coś mu się przypomina: zachowanie się Nieczajewa, kiedy się pierwszy raz spotkali – zawadzanie spódnicą o oparcie jego krzesła, dotknięcie

stopą pod stołem, sposób, w jaki używał swego ciała, bezwstydnym, a zarazem niezręcznym. Czy ten chłopiec ma wyraźny pogląd na to, czego chce, czy też po prostu próbuje wszystkiego, żeby zobaczyć, dokąd to go zaprowadzi? **Jest jak ja, ja byłem podobny do niego – myśli – tyle że ja nie miałem odwagi. – A potem: Czy dlatego Paweł poszedł za nim, że próbował zaczerpnąć od niego odwagi? Czy dlatego wspiał się na wieżę tamtej nocy?**

Coraz bardziej staje się to jasne: Nieczajew nie będzie zadowolony, póki nie znajdzie się w rękach policji, póki nie zakosztuje i tego. Ażeby jego odwaga i zdecydowanie mogły zostać poddane próbie. A on przez nią przejdzie zwycięsko – co do tego nie ma wątpliwości. Nie załamie się. Choćby nie wiadomo jak był bity i głodzony, nie ugnie się, nawet nie zachoruje. Straci wszystkie zęby i uśmiech. Będzie włókł za sobą połamane członki, rycząc, silny jak lew.

– Czy pan chce, abym się zemścił? **Chce** pan, abym poszedł i zdradził pana? Czy właśnie to chce pan osiągnąć całą tą szaradą, labiryntami i zawiązywaniem oczu?

Nieczajew śmieje się w podnieceniu, a on wie, że się wzajem rozumieją.

– Czemu miałbym tego chcieć? – odpowiada Nieczajew cichym, psotnym głosem, rzucając kobiecie ukośne spojrzenie, jakby chciał ją wciągnąć w ten swój żart. – Nie jestem młodzieńcem, który zagubił drogę, jak pana pasierb. Jeśli zamierza pan pójść na policję, niech pan

powie szczerze. Proszę nie bawić się w sentymenty, proszę nie udawać, że nie jest pan moim wrogiem. Znam te pana gierki. Pan je stosuje również wobec kobiet. Kobiet i małych dziewczynek. – Zwraca się do dziewczynki. – Ty to dobrze znasz, prawda? Jak tacy mężczyźni ronią łzy, zadając ci ból, ażeby uspokoić swoje sumienie i przeżyć dreszcz rozkoszy.

Jak na kogoś w swoim wieku, to nadzwyczajne, ile wypatrzył! Więcej nawet niż ulicznice, bo jest przy tym bystry. Zna życie. Przydałoby się więcej tej wiedzy o życiu Pawłowi. W starym rozpustnym niedźwiedziu w jego opowiadaniu – jak on się nazywa? Karamzin? – jest więcej prawdziwego życia niż w kołtuńskim bohaterze, którego z takim trudem konstruował. Za wcześnie też tego Karamzina usunął – duży błąd.

– Nie mam zamiaru pana zdradzać – mówi ze znużeniem. – Niechaj pan jedzie do domu, do ojca. O ile dobrze pamiętam, ma pan gdzieś w Iwanowie ojca. Niechaj pan jedzie do niego, uklęknie i poprosi, żeby pana ukrył. On to zrobi. Ojcowie są dla swoich synów gotowi na wszystko.

Nieczajew parska śmiechem. Już nie może ustać w miejscu: chodzi tam i z powrotem po piwnicy, rozpychając dzieci na boki.

– Mój ojciec! Co pan wie o moim ojcu? Ja nie jestem taka fujara jak pana pasierb! Nie trzymam się kurczowo ludzi, którzy mnie ciemiężą! Wyszedłem z domu ojca, gdy miałem szesnaście lat, i już tam nie wróciłem. Wie pan,

dlaczego? Bo on mnie bił. Powiedziałem: „Zbij mnie jeszcze raz, to już mnie nigdy więcej nie zobaczysz”. Więc on mnie zbił i już mnie nigdy więcej nie zobaczył. Od tego dnia przestał być moim ojcem. Teraz jestem sam swoim ojcem. Stworzyłem siebie na nowo. Żaden ojciec nie jest mi potrzebny, żeby się ukryć. W razie potrzeby ukryją mnie ludzie. Mówi pan, że ojcowie są dla swoich synów gotowi na wszystko. Wie pan, że mój ojciec pokazuje moje listy policji? Piszę do sióstr, a on wykrada im te listy, **kopiuje i policja mu za nie płaci**. Oto, na co są gotowi ojcowie. Dowodzi to, w jak rozpaczliwej sytuacji jest policja, że płaci za coś takiego, chwytą się słomki. Bo niczego nie mogą mi udowodnić... niczego!

Rozpaczliwa sytuacja. Rozpaczliwie pragnie być zdradzony, rozpaczliwie pragnie znaleźć ojca, który by go zdradził.

– Może nie są w stanie niczego udowodnić, ale wiedzą i pan wie, i ja wiem, że nie jest pan niewinny. Posunął się pan dalej niż sporządzenie list. Ma pan na rękach krew, czyż nie? Nie proszę, żeby się pan przyznał. Niemniej, w sensie najbardziej hipotetycznym, **czemu pan to zrobił?**

– Hipotetycznie? Bo jeśli nie zabijasz, to cię nie biorą poważnie. Jest to jedyny dowód powagi, jaki się liczy.

– Ale po co być brany poważnie? Czemu nie być młodym i beztroskim, jak długo się da? Później jest dość czasu na powagę. I niech pan raczy pomyśleć o tych słabszych z was, którzy popełnili błąd brania pana poważnie. Niech pan pomyśli o swojej fińskiej

przyjaciółce i o tym, przez co w konsekwencji w tej chwili przechodzi.

– Niech pan przestanie głądzić o mojej tak zwanej fińskiej przyjaciółce. Ona już nie cierpi, już o to zadbano! I niech mi pan nie każe czekać, aż się zestarzeję, by mnie zaczęto traktować poważnie. Gdy będę stary, nie będę już sobą.

Jest to wnikliwość, jakiej mógł się spodziewać po Pawle, nigdy po Nieczajewie. Co za strata!

– Chciałbym – mówi – móc usłyszeć, jak dyskutujecie z Pawłem. – Czego zaś nie mówi, to: Jak dwa miecze, dwa nagie miecze.

Ale jakie to sprytne ze strony Nieczajewa, że przestrzegł go przed litością! Bo ona właśnie o mało go nie ogarnęła: litość nad dzieckiem samotnym w morzu, walczącym i tonącym. Czy więc się myli, kiedy wykrywa coś trochę zbyt wystudiowanego w ponurym wyglądzie Nieczajewa (gdyż ten, o dziwo, nagle umilkł), w jego zamyślonym spojrzeniu – więcej niż wystudiowanego w rzeczywistości: chytrego? Ale od kiedy to można zaufać, że słowa będą płynęły z serca do serca? Żyjemy w wieku aktorstwa, w wieku udawania. Paweł był zbyt dziecinny, zbyt staromodny, aby móc prosperować. Bohaterowie opowiadania Pawła rozmawiają śmiesznym, pełnym zająknień, staromodnym językiem serca. „Chciałabym... chciałabym...”, albo „Mogłabyś... mogłabyś...” Jednakże Paweł przynajmniej próbował dotrzeć do drugiego serca. Nie można sobie natomiast wyobrazić Siergieja

Nieczajewa jako pisarza. To egoista i jeszcze gorzej. Z pewnością też kiepski kochanek. Pozbawiony uczuć, pozbawiony współczucia. Niedojrzały w swych uczuciach, zatrzymany w rozwoju, jak karzeł. Człowiek przyszłości, przyszłego wieku, z monstrialną głową i monstrialnymi apetytami, lecz nic poza tym. Sam, samotny. Najodpowiedniejszym dla niego miejscem jest tron w ogołoconej ze wszystkiego innej komnacie. Tron idei. Papież idei, ponurych idei. Niech Bóg ma więc wiernych w opiece, niech Bóg zbawi rządzonych!

Z zamyślenia wyrывa go odgłos kroków na schodach. Nieczajew rzuca się ku drzwiom, nasłuchuje, potem wychodzi. Słysząc gwałtowne szepty, zgrzyt klucza w zamku i zapada cisza.

Wciąż w swoim białym kapelusiku, kobieta siedzi teraz na skraju łóżka z dzieckiem przy piersi. Napotkawszy jego wzrok, czerwieni się, potem unosi głowę wyzywająco.

– Pan Iszutin mówi, że pan nam pomoże – mówi.

– Pan Iszutin?

– Tak. Pana przyjaciel.

– Czemu miałby tak powiedzieć? Zna moją sytuację.

– Wyrzucają nas z powodu czynszu. Zapłaciłam za ten miesiąc, ale nie mogę zapłacić zaległego. To za duża suma.

Dzieciak przestaje ssać i zaczyna się wiercić. Kobieta puszcza go, a on zsuwa się z jej kolan i wychodzi. Słyszą, jak się załatwia pod schodami, pojękując cicho.

– Jest chory od tygodni – skarży się kobieta.

– Pokaż mi swoje piersi.

Kobieta odpina drugi guzik i odsłania obie piersi. Sutki sterczą z zimna. Unosząc je palcami, lekko je uciska. Na jednej z nich pojawia się kropelka mleka.

Ma pięć rubli, które pożyczył od Anny Siergiejewny. Daje kobiecie dwa. Ta bierze monety bez słowa i zawija w chusteczkę.

Wraca Nieczajew.

– Widzę, że Sonia zwierzyła się panu ze swoich kłopotów – mówi. – Pomyślałem, że może pana gospodyni zechce im pomóc. To szczodra kobieta. Przynajmniej tak mówił Isajew.

– Wykluczone. Jakże bym mógł...

Kobieta – czy to możliwe, że się nazywa Sonia – odwraca z zakłopotaniem głowę. Jej sukienka z taniego perkaliku w kwiaty, zupełnie niestosownego zimą, jest zapinana na guziki od góry do dołu. Kobieta trzęsie się z zimna.

– Porozmawiamy o tym później – mówi Nieczajew. – Teraz chcę panu pokazać drukarnię.

– Nie interesuje mnie drukarnia.

Ale Nieczajew chwyta go za ramię i na wpół kieruje, na wpół ciągnie ku drzwiom. On zaś znów jest zaskoczony własną biernością. Zupełnie jakby był w moralnym odrętwieniu. Co pomyślałby Paweł, widząc, jak jego morderca obchodzi się z jego ojczymem? A może to sam Paweł go prowadzi?

Od razu rozpoznaje prasę drukarską, taki sam staromodny model Albion-of-Birmingham, jaki miał jego

brat do powielania ulotek i ogłoszeń. Nie ma mowy o tysiącach egzemplarzy – najwyżej dwieście na godzinę.

– Źródło mocy każdego pisarza – mówi Nieczajew, klepiąc dłonią maszynę. – Pana oświadczenie zostanie dziś w nocy rozprowadzone do naszych komórek, a jutro znajdzie się na ulicach. Albo, jeżeli pan woli, wstrzymamy się z tym, aż znajdzie się pan za granicą. Gdyby czyniono panu z tego powodu zarzuty, zawsze może pan powiedzieć, że to fałszerstwo. Wtedy to już będzie bez znaczenia, skoro osiągnie pożądaný efekt.

W pokoju jest jeszcze jeden mężczyzna, starszy od Nieczajewa – szczupły, ciemnowłosy, o ziemistej cerze i matowych czarnych oczach, pochylony nad stołem zecerskim, z brodą wspartą na dłoniach. Nie zwraca na nich uwagi, a Nieczajew go nie przedstawia.

– Moje oświadczenie? – pyta.

– Tak, pana oświadczenie – odpowiada Nieczajew.

– Jakiegokolwiek przyjdzie panu ochota napisać. Może je pan napisać od razu, oszczędzimy przez to na czasie.

– A jeśli mi przyjdzie ochota napisać prawdę?

– Obiecuję panu, że cokolwiek pan napisze, zostanie rozprowadzone.

– Może się okazać, że prawda to za wiele dla ręcznej drukarni.

– Zostaw go w spokoju. – Słowa te padły z ust mężczyzny wciąż ślęczącego nad tekstem na stole zecerskim.

– On jest pisarzem, on nie pracuje w taki sposób.

– A w jaki?

– Pisarze kierują się własnymi zasadami. Nie umieją pracować, gdy się im zagląda przez ramię.

– Powinni się nauczyć nowych zasad. Prywatność to luksus, bez którego możemy się obyć. Ludzie nie potrzebują prywatności.

Teraz, gdy zyskał słuchaczy, Nieczajew wrócił do dawnej manieri. Natomiast on zaczyna mieć wyżej uszu tych niedojrzałych prowokacji.

– Muszę już iść – mówi ponownie.

– Jeżeli pan nie napisze oświadczenia, ja napiszę je za pana.

– Co pan mówi? Napisze pan za mnie?

– Tak.

– I podpisze się moim nazwiskiem?

– To też, jeżeli nie będziemy mieli innego wyboru.

– Nikt tego nie zaakceptuje. Nikt w to nie uwierzy.

– Studenci uwierzą... jak mówiłem, ma pan wielu zwolenników wśród studentów. Zwłaszcza jeżeli nie będą musieli czytać jakiegoś tomiska, żeby pojąć, o co chodzi. Studenci są skłonni uwierzyć we wszystko.

– Niech pan da spokój, Siergieju Giennadiewiczu! – odzywa się ten drugi. W jego głosie nie słyhać rozbawienia. Ma podkrążone oczy. Właśnie zapalił papierosa i zaciąga się nerwowo. – Co pan ma przeciwko książkom? Co ma pan przeciwko studentom?

– To, czego nie można wyrazić na jednej stronie, w ogóle nie zasługuje na mówienie. A poza tym, czemu

ludzie mieliby siedzieć w luksusie i czytać książki, gdy inni w ogóle nie umieją czytać? Sądzicie, że ta tutaj Sonia ma czas czytać książki? A studenci za dużo gadają. Siedzą i się kłócą, marnując energię. Uniwersytet to takie miejsce, gdzie się uczy dyskutować, żeby człowiek nigdy nic naprawdę nie zrobił. To jak obcięcie Samsonowi włosów. Dyskutowanie jest pułapką. Oni myślą, że swoim gadaniem poprawią świat. Nie rozumieją, że wszystko najpierw musi się pogorszyć, żeby mogło się polepszyć.

Jego towarzysz ziewa. Jego obojętność jakby jeszcze podbechtuje Nieczajewa.

– To prawda! I właśnie dlatego trzeba ich sprowokować! Jeśli się ich pozostawi samym sobie, zawsze znowu się rozgadają i rozdyskutują, i wszystko upadnie. Właśnie taki był pana pasierb, Fiodorze Michajłowiczu, zawsze gadał. Ludzie, którzy cierpią, nie potrzebują mówić, potrzebują działać. Naszym zadaniem jest zmusić ich do działania. Jeśli zdołamy sprowokować ich do działania, bitwa będzie w połowie wygrana. Mogą zostać zgnieceni, mogą się zacząć nowe represje, ale to tylko wywoła dalsze cierpienia i dalsze oburzenie, i jeszcze większe pragnienie działania. Oto cały mechanizm. Ponadto, jeśli tylko niektórzy cierpią, nie będzie sprawiedliwości, póki wszyscy nie zaczną cierpieć. I w ten sposób przyspieszymy sprawę. Zdziwicie się, jaki szybki jest bieg historii, skoro raz się zacznie. Cykle staną się coraz krótsze. Jeśli zaczniemy działać dzisiaj, ani się spostrzeżemy, jak wejdziemy w przyszłość.

– A więc fałszerstwo jest dozwolone. Wszystko jest dozwolone.

– Czemu nie? To nic nowego. Wszystko jest dozwolone dla przyszłego dobra... nawet wierzący to mówią. Nie zdziwiłbym się, gdyby to było napisane w Biblii.

– Z całą pewnością nie. Tak mówią tylko jezuici, ale im to nie zostanie wybaczone. Wam także nie.

– Nie będzie wybaczone? Kto wie? Mówimy o pamflecie, Fiodorze Michajłowiczu. A kogo obchodzi, kto naprawdę napisał pamflet? Słowa są jak wiatr, dziś tu, a jutro już ich nie ma. Nikt nie posiada ich na własność. Mówimy o tłumach. Na pewno był pan kiedyś w tłumie. Tłumu nie interesują subtelne sprawy autorstwa. Tłum nie posiada intelektu, jedynie namiętności. Czy może panu chodzi o co innego?

– Chodzi mi o to, że jeśli pan świadomie sprowadza cierpienie na te nieszczęsne dzieci obok, w imię przyszłości, wówczas to nie będzie panu nigdy darowane.

– Świadomie? Co to znaczy? Pan wciąż mówi o wnętrzu duszy ludzkiej. Historia to nie myśli, historii nie tworzy się w umysłach. Historia powstaje na ulicach. I niech pan nie mówi, że to są moje **wymysły**. To jeszcze jedna sprytna sztuczka, stosowana podczas debat, aby studentom mieszać w głowach. Wcale nie prawię czczych wymysłów, a jeśli nawet prawię, nie ma to znaczenia. Mogę myśleć jedno, a zaraz potem co innego i to nie jest wcale ważne, jeżeli tylko **działam**. Ludzie **działają**.

Ponadto pan się myli! Pan nie zna swojej teologii! Nie słyszał pan o pielgrzymce Matki Bożej? Nazajutrz po dniu ostatecznym, gdy wszystko zostanie rozstrzygnięte i bramy piekieł będą zapieczętowane, Matka Boża opuści swój tron w niebie i uda się w pielgrzymkę do piekieł, aby się wstawić za potępionymi. Uklęknie i nie wstanie z klęczek, póki Bóg nie ulegnie i póki wszystkim nie wybaczy, nawet ateistom i bluźniercom. A więc pan się myli, zadaje pan kłam własnym książkom. – I Nieczajew rzuca mu płomienne spojrzenie tryumfu.

Wybaczenie wszystkiego. Od tej myśli aż kręci się w głowie. **I będą jedno, ojciec i syn.** Czy dlatego, że zostały wypowiedziane ustami bluźniercy, słowa te nie są prawdziwe? Kto może określić, co Ona, Matka Boża, uczyni swoim mieszkaniem? Skoro Chrystus jest ukryty, to czemu nie właśnie tutaj, w tych piwnicach? Czemu nie mógłby w tej chwili być tutaj, w tym dziecku przy piersi kobiety, w tej dziewczynce o tępym spojrzeniu, w samym Siergieju Nieczajewie?

– Kusi pan Boga. Jeśli będzie pan igrał z miłosierdziem Bożym, na pewno zostanie pan zgubiony. Niech panu to nie przyjdzie nawet na myśl – proszę zważyć moje słowa! – bo inaczej czeka pana zguba.

Głos ma tak ochrypy, że z trudem wypowiada te słowa. Po raz pierwszy towarzysz Nieczajewa unosi wzrok i przygląda mu się z zainteresowaniem.

Jakby wyczuwając jego słabość, Nieczajew rzuca się, szarpiąc go jak pies.

– Już osiemnaście wieków trwa czas Boży, prawie dziewiętnaście! Jesteśmy u progu nowego wieku i wolno nam myśleć, co chcemy. Nie ma nic takiego, o czym nie moglibyśmy myśleć! Z pewnością pan to wie. Pan to musi wiedzieć... tak właśnie mówił Raskolnikow w pana własnej książce, zanim zachorował!

– Pan jest szalony, pan nie umie czytać – mruczy. Ale przegrał i wie o tym. Przegrał, ponieważ sam sobie nie wierzy w tej debacie. A nie wierzy, gdyż przegrał. Wszystko się wali: logika, rozsądek. Patrzy na Nieczajewa i widzi tylko kryształek błyskający w blasku pustyni, zamknięty w sobie, nieprzenikniony.

– Proszę uważać – mówi Nieczajew, kiwając znacząco palcem. – Proszę uważać, jakimi słowami mówi pan o mnie. Ja jestem Rosja: kiedy pan mówi, że jestem szalony, znaczy, że Rosja jest szalona.

– Brawo! – mówi jego towarzysz drwiąco i klaszcze w dłonie.

On zaś próbuje ostatni raz się ożywić.

– Nie, to nie jest prawda, to zwykła sofistyka. Pan jest tylko częścią Rosji, częścią szaleństwa Rosji. To ja – mówi i kładzie dłoń na sercu, a potem, uderzony sztucnością tego gestu, opuszcza rękę – ja dźwigam to szaleństwo. To mój los, mój ciężar, nie pański. Pan jest za dziecinny, żeby choćby zacząć odczuwać ten ciężar.

– Brawo jeszcze raz! – mówi mężczyzna i klaszcze.

– Dostało ci się, Siergiej!

– Więc pójdę z panem na układ – brnie dalej. –

Napiszę w końcu dla pana tę ulotkę. Powiem prawdę, całą prawdę na jednej stroniczce, tak jak pan sobie życzy. Stawiam tylko warunek, że pan to wydrukuje bez zmian, bez zmiany choćby jednego słowa, i roześle.

– Zgoda! – Nieczajew aż promienieje tryumfem.

– Lubię układy! Daj mu papier i pióro!

Jego towarzysz kładzie deskę na stole zecerskim i wyjmuje papier.

On pisze: „12 października roku Pańskiego 1869 wieczorem mój pasierb Paweł Aleksandrowicz Isajew spadł z wieży odlewniczej przy nabrzeżu Stolarny i poniósł śmierć. Krąży pogłoska, że śmierć ta została spowodowana przez Sekcję Trzecią Policji Carskiej. Pogłoska ta jest wyssana z palca. Jestem przekonany, iż mój pasierb został zamordowany przez swego fałszywego przyjaciela Siergieja Giennadiewicza Nieczajewa.

Niech Bóg ulituje się nad jego duszą.

F .M. Dostojewski.

18 listopada 1869”.

Drząc leciutko, wręcza kartkę Nieczajewowi.

– Świetne! – mówi Nieczajew i podaje ją towarzyszowi.

– Prawda widziana oczyma ślepcy.

– Niech pan to wydrukuje.

– Złóż to – rozkazuje Nieczajew zecerowi. Zecer patrzy na niego pytająco.

– Czy to prawda?

– **Prawda? Co to jest prawda?** – wrzeszczy

Nieczajew, aż dzwoni w piwnicy. – Złóż to! Dość już straciliśmy czasu!

W tej chwili on sobie uświadamia, że wpadł w pułapkę.

– Chcę coś zmienić – mówi. – Chwyta kartkę, gniecie ją i wsadza do kieszeni. Nieczajew nie próbuje go powstrzymać.

– Za późno, nie ma odwołania – mówi. – Pan to napisał przy świadku. Wydrukujemy to, jak obiecałem, słowo w słowo.

Pułapka, diabelska pułapka. On w końcu nie jest, jak mu się zdawało, postacią zza kulis, która się wtrąca w spór między jego pasierbem a Siergiejem Nieczajewem, anarchistą. Śmierć Pawła była jedynie przynętą mającą go zwabić z Drezna do Petersburga. To właśnie on był przez cały czas ofiarą. Dał się wywabić z ukrycia, a teraz Nieczajew skoczył i schwycił go za gardło.

Patrzy na Nieczajewa z wściekłością, ale ten pozostaje nieugięty.

17. TRUCIZNA

Słońce przesuwa się nisko po bladym, czystym niebie. Wyszedłszy z plątaniny uliczek na Prospekt Wozniesieński, musi zamknąć oczy. Wraca powalający zawrót głowy, każąc zatęsknić za komfortem opaski na oczach i kierującej dłoni.

Jest zmęczony wirem Petersburga. Tęskni za Dreznem jak za atolem spokoju – za Dreznem, żoną, swoimi książkami i papierami, za setkami drobnych udogodnień, jakie składają się na pojęcie domu, wśród nich zaś za wcale niemałą przyjemnością świeżej bielizny. I to właśnie teraz, kiedy pozbawiony paszportu nie może wyjechać! „Paweł!”, szepce, powtarzając zaklęcie. Ale nie czuje kontaktu z Pawłem i logiką pozostawania w Petersburgu, ponieważ Paweł tu umarł. To, co go tu trzyma, to już nie pamięć o Pawle ani nawet Anna Siergiejewna, lecz dół, jaki mu wykopał zdrajca Pawła. Skręcając nie w lewo, w stronę ulicy Swiecznoj, lecz w prawo w kierunku ulicy Sadowej, ma nadzieję, że Nieczajew idzie za nim, śledzi go.

W poczekalni taki sam tłok jak przedtem. Zajmuje miejsce w kolejce. Po dwudziestu minutach dociera do bariery.

– Dostojewski. Melduję się zgodnie z żądaniem – mówi.

– Czyim żądaniem? – Urzędnik za biurkiem jest

młodym człowiekiem, nawet bez policyjnego munduru.

Wyrzuca ręce w górę z irytacji.

– Skąd mogę wiedzieć? Kazano mi się zameldować, więc się melduję.

– Proszę usiąść. Ktoś się panem zajmie.

On aż kipi z rozdrażnienia.

– Nie potrzebuję, żeby się mną ktoś zajmował, dość że tu jestem! Zobaczył mnie pan w moim własnym ciele, czego jeszcze panu trzeba? I jak mam usiąść, skoro nie ma na czym?

Urzędnik jest najwyraźniej speszony jego gwałtownością. Inni w poczekalni też przyglądają mu się ciekawie.

– Proszę zapisać moje nazwisko i będzie koniec! – domaga się.

– Nie mogę zapisać pana nazwiska – odpowiada rozsądnie urzędnik. – Skąd mam wiedzieć, czy to jest pańskie nazwisko? Niech pan pokaże paszport.

Nie może pohamować gniewu.

– Najpierw konfiskujecie mi paszport, a potem żądacie, abym go okazał? To obłąd! Żądam widzenia z radcą Maksimowem!

Lecz jeśli oczekuje, że urzędnik ugnie się pod wrażeniem nazwiska Maksimowa, to się myli.

– Radcy Maksimowa nie ma. Najlepiej będzie, jeśli pan się uspokoi i usiądzie. Ktoś się panem zajmie.

– A kiedy to nastąpi?

– Bo ja wiem? Nie pan jeden ma kłopoty. – Gestem

wskazuje zatłoczoną poczekalnię. – W każdym razie, jeżeli chce pan złożyć skargę, musi pan to zrobić na piśmie. Nie możemy nic zrobić, jeśli nie mamy czegoś na piśmie, w co moglibyśmy zatopić zęby, jakby to powiedzieć. Wygląda pan na człowieka kulturalnego. Potrafi więc pan to docenić. – I zwraca się do następnego w kolejce.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że gdyby mógł się teraz zobaczyć z Maksimowem, przehandlowałby Nieczajewa za swój paszport. Gdyby się w ogóle zawahał, to tylko dlatego, iż jest przekonany, że być zdradzonym – i to właśnie przez niego, Dostojewskiego – jest dokładnie tym, czego Nieczajew pragnie. A może jest jeszcze gorzej, może intryga jest głębsza? Czy to możliwe, że za tymi aż nadto licznymi insynuacjami o jego, Dostojewskiego, potencjale zdrady kryje się zamiar spieszenia i powstrzymania go? Czuje, że na każdym kroku jest pokonywany i pokonywany, być może dlatego, że chce zostać pokonany – pokonany przez gracza, który od dnia spotkania, a nawet wcześniej, dostrzegł przyjemność, jaką on, Dostojewski, czerpie z ulegania – z tego, że się przeciwko niemu spiskuje, że się zastawia na niego pułapkę, że się go uwodzi – i wykorzystał to dla własnych celów. Jakże inaczej zdoła wytłumaczyć tę swoją głupią bierność, ten stan na wpół otumanionego sumienia?

Czy tak samo było z Pawłem? Czy Paweł nie był w głębi ducha synem swojego ojczyma, podatnym na lubieżne pokusy uwiedzenia?

Nieczajew mówił o finansistach jako o pająkach, lecz

on w tej chwili nie czuje się niczym innym jak muchą w sieci Nieczajewa. Jest tylko jeden większy od Nieczajewa pająk: pająk Maksimow, który siedzi za burkiem, oblizuje wargi i wypatruje następnej ofiary. Jedyna nadzieja, że pożre Nieczajewa, połknie go w całości, zmiążdży mu kości i wypluje suche resztki.

I tak, po tylu samogratulacjach, zniżył się do najpodlejszej mściwości. Czy może niżej upaść? Przypomina sobie uwagę Maksimowa: błogosławieni w takim jak ten wieku są ojcowie córek. Jeśli już muszą być synowie, lepiej ojcować im na odległość, jak żaba lub ryba.

Wyobraża sobie pajaka Maksimowa w domu, z krzątającymi się wokół trzema córkami, które go głaszczą swymi pazurami, posykując cicho, i do niego też czuje ogromną złość.

Spodziewał się szybkiej odpowiedzi od Apollona Majkowa, ale dozorca twierdzi, że nie ma żadnej wiadomości.

– Jesteś pewien, że mój list został dostarczony?

– Mnie się pan pyta? Niech się pan spyta chłopca, który go zaniósł.

Próbuje znaleźć tego chłopca, ale nikt nie wie, gdzie on jest.

Czy powinien jeszcze raz napisać? Jeżeli pierwsza prośba dotarła do Majkowa i została zignorowana, to czy druga prośba nie wyda się nikczemna? On jeszcze nie jest

żebrakiem. To prawda jednak, jakkolwiek niemiła, że żyje z dnia na dzień na łasce Anny Siergiejewny. Nie może też liczyć, że jego obecność w Petersburgu pozostanie długo nie zauważona. Wieść o jego obecności wkrótce się rozejdzie, jeżeli już się nie rozeszła, i w każdej chwili jego liczni wierzyciele mogą wystąpić o aresztowanie go. Brak pieniędzy wcale go nie chroni: wierzyciele mogą z powodzeniem liczyć, że w ostateczności jego żona lub rodzina żony, a nawet jego koledzy pisarze zdobędą pieniądze, aby go ocalić od hańby.

Tym większy powód, aby się wydostać z Petersburga! Musi odzyskać paszport, a jeśli mu się nie uda, znów zaryzykować podróż z papierami Isajewa.

Obiecał Annie Siergiejewnie, że zajrzy do chorego dziecka. Zastaje zasłonę alkowy odsuniętą, a Matryonę siedzącą na łóżku.

– Jak się czujesz? – pyta.

Dziewczynka nie odpowiada, pochłonięta własnymi myślami.

Podchodzi bliżej, kładzie rękę na jej czole. Dziewczynka ma na policzkach wypieki, płytki oddech, ale nie od gorączki.

– Fiodorze Michajłowiczu – mówi wolno i nie patrząc na niego – czy umieranie boli?

Jest zdumiony kierunkiem, jaki obrały jej myśli.

– Kochanie – odpowiada – ty nie umrzesz! Połóż się, prześpij, a jak się zbudzisz, poczujesz się lepiej. Za kilka dni będziesz znowu w szkole... słyszałaś, co doktor

powiedział.

Ale jeszcze nie skończył mówić, gdy zaczęła trząść głową.

– Nie chodzi o mnie – mówi. – Czy to kogoś boli, jak umiera?

Teraz on wie, że dziewczynka mówi poważnie.

– W chwili śmierci?

– Tak. Nie wtedy, kiedy się jest zupełnie martwym, ale tuż przedtem.

– Kiedy się wie, że się jest martwym?

– Tak.

Ogarnia go uczucie wdzięczności. Od wielu dni zamykała się przed nim, umykała w upór i dziecinność, pozwalała sobie na urazy, odmawiała dzielenia się cennymi wspomnieniami o Pawle, które nosi w sobie. A teraz znów stała się sobą.

– Zwierzętom nie jest trudno umierać – mówi łagodnie. – Być może powinniśmy się uczyć od nich. Może dlatego właśnie są z nami tu, na ziemi... żeby nam pokazać, że życie i śmierć nie są takie trudne, jak myślimy.

Urywa, potem znów próbuje.

– To, co nas najbardziej przeraża w śmierci, to nie ból. To lęk, że musimy zostawić tych, których kochamy, i iść samotnie. Ale tak nie jest, po prostu nie jest. Gdy umieramy, zabieramy z sobą naszych drogich, w piersi. W ten sposób Paweł zabrał z sobą ciebie, kiedy umarł, i mnie, i twoją matkę. Wciąż ma w sobie wszystkich nas. Wcale nie jest sam.

Ona jednak znów mówi z ospałością i wyrazem oderwania:

– Ja nie myślałam o Pawle.

On jest zaniepokojony, nie rozumie, lecz musi minąć jeszcze chwila, aby mógł ocenić, jak dalece nie rozumie.

– O kim więc myślisz?

– O tej dziewczynie, która tu była w sobotę.

– Nie wiem, o kogo chodzi.

– O tej przyjaciółce Siergieja Giennadiewicza.

– O tej Fince? Dlatego, że policja ją tu przyprowadziła? Wcale nie musisz się tym martwić! – Bierze jej rączkę i głaszcze uspokajająco. – Nikt nie umrze! Policja nie zabija ludzi! Odeślą ją z powrotem do Karelii i koniec. W najgorszym razie potrzymają trochę w więzieniu.

Dziewczynka cofa rękę i odwraca się twarzą do ściany. On zaś zaczyna sobie zdawać sprawę, że może nawet teraz nie rozumie. Ze może ona wcale nie chce uspokojenia, uwolnienia od dzieciennych lęków – że w ten dookolny sposób próbuje mu powiedzieć, czego on nie wie.

– Boisz się, że zostanie stracona? Tego się boisz? Z powodu czegoś, co zrobiła?

Dziewczynka potrząsa głową przecząco.

– Więc musisz mi powiedzieć. Nie mogę dalej zgadywać.

– Oni wszyscy ślubowali, że nigdy nie dadzą się złapać. Ślubują, że prędzej się zabiją.

– Łatwo ślubować, Matriosza, dużo trudniej spełnić śluby, zwłaszcza gdy przyjaciele cię opuszczą i jesteś zupełnie sama. Życie jest bardzo cenne. Ona ma rację, że trwa przy życiu, nie można jej za to winić.

Matriosza znowu wpada w zamyślenie, mnąc w roztargnieniu prześcieradło. A gdy zaczyna mówić, to szeptem i ze schyloną głową, tak że on ledwie może pochwycić jej słowa:

– Dałam jej truciznę.

– Co jej dałaś?

Dziewczynka odgarnia włosy z twarzy, a on dostrzega to, co ukrywała: leciuteńki uśmiech.

– Truciznę – mówi tak samo cicho. – Czy trucizna boli?

– Jak to zrobiłaś? – pyta, by zyskać na czasie, podczas gdy myśli przelatują mu przez głowę jak szalone.

– Kiedy dawałam chleb. Nikt nie zauważył.

Przypomina sobie tę scenę, która go dziwnie wzruszyła: staroświecki dyg, zaoferowanie więźniarce jadła.

– Ona to wiedziała? – pyta szeptem z suchymi ustami.

– Tak.

– Jesteś pewna? Jesteś pewna, że wiedziała, co to?

Dziewczynka potakuje ruchem głowy. A wspominając, jaka sztywna, jak niewdzięczna się wydawała Finka w owej chwili, nie może wątpić w jej słowa.

– Ale skąd wzięłaś tę truciznę?

- Siergiej Giennadiewicz zostawił ją dla niej.
- Co jeszcze zostawił?
- Flagę.
- Flagę i co jeszcze?
- Kilka innych rzeczy. Prosił, żebym ich pilnowała.
- Pokaż.

Dziewczynka gramoli się z łóżka, klęka, gmera wśród sprężyn łóżka i wyjmuje płócienne zawiniątko. On rozwija je na łóżku. Amerykański pistolet z nabojami. Jakieś ulotki. Mała bawełniana torebka zawiązana tasiemką.

- Trucizna jest właśnie w niej – mówi Matriona.

On poluzowuje tasiemkę i wysypuje zawartość: trzy szklane kapsułki zawierające zielony proszek.

- Dałaś jej to?

Dziewczynka kiwa głową.

– Powinna mieć jedną zawieszoną na szyi, ale nie miała. – Zręcznie zakłada sznureczek na szyję, tak iż torebka zwisa jej między piersiami jak medalik. – Gdyby to miała przy sobie, wcale by jej nie złapali.

- Więc dałaś jej jedną kapsułkę.

– Chciała dotrzymać ślubu. Ona zrobiłaby wszystko dla Siergieja Giennadiewicza.

– Może. Przynajmniej tak mówi sam Siergiej Giennadiewicz. Gdybyś jej jednak nie dała tej trucizny, łatwiej by jej było nie dotrzymać obietnicy danej Siergiejowi Giennadiewiczowi, którą tak trudno dotrzymać... prawda?

Marszczy nos, co jak się zdołał przekonać, jest u niej

oznaka, że została zapędzona w kozi róg, i to się jej nie podoba. Niemniej ciągnie dalej.

– Czy nie sądzisz, że Siergiej Giennadiewicz zbyt swobodnie szafuje śmiercią? Pamiętasz tego zabitego żebraka? To Siergiej Giennadiewicz go zabił albo powiedział komuś, żeby go zabił, i ten ktoś posłuchał, tak jak ty posłuchałaś.

Dziewczynka znowu marszczy nos.

– Czemu? Czemu chciał, żeby go zabito?

– Aby dać poznać światu, jak przypuszczam, że on, Siergiej Giennadiewicz Nieczajew, nie da sobą pomiatać. Albo żeby sprawdzić, czy osoba, której kazał dokonać mordy, posłucha go. Nie wiem. Nie mogę przeniknąć jego serca, a zresztą już nie chcę.

Matriona myśli chwilę.

– Nie lubiłam go – mówi w końcu. – Śmierdział rybą.

On patrzy na nią bez zmrużenia powiek, a ona odwzajemnia mu się szczerym spojrzeniem.

– Ale lubisz Siergieja Giennadiewicza.

– Tak.

On zaś chce zapytać, ale nie śmie: czy go kochasz? Czy ty też zrobiłabyś dla niego wszystko? Lecz ona świetnie wie, o co mu chodzi, i już odpowiedziała. Toteż zostało tylko jedno pytanie:

– Bardziej niż Pawła?

Dziewczynka się waha. Widać, jak waży je obie, swoje dwie miłości, jedną w lewej, drugą w prawej dłoni, jak jabłka.

– Nie – mówi wreszcie z tym, co on może nazwać jedynie poczuciem przyzwoitości – wciąż jeszcze więcej lubię Pawła.

– Bo przecież trudno o kogoś bardziej odmiennego niż oni dwaj. Jak kreda i ser.

– Kreda i ser? – Myśl wydaje jej się śmieszna.

– Takie sobie powiedzonko. Koń i wilk. Jeleń i wilk.

Rozważa to nowe porównanie powątpiewająco.

– Obaj lubią się bawić... lubili – sprzeciwia się, potykając na czasowniku.

On jednak potrząsa głową.

– Nie. Mylisz się. Siergiej Giennadiewicz nie ma w sobie radości. Z całą pewnością jest w nim jakiś duch, ale to nie duch radości. – Pochyliła się nad nią, odgarnia włosy opadające skrzydłem na jej twarz, dotyka jej policzka.

– Słuchaj, Matriosza. Nie możesz chować tych rzeczy przed mamą. – Wskazuje narzędzia śmierci. – Pozbędę się ich za ciebie, tak jak pozbyłem się sukni. Niech Nieczajew mówi, co chce, nie możesz ich trzymać u siebie. To zbyt niebezpieczne. Rozumiesz?

Jej wargi rozchylają się, kąciki ust drżą. Zdaje mu się, że dziewczynka zaraz się rozpłacze. Ale wcale tak nie jest. Kiedy unosi wzrok, obejmuje go spojrzeniem zarazem bezwstydnym i szyderczym. Odsuwa się od jego dłoni i odrzuca z twarzy włosy.

– Nie! – mówi. Jej uśmiech jest sarkastyczny, prowokujący. Nagle czar pryska i znów widać w niej tylko

dziecko, zmieszane, zawstydzone.

Niemożliwe, że to, co przed chwilą widział, naprawdę się wydarzyło. To, co przed chwilą widział, nie jest ze świata, który zna, ale z jakiegoś innego. Zupełnie jakby pierwszy raz w czasie ataku nie stracił przytomności, tak iż po raz pierwszy miał oczy otwarte na to, gdzie jest, kiedy ma atak. W rzeczy samej musi się zastanowić, czy słowo atak jest wciąż odpowiednim słowem, czy tym słowem od początku nie powinno być opętanie – czy wszystko, co przez minione dwadzieścia lat kryło się pod nazwą atak, nie było przeczuciem tego, co się teraz dzieje, trzęsienie się i podrygiwanie ciała jako wydłużone preludium do roztrzęsienia ducha.

Śmierć niewinności. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny. Jest jak wędrowiec na niezmierzonej równinie. Nad głową zbierają się chmury nawałnicy, na horyzoncie pojawia się błyskawica, mrok gęstnieje. Nigdzie schronienia. Jeżeli niegdyś miał jakiś cel wędrowki, to dawno go utracił. Im dłużej chmury się gromadzą, tym cięższe się stają. **Niech wreszcie rozpęta się burza!** – błaga – po co zwlekać?

Jest szósta i na ulicach wciąż są tłumy, kiedy idzie spiesźnie, niosąc swoją paczkę. Idzie ulicą Grochową do kanału Fontanka i wkracza wraz z tłumem na most. W połowie mostu staje i przechyla się przez barierkę.

Woda jest zamarznięta, jeśli nie liczyć nieregularnego pasa biegnącego środkiem. Jaki tam musi być grzechot pod

lodem. W wiosenne roztopy można by stąd wyciągnąć włókiem sporo nieczystych tajemnic: noży, siekier, skrwawionych ubrań. A nawet gorszych rzeczy. Łatwo zabić ducha, trudniej pozbyć się tego, co po nim zostało. Prawdę rzekłszy, cały pochówek i towarzyszące mu zaklęcia nie są skierowane ku duszy, lecz ku uporczywemu ciału, aby nie śmiało powstać i powrócić.

W ten sposób, ostrożnie, jak człowiek sondujący własną ranę, dopuszcza znowu Pawła do swoich myśli. Pod warstwą ziemi i śniegu na wyspie Jełagin, Paweł, niezaspokojony, wciąż uparcie istnieje. Kurczy się z zimna, kurczy się na myśl o eonach, jakie musi przetrwać do dnia zmartwychwstania, gdy grobowce zostaną rozłupane, a groby rozwarte, szczerząc zęby, tak jak każda naga czaszka, znosząc to, co musi znieść, dopóki słońce znów go nie zagrzeje i będzie mógł rozluźnić swoje skurczone członki. Biedne dziecko!

Obok przystanąła para młodych. Mężczyzna obejmuje ramiona kobiety. On odsuwa się nieco od nich. Pod mostem czarna woda płynie leniwie, chlupocząc o połamaną skrzynkę ozdobioną girlandami sopli. Umieszcza na poręczy mostu płócienne zawiniątko obwiązane sznurkiem. Dziewczyna spogląda na niego, odwraca wzrok. W tej samej chwili on popycha zawiniątko.

Zawiniątko pada na lód tuż obok nurtu i leży tam na oczach wszystkich.

On nie może uwierzyć własnym oczom. Stoi wprost

nad nurtem, a mimo to nie trafił! Czy to sztuczka paralaksy? Czyżby nie wszystkie przedmioty spadały prostopadle?

– Teraz masz zgryz! – mówi jakiś głos z lewej, płosząc go. Jakiś mężczyzna w robociarskiej czapce, stary i z siwą brodą, puszcza do niego oko. Co za diabelska twarz!

– Co najmniej z tydzień nie będzie bezpiecznie wejść na ten lód. Co zamierzasz teraz zrobić?

Pora na atak, myśli. Wtedy moja czara będzie przepełniona. Widzi samego siebie w konwulsjach i z pianą na ustach, tłum gromadzący się wokół, a także tego z siwą brodą, jak pokazuje wszystkim pistolet leżący na lodzie. Atak, niczym grom z nieba, który uderza grzesznika. Ale grom nie pada.

– Nie twój interes! – mruczy i spieszenie odchodzi.

18. DZIENNIK

Już trzeci raz zasiada do czytania Pawłowych papierów. Nie wie, co sprawia, że czytanie ich jest takie trudne, ale uwaga wciąż mu umyka od sensu słów do nich samych, do liter na papierze, do śladu atramentu, jaki pozostawiły ruchy ręki, do cieni powstałych od nacisku palców. Są chwile, gdy zamyka oczy i przykłada usta do kartki. Drogie: każda kreska na papierze jest mi droga, mówi sobie.

Ale to coś więcej niż tylko niechęć. Jest w tym wtargnięciu w sprawy Pawła coś brzydkiego, coś obscenicznego.

Syberyjskie opowiadanie Pawła zostało mu oszpecone, może już na zawsze, drwiną Maksimowa. Nie może udawać, że nie jest to pisanstwo młodzieńcze, pełne zapożyczeń. Jednakże tak niewiele trzeba, aby tchnąć w nie życie! Aż korci, żeby wziąć pióro, wykreślić długie fragmenty zaprawione czułościowością i doktrynerstwem i dodać życiodajne pociągnięcia pióra, o jakie tekst aż się prosi. Młody Siergiej jest obłudnym kołtunem, którego należy ukazać z dystansu, dowcipniej, zwłaszcza w jego poważnym podejściu do ćwiczeń cielesnych. Młodej wieśniaczki z całą pewnością nie pociągała w nim obietnica życia małżeńskiego (dieta złożona z rzepy i suchego chleba, a zamiast łoża gołe deski), lecz wrażenie, że czeka go jakieś tajemnicze przeznaczenie. Skąd to

zostało zaczerpnięte? Z Czernyszewskiego, oczywiście, a dalej z Ewangelii, z Jezusa – z naśladowania Jezusa w sposób tak tępy i przewrotny, jak u ateisty Nieczajewa, gromadzącego wokół siebie bandy uczniów i zaprzęgającego ich w służbę śmierci. Kobziarz ze stadem świń, które podążają za nim tanecznym krokiem. „Ona dla niego wszystko zrobi”, mówiła Matriona o śwince Katri. Zrobi wszystko, zniesie wszelkie upokorzenia, nawet śmierć. Przy całym braku wstydu, całym braku szacunku dla samej siebie. Co zaszło między Nieczajewem a jego kobietami w tym pokoju nad zakładem Madame La Fay? A Matriona – czy i ją się przygotowuje do tego haremu?

Zamyka rękopis Pawła i odkłada na bok. Jeżeli zacznie poprawiać, z pewnością zamieni go w obrzydlistwo.

Jest jednak jeszcze dziennik. Kartkując go, zauważa po raz pierwszy szlaczek znaczków zrobionych ołówkiem, ptaszków, które nie zostały postawione ręką Pawła, a więc musiał je postawić Maksimow. Dla kogo są przeznaczone? Prawdopodobnie dla kopisty. Jednakże w swoim obecnym stanie dopatruje się w nich jedynie dyrektyw dla siebie.

„Widziałem dziś A” – czyta zaznaczony ptaszkiem zapis dotyczący 11 listopada 1868, niemal sprzed roku. 14 listopada: tajemnicze „A”. 20 listopada: „A u Antonowa”. Odtąd każda wzmianka o „A” jest opatrzona ptaszkiem.

Wraca do początku. Najwcześniejsze „A” przypada na 6 czerwca, jeśli nie liczyć 14 maja, gdzie jest zapis: „Długa rozmowa z – O”, z ptaszkiem i znakiem zapytania obok.

14 września 1868, na miesiąc przed śmiercią: „Zarys

opowiadania (pomysł A). Zamknięta brama, a my stoimy przed nią, łomoczymy i krzyczymy, aby nas wpuszczono. Co kilka dni brama uchyla się trochę i strażnik przyzywa jednego z nas. Wybraniec zostaje odarty ze wszystkiego, co posiada, nawet z ubrania. Staje się sługą, uczy się kłaniać i nie podnosić głosu. Na sługi wybierają tych, których uważają za najpotulniejszych, najłagodniejszych do oswojenia. Silnym bronią wstępu”.

„Temat: rozbudzenie ducha wśród sług. Najpierw szemranie, potem gniew, buntowniczość, wreszcie połączenie rąk, poprzysiężenie zemsty. Kończy się wejściem starego wiernego sługi, siwego, dobrodusznego, ze świecznikiem, aby zrobić swoje, jak sam to określa i podpala firanki”.

Pomysł na przypowieść, alegorię, ale nie opowiadanie. Żadnego własnego życia, żadnego ośrodka. Żadnego ducha.

6 lipca 1869: „W poczcie dziesięć rubli od Snitkiny na imieniny (spóźnione), z przykazaniem, aby nie mówić o tym Mistrzowi”.

„Snitkina”: Ania, jego żona. „Mistrz”: on sam. Czy to miał na myśli Maksimow, gdy go ostrzegł przed bolesnymi fragmentami? Jeśli tak, wówczas Maksimow powinien wiedzieć, że to za ledwie prztyczek. On potrafi znieść więcej, znacznie więcej.

Przerzuca kartki wstecz, do wcześniejszych dni.

26 marca 1867: „Wczoraj wieczorem natknąłem się na F.M. na ulicy. Skradał się (czyżby był na kurwach?),

musiałem więc udać bardziej pijanego, niż byłem w istocie. Skierowałem moje kroki ku domowi (uwielbia rolę ojca wybaczącego synowi marnotrawnemu), położyłem mnie na sofie, a sam wdałem się szeptem w kłótnię ze Snitkiną. Zgubiłem buty (a może je komuś oddałem). Skończyło się na tym, że F.M., w koszuli, próbował umyć mi nogi. Wszystko to b. krępujące. Dziś rano powiedziałem S., że muszę mieć własne mieszkanie i czy ona nie może jakoś na niego wpłynąć, użyć sobie znanych podstępów. Ale ona się go także boi”.

Bolesne? Tak, bardzo bolesne: trzeba to przyznać Maksimowowi. Jednak jeśli cokolwiek może powstrzymać go od tej lektury, to nie ból, lecz lęk. Lęk, na przykład, że jego zaufanie do żony zostanie podkopane. Także lęk o zaufanie pokładane w Pawle.

Dla kogo były przeznaczone te złośliwe strony? Czy Paweł zapisał je dla ojcowych oczu, a potem umarł, by te oskarżenia były nie do odparcia? Oczywiście, nie: cóż za szaleństwo tak myśleć! Raczej jak kobieta pisząca do kochanka, podczas gdy znajoma widmowa postać męża zagląda jej przez ramię. Każde słowo w podwójnym znaczeniu: dla jednego namiętność i obietnica uległości, dla drugiego wymówka, wyrzuty. Rozdwojone pisanie, z rozdwojonego serca. Czy Maksimow by to pochwalił?

2 lipca 1867, trzy miesiące później: „Wyzwolenie poddanego! Nareszcie wolny! Odprowadziłem F.M. i pannę młodą na dworzec kolejowy. Potem natychmiast złożyłem rezygnację z tego **niemożliwego** mieszkania,

w którym mnie umieścił (**własny kubek, własne kółko** na serwetkę i konieczność powrotu przed wpół do jedenastej). W.G. powiedział, że mogę u niego mieszkać, dopóki nie znajdę innego lokum. Muszę przekonać Majkowa, że powinienem sam płacić czynsz”.

W roztargnieniu przerzuca kartki to w przód, to w tył. Przebaczenie: czy nie ma tu ani słowa przebaczenia, chociażby pośredniego, chociażby zakamuflowanego? Nie zdoła dożyć swoich dni z dzieckiem w sobie, z dzieckiem, którego ostatnie słowo nie było słowem przebaczenia.

W cynowej szkatułce srebrna szkatułka. W srebrnej szkatułce złota szkatułka. W złotej szkatułce ciało młodego człowieka w bieli z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Między palcami telegram. On wpatruje się w ten telegram, aż mu się zaczyna kręcić w głowie, szuka słów przebaczenia, których tam nie ma. Telegram jest napisany po hebrajsku, syryjsku, znakami, jakich nigdy dotąd nie widział.

Rozlega się pukanie do drzwi. To Anna Siergiejewna w wyjściowym ubraniu.

– Dziękuję za przypilnowanie Matrioszy. Czy nie sprawiła kłopotu?

Mija chwila, zanim udaje mu się pozbierać, przypomnieć sobie, że ona nic nie wie o tym, jak obrzydliwie Nieczajew wykorzystał jej dziecko.

– Najmniejszego. Jak ci się ona wydaje?

– Śpi, nie chcę jej budzić.

Zauważa papiery porozkładane na łóżku.

– Widzę, że w końcu zabrałeś się do czytania papierów Pawła. Nie chcę przeszkadzać.

– Nie, nie idź jeszcze. To nie jest przyjemne zajęcie.

– Fiodorze Michajłowiczu, proszę jeszcze raz, nie czytaj, co nie było przeznaczone dla twoich oczu. Tylko się ranisz.

– Chciałbym móc pójść za twoją radą. Niestety, nie po to jestem tutaj ... żeby uniknąć bólu. Przeglądałem dziennik Pawła i natrafiłem na opis zdarzenia, które pamiętam aż nadto dobrze z pozaprzeszłego roku. Bardzo pouczające zobaczyć to teraz cudzymi oczyma. Paweł przyszedł do domu w środku nocy... po pijaństwie. Musiałem go sam rozebrać i uderzyło mnie coś, czego nigdy przedtem nie widziałem... jakie małe miał paznokcie u nóg, jakby nie rosły, odkąd był dzieckiem. Szerokie, mięsiste stopy... chyba po ojcu... z małutkimi paznokietkami. Zgubił gdzieś buty albo komuś oddał. Miał stopy jak bryły lodu.

Paweł kroczący zimnymi ulicami po północy w skarpetkach. Zagubiony anioł, niedoskonały anioł, jeden z odrzuconych przez Boga. Jego stopy to stopy wędrowca stąpającego po naszej wielkiej matce, stopy wieśniaka, nie tancerza.

Potem na sofie z kolebiącą się na boki głową, wymiotujący na całe ubranie.

– Dałem mu swoje stare buty i patrzyłem, jak odchodzi rankiem, w bardzo złym humorze, niosąc buty w ręku. I tyle wszystkiego, myślałem. Jednak to niewdzięczny wiek, te osiemnaście, dziewiętnaście lat, niewdzięczny dla

wszystkich, kiedy już są dorośli, ale jeszcze nie mogą opuścić gniazda. Upierzeni, a jednak niezdolni do lotu. Wciąż się odżywiający, wciąż głodni. Przypominają mi pelikany: wielkie niezdarne stwory, najbrzydsze z ptaków, póki nie rozpostrą tych swoich ogromnych skrzydeł i wzniosą się nad ziemię. Paweł, niestety, nie tak zapamiętał tę noc. W jego opisie nie ma nic o ptakach i aniołach. Nic o ojcowskiej trosce. Ojcowskiej miłości.

– Fiodorze Michajłowiczu, z takiego rozdierania sobie serca nie wychodzi nic dobrego. Skoro nie jesteś w stanie spalić tych papierów, to je przynajmniej zamknij gdzieś na jakiś czas i wróć do nich, kiedy zawrzesz pokój z Pawłem. Posłuchaj mnie i zrób, co mówię, ze względu na samego siebie.

– Dziękuję ci, kochana Anno. Słucham twoich słów i biorę je sobie do serca. Ale gdy mówię o oszczędzaniu sobie bólu, kiedy mówię o tym, czemu jestem tutaj, nie mam na myśli tego mieszkania ani Sankt Petersburga. Mam na myśli to, że nie jestem w naszych czasach w Rosji, żeby wieść żywot wolny od bólu. Muszę żyć – jak mam to nazwać? – rosyjskim życiem: życiem w Rosji albo Rosji we mnie i czymkolwiek, co Rosja oznacza. Nie jest to los, którego mogę uniknąć. Co nie znaczy, że przywiązuję do tego jakąś ogromną wagę. To nie jest życie, które można poddać zbytnej analizie. W rzeczywistości jest to nie tyle życie, ile cena lub waluta. Jest to coś, czym płacę, aby pisać. Tego właśnie Paweł nie rozumiał: że ja także płacę.

Anna się krzywi. On teraz rozumie, skąd Matriona

zaczerpnęła tę manierę. Irytuje ją takie wypruwanie własnych wnętrzności. Chwała jej za to! Za dużo w Rosji tego wypruwania wnętrzności.

Niemniej, **ja także płacę**: powtórzyłyby to jeszcze raz, gdyby chciała słuchać. Jeszcze raz i jeszcze. Płacę i sprzedaję: to jest moje życie. Sprzedaję moje życie, sprzedaję życie tych, co mnie otaczają. Sprzedaję wszystkich. Jakowlew kupujący życiem. Finka w końcu miała rację: Judasz, nie Jezus. Sprzedam ciebie, sprzedam twoją córkę, sprzedam wszystkich, których kocham. Sprzedałem Pawła żywego, a teraz sprzedam Pawła wewnątrz mnie, jeśli znajdę na to sposób. Mam nadzieję, że znajdę sposób, żeby sprzedać też Siergieja Nieczajewa.

Życie bez czci, zdrada bez granic, niekończące się wyznanie.

Anna wyrywa go z zamyślenia.

– Nadal zamierzasz wyjechać?

– Tak, oczywiście.

– Pytam, bo dowiadywano się o pokój. Dokąd pojedziesz?

– Najpierw do Majkowa.

– Mówiłeś, zdaje się, że nie możesz pójść do niego.

– On mi pożyczy pieniądze. Jestem tego pewien. Powiem, że są mi potrzebne na powrót do Drezna. Potem poszukam sobie jakiegoś pokoju.

– Czemu nie chcesz wrócić do Drezna? Czy to nie rozwiązałoby wszystkich twoich problemów?

– Policja zabrała mi paszport. Są też i inne powody.

– Bo na pewno zrobiłeś już wszystko, co mogłeś, i tylko tracisz czas w Petersburgu.

Czyż nie słyszała, co powiedział? Czy też usiłuje go sprowokować? Wstaje, zbiera papiery, odwraca się twarzą do niej.

– Nie, moja droga Anno, wcale nie tracę czasu. Mam wszelkie powody, aby tu pozostawać. Nikt na świecie nie ma więcej powodów. O czym w głębi serca wiesz na pewno.

Ona kręci głową.

– Może się mylę w szczegółach, ale uczucie mnie nie myliło. Żywiłem je dla ciebie od początku.

Gdyby chciała go powstrzymać, zrobiłaby to właśnie teraz. Ale nie powstrzymuje. Wydaje się pić jego słowa jak roślina wodę. A czemu by nie?

– Utrudniliśmy to sobie, rzucając się w... w to, w co się rzuciliśmy – ciągnie dalej.

– To także moja wina – mówi ona. – Ale nie chcę teraz o tym mówić.

– Ani ja. Powiem tylko, że w ciągu minionego tygodnia zdałem sobie sprawę, jak wiele znaczy dla nas wierność, dla nas obojga. Musieliśmy odzyskać naszą wierność. Mam rację czy nie?

Przygląda się jej bystro, lecz ona czeka, aż on powie coś więcej, chce się upewnić, że on wie, co znaczy wierność.

– Z twojej strony wierność córce. A z mojej – synowi. Nie możemy kochać, póki nie otrzymamy ich

błogosławieństwa. Mam rację?

Wie, że ona się z nim zgadza, choć jeszcze tego nie przyzna. On chce przełamać ten łagodny opór.

– Chciałbym mieć z tobą dziecko. – Ona się czerwieni.

– Co za nonsens! Przecież już masz żonę i dziecko!

– Oni są z innej rodziny. Ty jesteś z rodziny Pawła, ty i Matriona, wy obie. Ja też jestem z tej rodziny.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Wiesz w głębi serca.

– Wcale nie! Co mi proponujesz? Żebym wychowywała dziecko, którego ojciec mieszka za granicą i przysyła mi pocztą pieniądze na wydatki? Niedorzeczność!

– Czemu? Opiekowałaś się przecież Pawłem.

– Paweł był moim lokatorem, nie dzieckiem!

– Nie musisz się decydować od razu.

– Ale chcę! Nie! Oto moja decyzja!

– A jeśli już jesteś w ciąży?

Ona poważnieje.

– To nie twój interes!

– A gdybym postanowił nie wracać do Drezna? Gdybym został tu na zawsze, a pieniądze na wydatki posyłał do Drezna?

– Tu? W tym pokoju? W Petersburgu? Myślałam, że nie możesz zostać w Petersburgu, bo wierzyciele wsadziliby cię do więzienia.

– Mogę się pozbyć długów. Wystarczy, żebym odniósł jeden sukces.

Ona się śmieje. Może być zła, ale nie urażona. On może jej powiedzieć wszystko. Jakże inaczej z Anią! Z Anią byłyby łzy, trzaskanie drzwiami. Trzeba by było tydzień błagać, żeby zasłużyć na przebaczenie.

– Fiodorze Michajłowiczu – mówi ona – jutro się obudzisz i nie będziesz pamiętał ani jednego słowa. To był tylko taki twój kaprys. W ogóle się nad tym nie zastanawiałeś.

– Masz rację. Przyszło mi to nagle. Dlatego traktuję to z ufnością.

Nie pada mu w ramiona, ale i nie odpycha go.

– Bigamia! – mówi cicho, pogardliwie i znowu trzęsie się ze śmiechu. A potem, już poważniejszym tonem – Chciałbyś, żebym do ciebie przyszła dziś w nocy?

– Niczego więcej na świecie nie pragnę.

– Zobaczymy.

O północy wraca.

– Nie mogę zostać – mówi, ale jednocześnie zamyka drzwi za sobą.

Kochają się jakby pod groźbą wyroku śmierci, pochłonięci sobą, zdecydowani. Są chwile, gdy nie mógłby powiedzieć, które z nich jest które, które jest mężczyzną, które kobietą, gdy są jak szkielety, nagromadzenie kości i wiązadeł wciśnięte jedno w drugie, usta w usta, oko w oko, szczepione żebra, splątane piszczele.

Później ona leży przy nim w wąskim łóżku, z głową na jego piersi, z długą nogą zarzuconą na jego nogę. W głowie wiruje mu leciutko.

– Więc to miało spowodować narodzenie zbawcy?

– mruczy Anna. I, kiedy on nie rozumie – Istna rzeka nasienia. Chyba, żebyś miał pewność. Łóżko jest przesiąknięte.

Ciekawi go to bluźnierstwo. Wciąż znajduje w niej coś nowego i zaskakującego. Nie do pojęcia, by jeśli opuści Petersburg, nigdy do niego nie powrócił. Nie do pojęcia, aby miał nigdy więcej jej nie ujrzeć.

– Czemu mówisz: zbawcy?

– Czyż nie to właśnie ma uczynić: zbawić ciebie, zbawić nas oboje?

– Skąd ta pewność, że to będzie on?

– Och, kobieta wie.

– Co by pomyślała Matriosza?

– Matriosza? O małym braciszku? Ona niczego by bardziej nie pragnęła. Mogłaby mu matkować, ile dusza zapragnie.

Pozornie jego pytanie dotyczy Matrioszy, lecz jest to jedynie uboczna forma innego pytania, którego nie stawia, gdyż zna odpowiedź. Paweł nie ucieszyłby się z brata. Paweł chwyciłby go za nóżkę i roztrzaskałby mu główkę o ścianę. Dla Pawła nie byłby to zbawca, ale samozwaniec, uzurpator, chytre diablątko w pulchnym dziecięcym ciałku. A kto mógłby przysiąc, że się myli?

– Czy kobieta zawsze wie?

– Masz na myśli, czy wiem, czy jestem w ciąży? Nie martw się, to się nie stanie. – A później – Jeżeli pozostanę chociaż chwilę dłużej, to zasnę. – Odrzuca kołdrę i gramoli

się przez niego. W świetle księżyca odszukuje odzienie i zaczyna się ubierać.

On czuje coś jak ukłucie bólu. Powracają wspomnienia dawnych uczuć. Jeszcze nie umarły w nim młody człowiek usiłuje doprosić się o uwagę, trup jeszcze w nim nie pogrzebany. Jest o centymetry od zakochania się, od którego żaden zasób rozwagi nie jest w stanie go ocalić. Znowu ta choroba lub jakaś jej odmiana.

Impuls jest silny, lecz mija. Silny, lecz nie dość silny. Nigdy więcej dosyć silny, chyba że zdoła znaleźć w czymś podporę.

– Chodź tu na chwilkę – szepce.

Ona siada na łóżku, a on bierze ją za rękę.

– Czy mogę coś zaproponować? Sądzę, że byłoby niedobrze, gdyby Matriosza zaczęła się zadawać z Siergiejem Nieczajewem i jego przyjaciółmi.

Ona cofa rękę.

– Oczywiście. Ale czemu teraz o tym mówisz? – Jej głos jest zimny i głuchy.

– Bo myślę, że nie powinna być sama, kiedy on może przyjść.

– I co proponujesz?

– Czy nie mogłaby przebywać w dzień u Amalii Karłowny, póki nie wrócisz do domu?

– Nie mogę prosić takiej staruszki, żeby pilnowała chorego dziecka. Zwłaszcza że ona i Matriosza nie są ze sobą w najlepszych stosunkach. Czemu nie wystarczy powiedzieć Matrioszy, żeby nie otwierała obcym drzwi?

– Bo nie zdajesz sobie sprawy z rozmiaru władzy Nieczajewa nad nią.

Anna wstaje.

– To mi się nie podoba – mówi. – Nie wiem, dlaczego musimy rozmawiać o mojej córce w środku nocy.

Atmosfera pomiędzy nimi staje się nagle lodowata jak nigdy.

– Czy ja nie mogę nawet wymienić jej imienia, żeby cię nie rozdrażnić? – pyta rozpaczliwie. – Czy sądzisz, że poruszyłbym tę kwestię, gdyby dobro twojej córki nie leżało mi na sercu?

Anna nie odpowiada. Drzwi się otwierają i zamykają.

19. POŻARY

Przeskok od odnowionej intymności do odnowionego wyobcowania sprawia, że jest zbity z tropu i ponury. Waha się między tęsknotą za pogodzeniem się z tą trudną, drażliwą kobietą a gniewną ochotą umycia rąk nie tylko od tego niezadowolającego romansu, ale też od miasta żałoby i intrygi, z którym już nie czuje żywej więzi.

Miotła się. **Paweł!**, szepce, próbując przyjść do siebie. Ale Paweł puścił jego rękę, Paweł go nie ocali.

Przez cały ranek siedzi zamknięty u siebie z rękami obejmującymi kolana i zwieszoną głową. Nie jest sam. Ale wyczuwana w pokoju obecność nie jest obecnością syna. To jest obecność tysiąca drobnych demonów rojących się w powietrzu jak szarańcze wypuszczone ze słoja.

Kiedy wreszcie się otrząsa, zdejmuje z półki obie podobizny Pawła; dagerotyp, który przywiózł z sobą z Drezna, i szkic, który narysowała Matriona, składa, owija i chowa.

Wychodzi, żeby dokonać codziennego obowiązku zameldowania się na komisariacie. Gdy wraca, zastaje w domu Annę Siergiejewnę, na wiele godzin wcześniej niż zwykle, a przy tym w stanie wyraźnego podniecenia.

– Musieliśmy zamknąć sklep – mówi. – Cały dzień trwają starcia studentów z policją. Głównie w dzielnicy Piotrogradzkiej, ale po tej stronie rzeki też. Wszystkie sklepy są pozamykane... niebezpiecznie przebywać na

ulicach. Siostrzeniec Jakowlewa wracał wozem z targu i ktoś rzucił w niego brukowcem, zupełnie bez powodu. Ugodził go w przegub dłoni, wywołując straszny ból. Chłopak nie może ruszać palcami, myśli, że ma złamaną kość. Mówi, że do studentów przyłączają się robotnicy. A studenci znowu wzniesają pożary.

– Możemy pójść zobaczyć? – woła Matriona z łóżka.

– Wykluczone! To niebezpieczne. Poza tym wieje mroźny wiatr.

Niczym nie okazuje, że pamięta, co było w nocy.

On znów wychodzi, wstępuje do herbaciarni. W gazetach nie ma nic o bitwach na ulicach. Jest jednak obwieszczenie, że z powodu „powszechnego braku dyscypliny wśród studentów”, uniwersytet będzie zamknięty aż do odwołania.

Jest po czwartej. Mimo lodowatego wiatru idzie na wschód wzdłuż rzeki. Wszystkie mosty są zabarykadowane. Żandarmi w jasnoniebieskich mundurach i hełmach z pióropuszcami trzymają straż z bagnetami na karabinach. Na przeciwległym brzegu jarzą się w zmierzchu pożary.

Idzie wzdłuż rzeki i w końcu spostrzega pierwszy splądrowany i dymiący magazyn. Zaczął padać śnieg. Płatki śniegu w zetknięciu ze zwęglonymi belkami obracają się w nicość.

Nie oczekuje, że Anna Siergiejewna przyjdzie do niego znowu. Ona jednak przychodzi i tak jak poprzednio bez żadnych wyjaśnień. Zważywszy, że w sąsiednim

pokoju jest Matriona, zdumiewa go jej lekkomyślne zachowanie w łóżku. Jej krzyki i jęki są tylko na wpół stłumione. Nie są one i nigdy nie były dźwiękami zwierzęcej rozkoszy, z czego on zaczyna sobie zdawać sprawę, lecz środkiem służącym jej do wprawienia się w trans erotyczny.

Początkowo jej napięcie przenosi się na niego. Trwa długa chwila, w której znów ztraca wszelkie poczucie, kim jest on, kim ona. Otacza ich żarząca się kula rozkoszy. Unoszą się wewnątrz tej kuli jak bliźnięta, wirując z wolna.

Jeszcze nie znał kobiety, która by się tak bez reszty oddawała erotyzmowi. Niemniej, osiągając szczyt zapamiętania, zaczyna się wycofywać przed nią. Coś w niej się jakby zmienia. Doznania, które w pierwszą noc spędzoną razem pojawiły się głęboko w jej ciele, przechodzą jakby ku powierzchni. „Elektryzuje się” jak wiele innych kobiet, które znał.

Zażądała, aby nie gasił świecy stojącej na toalecie. Kiedy się zbliża do orgazmu, jej czarne oczy coraz bardziej wpatrują się w jego twarz, nawet kiedy powieki zaczynają drgać i przez jej ciało przechodzi dreszcz.

W pewnej chwili wypowiada szeptem słowo, które on zaledwie wpół-chwyta.

– Co? – pyta. Lecz ona tylko rzuca głową na boki i zaciska zęby.

Wpół-chwyta. Niemniej wie, co to za słowo: diabeł. Jest to słowo, którego on sam używa, chociaż nie wierzy, że w takim samym sensie co ona. Diabelstw o: chwila

rozpoczęcia orgazmu, gdy dusza zostaje wyrwana z ciała i spada spiralą w niepamięć. I gdy tak rzuca głową na boki, zaciska zęby, jęczy, nietrudno dostrzec, że jest również opętana przez diabła.

Po raz drugi, i z jeszcze większą zaciekłością, rzuca się w jego ramiona. Lecz studnia jest sucha i wkrótce oboje to pojmują.

– Nie mogę! – dyszy i nieruchomieje. Z uniesionymi rękami, z rozwartymi dłońmi, leży jakby w pozie poddania. – Już nie mogę! – Łzy zaczynają jej spływać po policzkach.

Świeca jasno płonie. Bierze w ramiona jej bezwładne ciało. Łzy ciągle płyną, a ona nie robi nic, aby je powstrzymać.

– Co się stało?

– Nie mam już siły. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Jestem wyczerpana. Zostaw nas, proszę, w spokoju.

– Nas?

– Tak, nas, obie. Dusimy się pod twoim ciężarem. Nie możemy oddychać.

– Powinnaś powiedzieć to wcześniej. Ja rozumiałem wszystko zupełnie inaczej.

– Ja cię nie winię. Próbowałam wziąć wszystko na siebie, ale już nie mogę. Byłam na nogach przez cały dzień, ubiegłej nocy nie spałam ani chwili, jestem wyczerpana.

– Myślisz, że cię wykorzystuję?

– Nie w ten sposób. Wykorzystujesz mnie jako dojście do mojego dziecka.

– Do Matriony! Co za nonsens! Sama w to nie wierzysz!

– To prawda! Każdy to może zobaczyć! Wykorzystujesz mnie jako drogę do niej i nie mogę tego znieść! – Siada na łóżku, krzyżuje ręce na nagich piersiach i kiwa się żałośnie w przód i w tył. – Jesteś we władzy czegoś, czego nie rozumiem. Zdaje się, że jesteś tutaj, a tak naprawdę jesteś gdzie indziej. Chciałam ci pomóc, ze względu ... – Wzrusza bezradnie ramionami. – Ale już dłużej nie mogę.

– Ze względu na Pawła?

– Tak, ze względu na Pawła, a także na to, co powiedziałaś. Byłam gotowa spróbować. Ale teraz to mnie za dużo kosztuje. Niszczy mnie. Nigdy bym się nie posunęła tak daleko, gdybym się nie bała, że się posłużysz w ten sam sposób Matrioszą.

Unosi rękę do jej ust.

– Mów ciszej. To jest straszliwe oskarżenie. Co ona ci mówiła? Ja bym jej nie dotknął nawet palcem, przysięgam.

– Na kogo? Na co przysięgasz? W co wierzysz, że mógłbyś na to przysiąc? W każdym razie to nie ma nic wspólnego z dotykiem palcem, jak dobrze wiesz. I nie uciszaj mnie. – Odrzuca kołdrę i szuka szlafroka. – Muszę być sama, bo inaczej oszaleję.

W godzinę później, właśnie kiedy on zasypia, ona przychodzi znów do jego łóżka, rozpalona, mocno przytulając się i oplatając go nogami.

– Nie zważaj na moje słowa – mówi. – Bywają chwile,

kiedy nie jestem sobą. Musisz do tego przywyknąć.

On budzi się w nocy jeszcze raz. Chociaż zasłony są zaciągnięte, w pokoju jest jasno jak podczas pełni księżyca. Wstaje i wygląda przez okno. Gdzieś, niecałą milę dalej, płomienie buchają w nocne niebo. Pożar szaleje za rzeką tak bardzo, iż mógłby przysiąc, że czuje żar.

Wraca do łóżka i do Anny. Tak też zastaje ich rankiem Matriona: jej matka, rozczochrana, mocno śpi, pochrapując lekko w zakrzywieniu jego ramienia, on zaś właśnie otwiera oczy i dostrzega poważne dziecko w drzwiach.

Widok, który mógłby z powodzeniem być zjawą senną. Ale on wie, że nie jest. Dziewczynka widzi wszystko, wszystko wie.

20. STAWROGIN

Nad miastem wisi chmura dymu. Z nieba pada popiół. Miejscami nawet śnieg jest szary.

Przez cały ranek siedzi sam w pokoju. Wie teraz, czemu nie wybrał się ponownie na Jełagin Ostrow. Ponieważ boi się, że zostanie ziemię odrzuconą na bok, grób ziejący pustką. Zwłoki niewłaściwie pogrzebane. Pogrzebane teraz w nim, w jego piersi, już nie płaczą, lecz syczą szaleńczo, nakłaniają szeptem do upadku.

Jest chory i zna nazwę swojej choroby. Nieczajew, głos wieku, zwie ją mściwością, ale właściwszą nazwą, mniej wspaniałą, byłaby złość.

Ma przed sobą wybór. Może zacząć krzyczeć w samym środku tego haniebnego upadku, bić ramionami jak skrzydłami, wzywać Boga albo żonę, żeby go ocaliła. Albo oddać mu się, odmówić chloroformu lęku lub utraty przytomności, wypatrywać natomiast i nasłuchiwać chwili, która może nadejść lub nie – nie leży w jego mocy ją wymusić – kiedy z bycia ciałem opadającym w ciemność stanie się ciałem, w którego wnętrzu to opadanie w ciemność się odbywa, ciałem, które zawiera własny upadek i własną ciemność.

Jeżeli komuś jest pisane przeżyć szaleństwo naszych czasów, powiedział Annie Siergiejewnie, to właśnie jemu. Nie wyjść z upadku bez szwanku, ale osiągnąć to, czego jego syn nie zdołał: wziąć się za bary ze świszczącą

ciemnością, wchłonąć ją, uczynić swoim narzędziem. Zmienić upadek w lot, choćby ten lot miał być powolny, starczy, niezdarny niby żółwi. Żyć tam, gdzie Paweł umarł. Żyć w Rosji i słuchać głosów Rosji mruczających wewnątrz siebie. Zawrzeć wszystko w sobie: Rosję, Pawła, śmierć.

Tak powiedział. Ale czy była to prawda, czy tylko przechwałki? Jego odpowiedź nie jest ważna, póki się przed tym nie cofnie. Nieważne też, że mówi przenośniami, czyniąc swoją żalosną i godną pogardy słabość symbolem wieku. Szaleństwo jest w nim i on w szaleństwie. Sądzą się wzajem. Jak się wzajem nazywają, szaleństwem, epilepsją, mściwością czy duchem czasu, nie ma znaczenia. Dom czynszowy, w którym mieszka, nie jest domem szaleństwa, nie jest też Sankt Petersburg miastem szaleństwa. To on jest szalony, a kto przyznaje, że jest szalony, jest szalony. Nic, co mówi, nie jest prawdą, nic nie jest fałszem, niczemu nie można ufać, niczego nie można lekceważyć. Nie ma nic, czego można by się przytrzymać, pozostaje jedynie upadek.

Wypakowuje przybory do pisania, rozkłada materiały. To już nie jest sprawa nasłuchiwanie głosu utraconego dziecka z ciemnej rzeki, nie sprawa zachowania wierności Pawłowi, kiedy wszyscy go opuścili. Wcale nie sprawa wierności. Przeciwnie, sprawa zdrady – przede wszystkim zdrady miłości, a następnie Pawła i matki, i dziecka, oraz wszystkiego innego. **Perwersja:** wszystko i wszyscy przeznaczeni do innego zastosowania, do zwarcia się i upadku wraz z nim.

Przypomina sobie pomocnika Maksimowa i pytanie, które mu zadał: „Jakie książki pan pisze?”. Zna już odpowiedź, jaką powinien dać: „Piszę wypaczenie prawdy. Obieram kręte drogi i prowadzę dziatki w ciemne zakątki. Kroczę za tańcem pióra”. W lustrze na toalecie dostrzega migawkowe odbicie siebie samego zgarbionego nad stolikiem. W szarym świetle, bez okularów, mógłby je wziąć za kogoś obcego. Czarna broda mogłaby być woalem albo rojem pszczoł.

Przesuwa krzesło, aby nie widzieć lustra. Ale wrażenie, że w pokoju jest prócz niego ktoś jeszcze, nie ustępuje: jeżeli nie ktoś z krwi i kości, to z patyków, strach na wróble odziany w stare ubranie, z wypchaną torbą papierową po cukrze zamiast głowy i zawiązanymi chustką ustami.

Jest roztargniony i zirytowany sam na siebie, że jest roztargniony. Sam duch tej irytacji trzyma straszdyło przewrotnie przy życiu, zaś niema obojętność straszdyła na jego irytację jeszcze ją podwaja.

Krąży po pokoju, przesuwa stolik drugi raz. Pochyla się nad lustrem, przygląda się swojej twarzy, przygląda się porom własnej skóry. Nie może pisać, nie może myśleć.

Nie może myśleć, a **zatem co?** Nie zapomniał o nocnym złodzieju. Jeżeli ma być zbawiony, to przez nocnego złodzieja, którego musi niezachwianie wypatrywać. Jednakże złodziej nie przyjdzie, póki pan domu o nim nie zapomni i nie zaśnie. Pan domu nie może bez ustanku czuwać i pilnować, w przeciwnym razie

przypowieść by się nie spełniła. Pan domu musi spać, a skoro musi spać, jakże Bóg może potępić jego sen? Bóg musi go zbawić, nie ma innego wyjścia. Jednakże wciągnięcie Boga w taką sieć rozumowania jest prowokacją i bluźnierstwem.

Znów jest w starym labiryncie. To inne ujęcie dziejów jego hazardu. Gra, ponieważ Bóg milczy. Gra, chcąc zmusić Boga, by przemówił. Ale zmuszanie Boga, by przemówił kartą, jest bluźnierstwem. Bóg przemawia tylko wtedy, kiedy milczy. Kiedy wydaje się mówić, nie mówi.

Godzinami siedzi tak przy stole. Pióro nie porusza się. Sporadycznie straszdyło powraca, stłamszona, starcza trawestacja jego samego. Jest zatarasowany, uwięziony.

A zatem? A zatem co?

Zamyka oczy, zmusza się do skonfrontowania z tą postacią, sprawia, że obraz staje się wyraźniejszy. Twarz jest wciąż okryta woalem, którego on nie jest w mocy zdjąć. Może to zrobić tylko sama postać, ona zaś nie chce tego zrobić, póki nie zostanie poproszona. Na to jednak on musi znać jej imię. Jakie to imię? Czy Iwanow? Czy to jest powrót Iwanowa, Iwanowa nieznanego, zapomnianego? Jakie było jego prawdziwe nazwisko? A może to Paweł? Kim był lokator, który zajmował ten pokój przed nim? Kto to był P.A.I., właściciel walizki? Czy P. oznacza Paweł? Czy Paweł to było prawdziwe imię Pawła? A jeśli Pawła wzywa się nieprawdziwym imieniem, to czy w ogóle przyjdzie?

Kiedyś Paweł był zatracony. Teraz on sam jest

zatracony, tak zagubiony, że nawet nie wie, jak wołać pomocy.

Gdyby upuścił pióro, to czy postać po drugiej stronie stolika podniosłaby je i zaczęła pisać?

Myśli o tym, co powiedziała Anna Siergiejewna: **Ty oplakujesz samego siebie.**

Łzy, które spływają mu po policzkach, są najwyższej czystości, niemal bezsolne w smaku. Jeśli odbywa się oczyszczenie, to, co jest czyszczone, jest dziwnie czyste.

W końcu nie będzie mu dane przywrócić martwego chłopca życiu. W końcu, jeśli będzie chciał się z nim spotkać, będzie musiał się z nim spotkać w śmierci.

Ta walizka. To białe ubranie. Gdzieś to białe ubranie wciąż istnieje. Czy jest sposób, aby rozpoczynając od stóp, odbudować ciało wewnątrz ubrania, aż się ukáže twarz, choćby to miała być wola twarz Baala?

Głowa postaci po drugiej stronie stolika jest trochę za duża, większa niż naturalnej wielkości. W rzeczywistości wszystkie proporcje postaci są subtelnie zachwiane, nieco przesadne.

Zastanawia się, czy sam nie dostał gorączki. Szkoda, że nie może zawołać Matriony z sąsiedniego pokoju, żeby dotknęła jego czoła.

W postaci tej nie wyczuwa nic, zupełnie nic. A raczej czuje wokół niej pole obojętności straszliwej w swej sile, niczym płaszcz ciemności. Czy to dlatego nie może znaleźć imienia – nie dlatego, że jest ono ukryte, ale dlatego, że postać jest obojętna na wszelkie imiona, wszelkie słowa,

wszystko, co może być o niej powiedziane?

Ta siła jest tak wielka, że czuje na sobie jej napór, fala za milczącą falą.

Trzeci probierz. Jego słowa do Anny Siergiejewny: jestem przysłany, by żyć życiem rosyjskim. Czy tak przejawia się Rosja – w tej sile, tej ciemności, tej obojętności na imiona?

A może to zakryte przed nim imię jest imieniem drugiego chłopca, tego, którego on się wypiera: Nieczajewa? Czy właśnie tego musi się nauczyć: że w oczach Boga nie ma różnicy pomiędzy nimi dwoma, Pawłem Isajewem i Siergiejem Nieczajewem, wróblami tej samej wagi? Czy będzie zmuszony porzucić ostatnią wiarę w niewinność Pawła i uznać w nim towarzysza i zwolennika Nieczajewa, niespokojnego młodego człowieka, który przyjął bez zastrzeżeń wszystko, co Nieczajew miał do zaoferowania: nie tylko przygodę konspiracji, lecz i rozpierającą duszę ekstazę zadawania śmierci? Skoro Nieczajew nienawidzi ojców i toczy z nimi nieubłaganą wojnę, więc czy Paweł mógł zostać jego zwolennikiem?

Zadając to pytanie, dopuszczając, że Paweł mógł posmakować nienawiści i żądzy krwi, czuje, że w nim także coś drga: początki furii, która jest odpowiedzią dla Pawła, dla Nieczajewa, dla nich wszystkich. Ojcowie i synowie: wrogowie, śmiertelni wrogowie.

Siedzi więc jak sparaliżowany. Albo Paweł pozostaje w nim, dziecko zamurowane w krypcie jego żalu, płaczące

bez ustanku, albo on uwalnia Pawła z całą jego wściekłością przeciwko rządcom ojców. Rozpętuje także własną wściekłość, jakby wyzwał dzina z butelki, przeciw nieuszanowaniu i brakowi wdzięczności ze strony synów.

Tyle tylko dostrzega: wybór, który nie jest wyborem. Nie może myśleć, nie może pisać, nie może płakać, chyba że w duchu i nad sobą samym. Póki Paweł, ten prawdziwy Paweł, nie odwiedzi go nie wzywany, z własnej i nieprzymuszonej woli, jest więźniem we własnej piersi. A nie ma pewności, czy Paweł już nie przychodził nocą, czy już nie przemówił.

Pawłowi dane jest przemówić tylko raz. Niemniej on nie może zaakceptować, że mu nie będzie darowane, jeśli był głuchy, tępy lub pogrążony we śnie, gdy słowo było wypowiedziane. Czego zatem nasłuchuje, to drugiego słowa Pawła. Jest absolutnie przekonany, że nie zasługuje na to drugie słowo, że tego drugiego słowa nie będzie. Ale jest absolutnie przekonany, że to drugie słowo padnie.

Wie, że grozi mu niebezpieczeństwo zaryzykowania drugiej szansy. Gdy tylko postawi na tę drugą szansę, przegra. Musi zrobić, czego nie może zrobić: przyjąć z rezygnacją to, co przyjdzie, mowa lub milczenie.

Boi się, że Paweł już przemówił. Jest przekonany, że Paweł przemówi. Jedno i drugie. Owies i siano.

W takim oto nastroju siedzi przy stoliku Pawła ze wzrokiem wbitym w zjawę naprzeciwko, której uwaga jest nie mniej nieugięta niż jego własna, którą było mu dane

powołać do życia.

To nie Nieczajew – teraz to wie. Ktoś większy od Nieczajewa. Również nie Paweł. Może taki Paweł, jakim mógłby być pewnego dnia, w pełni dorosły, o chłodnej twarzy, z rodzaju tych przystojnych, co to ich żadna miłość nie dotyka, nawet uwielbienie małej dziewczynki, **która zrobiłaby dla niego wszystko.**

Jest to niepokojąca wersja. Nieprawdziwa albo jeszcze nieprawdziwa. Lecz z tej wizji Pawła wyrosniętego ponad dzieciństwo i ponad miłość – wyrosniętego nie na sposób ludzki, ale na sposób owada, który całkowicie zmienia kształt w każdym stadium swojej ewolucji – wieje chłodem. Stanać z nią twarzą w twarz jest jak zstąpić w wody Nilu i stanać tam twarzą w twarz z czymś ogromnym, chłodnym i szarym, co mogło być kiedyś zrodzone z kobiety, ale z upływem wieków schroniło się w kamień, który jest nie z tego świata, który przerasta i przytłacza wszelkie pojęcie.

Chrystus na Kalwarii też go przytłacza. Ale postać naprzeciwko niego to nie Chrystus. Nie ma w niej miłości, tylko chłodna i masywna obojętność głazu.

Ta obecność taka szara, pozbawiona rysów – czy jest tym, czego ma być ojcem, czemu musi nadać ciało, krew, życie? Albo źle rozumie, źle rozumiał od początku? Czy nie powinien raczej odłożyć na bok wszystko, czym sam jest, czym się stał, aż po własne rysy, i stać się znowu jak niemowlę? Czy może zadaniem tego czegoś przed nim jest ojcostwo, on zaś musi mu się poddać?

Jeżeli tak być musi, jeżeli to jest prawda i droga do zmartwychwstania, zrobi to. Odłoży na bok wszystko. Podążając za tym cieniem, pójdzie nagi jak niemowlę w paszczę piekieł.

Staje mu przed oczyma obraz, przed którym przez cały miniony miesiąc się wzdragał: Paweł, nagi i pogruchotany, okrwawiony, w kostnicy. Nasienie w jego ciele też martwe lub zamierające.

Nic już nie jest osobiste. Śmiało, jak tylko go na to stać, patrzy na części ciała, bez których nie byłoby ojcostwa. A myśli znów wracają do muzeum w Berlinie, do tej bogini-potwora ściągającej nasienie z trupa, ratującej je.

I tak w końcu przychodzi czas, gdy ręka trzymająca pióro zaczyna się poruszać. Lecz słowa, które formułuje, nie są słowami zbawienia. Mówią o muchach lub o jednej czarnej musze bzycającej przy szybie zamkniętego okna. Środek lata w Petersburgu, upalny i lepki. Z ulicy w dole dobiega hałas, muzyka. W pokoju dziecko o brązowych oczach i prostych jasnych włosach leży nagi obok mężczyzny. Szczupłe stopki dziewczynki ledwie sięgają jego kostek, a buzia jest wciśnięta w zgięcie jego ramienia, gdzie tuli się i wierci jak niemowlę.

Kim jest ten mężczyzna? Ciało ma pięknie ukształtowane, jak bożek. Lecz bije od niego taki marmurowy chłód, że obejmowane przezeń dziecko musi być zziębnięte do kości. A co do twarzy, ta pozostanie niewidoczna.

Siedzi z piórem w ręku, wstrzymując się przed zejściem w sferę wyobrażeń, które nie zdarzają się na tym świecie, bliski runięcia, zamknięty w chwili, w której cały świat leży otworem u jego stóp, chwili tuż przed zwolnieniem uchwytu i początkiem upadku.

Jest to chwila, której on zaczyna się stawać znawcą, koneserem. Za co zostanie potępiony.

Wstaje niespokojnie. Z walizki wyjmuje dziennik Pawła i odnajduje w nim pierwszą nie zapisaną stronę, której Paweł nie zapisał, ponieważ był już martwy. Na tej stronie zaczyna, już po raz drugi, pisać.

W tym, co pisze, jest w takim samym pokoju i siedzi przy stoliku bardzo podobnie jak teraz. Lecz pokój należy do Pawła i tylko Pawła. A on sam nie jest już sobą, nie jest mężczyzną w czterdziestym dziewiątym roku życia. Jest natomiast znowu młody, z całą arogancką siłą młodości. Ma na sobie białe ubranie, idealnie skrojone. Jest do pewnego stopnia Pawłem Isajewem, choć „Paweł Isajew” nie jest imieniem i nazwiskiem, jakie zamierza sobie nadać.

We krwi tego młodego człowieka, tej wizji Pawła, jest poczucie tryumfu. Oto wszedł przez bramę śmierci i powrócił. Nic już nie może go dotknąć. Nie jest bogiem, ale też nie jest już istotą ludzką. Jest w pewnym sensie ponadludzki, nadczołowieczy. Nie ma nic takiego, czego by nie potrafił.

Przez tego młodego człowieka budynek, ze swymi zatechłymi korytarzami i zakamarkami, zaczyna sam się

opisywać, ten budynek w Petersburgu, w Rosji.

U góry strony zgrabnymi kapitalikami umieszcza tytuł MIESZKANIE i pisze:

Sypia długo, rzadko wstając przed południem, kiedy w mieszkaniu robi się tak gorąco, że prześcieradła przesiakają jego potem. Następnie wlecze się do umywalni na podeście schodów i ochlapuje sobie wodą twarz, myje palcem zęby i wlecze się z powrotem do mieszkania. Tam, nie ogolony, rozczochrany, zjada śniadanie, które gospodyni mu zostawiła (masło zdążyło się już do tej pory rozpuścić, w mleku pływają komary), potem się goli, wkłada wczorajszą bieliznę, wczorajszą koszulę i białe ubranie (z kantami ostrymi jak brzytwa od leżenia całą noc pod materacem), moczy włosy i przyczesuje, a następnie, przygotowawszy się do spędzenia dnia, traci zainteresowanie, traci motywację: siada znowu przy stoliku, który wciąż jest nakryty do śniadania, i popada w zadumę albo siedzi rozwalony i czyści scyzorykiem paznokcie, czekając, aż coś się stanie, aż dziecko wróci ze szkoły do domu.

Albo błąka się po mieszkaniu, zaglądając do szuflad, dotykając różnych przedmiotów.

Natrafia na medalion z portrecikiem gospodyni oraz jej zmarłego męża. Pluje na szkło i przeciera je chusteczką. Małżonkowie patrzą na siebie pogodnie ze swojego malutkiego więzienia.

Wtula twarz w jej bieliznę, wdychając lekki zapach

lawendy.

Zapisał się na studia na uniwersytecie, ale nie chodzi na wykłady. Wstępuje do *krużka*, kółka, którego członkowie eksperymentują z wolną miłością. Któregoś popołudnia przyprowadza do swego pokoju dziewczynę. Przychodzi mu na myśl, że powinien zamknąć drzwi, ale nie zamyka. Kochają się, potem zasypiają.

Budzi go jakiś hałas. On wie, że ktoś ich podpatruje.

Trąca dziewczynę i dziewczyna też się budzi. Oboje są nadzy, piękni w kwiecie młodości. Znowu się kochają. Przez cały czas jest świadom, że drzwi są lekko uchylone i że przygląda im się mała dziewczynka. On doznaje ogromnej rozkoszy, która udziela się dziewczynie. Nigdy dotąd nie zaznali takiej mrocznej słodczy.

Gdy później odprowadza dziewczynę do domu, zostawia łóżko nie pościelone, toteż dziewczynka może się zapoznać z zapachami miłości.

Odtąd w każde środowe popołudnie przyprowadza do siebie dziewczynę, zawsze tę samą. Za każdym razem, kiedy wychodzą, mieszkanie wydaje się puste. Za każdym razem on wie, że dziewczynka zakradła się, podpatrywała ich lub podsłuchiwała, a teraz się gdzieś ukrywa.

– Zrób to jeszcze raz – szepce dziewczyna.

– Co?

– No, to! – szepce ona, zaczerwieniona z pożądania.

– Najpierw powiedz, co – zmusza ją, aby ujęła to w słowa. – Głośniej – mówi. Wypowiadanie tych słów ogromnie podnieca dziewczynę.

Przypomina sobie Swidrygajłowa: „Kobiety lubią być upokarzane”.

Myśli o tym wszystkim jak o wyrabianiu smaku w małej dziewczynce, jak się wyrabia smak do nienaturalnych potraw, ostryg albo cynaderek.

Zapytuje siebie, czemu to robi. Odpowiedź, jaką sobie daje, brzmi: historia zbliża się ku końcowi. Stare księgi rachunkowe zostaną wkrótce wrzucone w ogień. W tym martwym czasie pomiędzy starym a nowym wszystko jest dozwolone. Nieszczególnie wierzy w tę odpowiedź, ale nie podaje jej w wątpliwość. Ona spełnia zadanie.

Albo mówi sobie: to wina petersburskiego lata, tych długich, upalnych, dusznych popołudni z muchami brzęczącymi na szybach, wina wieczorów gęstych od bzyczących komarów. Niech tylko przetrwam to lato, a potem zimę. Z nadejściem wiosny wyjadę do Szwajcarii, w góry, i stanę się innym człowiekiem.

Je posiłki razem z gospodynią i jej córeczką. W któryś środowy wieczór, udając dobry nastrój, pochyła się nad stołem i mierzwi włosy dziewczynki. Ona się odsuwa. On zaś zdaje sobie sprawę, że nie umył rąk i że ona poczuła na nich jego miłosne zapachy. Zaczerwieniona, zażenowana, schyla się nad talerzem i unika jego wzroku.

Pisze to wszystko wyraźnym, starannym pismem, nie wykreślając ani słowa. Samo pisanie dostarcza mu dziś wyjątkowej zmysłowej przyjemności – dotyk pióra wtulonego w zakrzywienie kciuka, lecz jeszcze bardziej

uczucie, że jego ręka jest lekko hamowana w swoim biegu w poprzek strony przez ściśle określony, niezmienny kształt liter, dyscyplinę alfabetu.

Ania, Ania Snitkina, była jego sekretarką, nim została żoną. Zatrudnił ją do uporządkowania rękopisów, a potem poślubił. Dziewczyna-czarodziejka, przyzwana, by uprząść gmatwaninę jego pism w jedną złotą nić. Jeżeli on dziś pisze tak wyraźnie, to dlatego, że już nie pisze dla jej oczu. Pisze dla samego siebie. Pisze dla wieczności. Pisze dla zmarłych.

Jednakże w tym samym czasie, kiedy tak spokojnie sobie siedzi, jest człowiekiem porwanym przez trąbę powietrzną. Wokół niego wirują potoki papierów, fragmenty dawnego życia wydarte z rykiem spirala ku górze. Unosi się wysoko nad ziemią, szarpany prądami, a zanim uchwyt wiatru zelżeje i zacznie się upadek, dane mu jest zażyć ciszy i jasności i świat otwiera się pod nim jak mapa siebie samego.

Listy z trąby powietrznej. Rozrzucone liście, które zbiera, rozrzucone ciało, które składa razem.

Słysząc pukanie do drzwi: Matriona, w nocnej koszuli, przez chwilę zdumiewająco podobna do matki.

– Mogę wejść? – pyta ochrypłym głosem.

– Wciąż boli cię gardło?

– Mm.

Siada na łóżku. Nawet z daleka słysząc, jak ciężko oddycha.

Czemu przyszła? Czy chce zawrzeć pokój? Czy też

jest znużona?

– Paweł zwykle tak siedział, kiedy pisał – mówi. – Gdy weszłam, myślałam, że to on.

– Właśnie pracuję. Nie masz nic przeciwko temu, że będę dalej pracował?

Siedzi cichutko za nim i patrzy, jak on pisze. Atmosfera w pokoju jest naelektryzowana: nawet pyłki kurzu wydają się znieruchomiłe.

– Lubisz swoje imię? – pyta ją po chwili.

– Moje własne?

– Tak. Matriona.

– Nie. Nie cierpię go. Ojciec je wybrał. Nie wiem, dlaczego muszę je nosić. To było imię babci. Umarła, zanim się urodziłam.

– Ja mam dla ciebie inne imię. Dusza. – Wypisuje je u góry strony, pokazuje jej. – Podoba ci się?

Dziewczynka nie odpowiada.

– Co się naprawdę stało z Pawłem? – pyta. – Wiesz?

– Myślę... myślę, że on się poświęcił.

– Poświęcił się? Czemu?

– Dla przyszłości. Żeby móc zostać jednym z męczenników.

– Męczenników? Co to jest męczennik?

Dziewczynka się waha.

– Ktoś, kto się poświęca. Dla przyszłości.

– Czy Finka też była męczennicą?

Dziewczynka kiwa głową.

A on zastanawia się, czy Paweł też przywykł do

mówienia formułkami, pod koniec życia. Po raz pierwszy przychodzi mu do głowy, że lepiej, iż Paweł nie żyje. Teraz gdy już pomyślał tę myśl, stawia jej czoło otwarcie, me wypiera się jej.

Wojna: starzy przeciwko młodym, młodzi przeciwko starym.

– Musisz już iść – mówi do dziewczynki. – Mam robotę.

Tytułuje następną stronę DZIEWCZYINKA i pisze:

Któregoś dnia przychodzi list z jego nazwiskiem i adresem wypisanym powolnymi drukowanymi literami. Dziewczynka zabiera list od dozorczy i zostawia oparty o lustro w jego pokoju.

– Chcesz wiedzieć, od kogo jest ten list? – pyta od niechcienia, gdy następnym razem są sami. I opowiada jej dzieje Marii Liebiatkiny, o tym jak Maria Liebiatkina przyniosła wstyd swojemu bratu, kapitanowi Liebiatkinowi, i stała się pośmiewiskiem całego Tweru, twierdząc, że pewien wielbiciel, którego tożsamości skromnie nie chciała wyjawic, poprosił ją o rękę.

– Czy ten list jest od Marii? – pyta dziewczynka.

– Poczekaj, to się dowiesz.

– Ale czemu oni się z niej śmiali? Czemu nikt nie powinien chcieć się z nią ożenić?

– Bo Maria była głupkowata, a głupkowaci nie powinni się żenić, żeby nie mieli głupkowatych dzieci, które później mogłyby też mieć głupkowate dzieci i to by

się szerzyło jak epidemia, aż cały kraj byłby pełen głupkowatych ludzi.

– Jak epidemia?

– Tak. Chcesz, żebym opowiadał dalej? Wszystko to stało się minionego lata, kiedy byłem w odwiedzinach u ciotki. Usłyszałem opowieść o Marii i jej wielbicielu i postanowiłem coś z tym zrobić. Najpierw kazałem sobie uszyć białe ubranie, żebym wyglądał dość szarmancko w tej roli.

– To ubranie?

– Tak, to ubranie. Ledwie mi je uszyto, już wszyscy wiedzieli, co się kroi, w Twerze wieści rozchodzą się szybko. Ubrałem się i poszedłem z bukietem kwiatów do Liebiatkinów. Kapitan był zaskoczony, ale ona nie. Nigdy nie zatraciła wiary. Odtąd bywałem tam codziennie. Raz wziąłem ją na spacer do lasu, tylko we dwoje. To było na dzień przed wyjazdem do Petersburga.

– Więc cały czas byłeś jej wielbicielem?

– Nie, to nie tak. Ten wielbiciel jej się tylko przyśnił. Tacy ludzie nie widzą różnicy pomiędzy snem a rzeczywistością. Oni wierzą w sny. Ona myślała, że byłem snem. Bo się zachowywałem, rozumiesz, jak we śnie.

– A wrócisz tam i odwiedzisz ją?

– Nie sędzę. A właściwie na pewno nie. A jeśli ona przyjedzie tu i będzie o mnie pytała, nie wpuszczaj jej pod żadnym pozorem. Powiedz, że się wyprowadziłem. Powiedz, że nie znasz mojego nowego adresu. Albo podaj

jej fałszywy adres. Wymyśl jakiś. Poznasz ją od razu. Jest wysoka i koścista, ma wystające zęby i cały czas się uśmiecha. Jest jak wiedźma.

– Czy właśnie o tym pisze w liście, że tu przyjedzie?

– Tak.

– Ale dlaczego...

– Dlaczego to zrobiłem? Dla żartu. Lato na wsi jest takie nudne ... nie masz pojęcia, jak nudne.

Napisanie tej sceny zabiera mu nie więcej niż dziesięć minut, bez żadnych skreśleń. W ostatecznej wersji opowiadanie powinno być pełniejsze, ale dla obecnych celów jest wystarczające. Wstaje, pozostawiając obie kartki na stole.

To napaść na dziecięcą niewinność. Jest to czyn, za który nie może oczekiwać przebaczenia. Czynem tym przekroczył próg. Teraz Bóg musi przemówić, teraz Bóg nie śmie dłużej pozostać milczący. Zgorszyć dziecko, to zmusić Boga. Mechanizm, który zastosował, napina się i zamyka z trzaskiem jak pułapka, pułapka do schwytania Boga.

On wie, co robi. A jednocześnie w tym konkursie chytrłości pomiędzy nim a Bogiem on jest na zewnątrz siebie, może na zewnątrz własnej duszy. Stoi gdzieś i patrzy, jak on sam i Bóg krążą wokół siebie. I czas stoi nieruchomo i też patrzy. Czas został wstrzymany, wszystko jest wstrzymane przed upadkiem.

Straciłem miejsce w swojej duszy, myśli.

Bierze kapelusz i wychodzi z mieszkania. Nie poznaje tego kapelusza, nie wie, czyje buty ma na nogach. Właściwie nie rozpoznaje nic w sobie. Gdyby teraz spojrział w lustro, nie zdziwiłby się nawet, że widzi w nim inną twarz, patrzącą nań ślepo.

Zdradził wszystkich. Nie widzi też, by jego zdrady mogły zejść głębiej. Jeśli kiedykolwiek pragnął wiedzieć, czy zdrada smakuje bardziej jak ocet, czy jak żółć, teraz może się przekonać.

Lecz teraz nie czuje w ustach żadnego smaku, tak samo jak nie ma żadnego ciężaru na sercu. Jego serce wydaje się zupełnie puste. Nie wiedział uprzednio, że tak właśnie będzie. Bo i jakże? Nie udreka, ale tępy brak udreki. Jak żołnierz postrzelony w bitwie – krwawi, widzi krew, nie czuje bólu i zastanawia się: czy już jestem martwy?

To mu się wydaje ogromną ceną do zapłacenia. **Oni mu płacą mnóstwo pieniędzy za pisanie książek**, rzekła dziewczynka, powtarzając za martwym dzieckiem. Nie powiedzieli tylko, że musiał w zamian oddać duszę.

Teraz zaczyna czuć smak zdrady. Smakuje jak żółć.